

TO JEST TAKŻE NASZ CHRYSTUS

Rozmowy z chrześcijanami LGBT+



Marcin Dzierżanowski

Marcin Dzierżanowski

TO JEST TAKŻE NASZ CHRYSTUS

Rozmowy z chrześcijanami LGBT+

Warszawa 2023

Marcin Dzierżanowski

To jest także nasz Chrystus. Rozmowy z chrześcijanami LGBT+

Redakcja: Anita Szarlik

Korekta: Marek Kowalik

Projekt okładki: Daniel Rycharski i Anastazja Stańczyk

Zdjęcia: archiwa prywatne, Maciek Jaźwiecki / Agencja Wyborcza.pl,
Katarzyna Legendź (dzięki uprzejmości Gunia Nowik Gallery),
Michał Łuczak

Zrealizowano w ramach projektu *Wiara nie wyklucza*.

Projekt realizowany z dotacji programu Aktywni Obywatele – Fundusz Krajowy finansowanego przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszy EOG.

Autorstwo projektu: Zuzanna Witulska

Wydawca: Fundacja Wiara i Tęcza

Warszawa 2023

Utwór udostępniony na licencji Creative Commons
– Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne 4.0

ISBN: 978-83-968918-0-8

Skład: Pracownia Sztuk Plastycznych Sp. z o.o.
drukujtaniej.pl

Siostrze Jeannine Gramick,
współzałożycielce New Ways Ministry, jednego
z najstarszych katolickich duszpasterstw
osób LGBT+ na świecie

Arturowi Kapturkiewiczowi,
współtwórcy grupy polskich chrześcijan
LGBT+ Wiara i Tęcza

*Patrz na tęczę i wychwalaj Tego, kto ją uczynił,
nadzwyczaj piękna jest w swoim blasku:
otacza niebo kręgiem wspaniałym,
a napięły ją ręce Najwyższego.*

(Mądrość Syracha)

Spis treści

Wstęp	9
Kazik, ty to masz jaja!	13
Kazimierz Strzelec	
To jest także nasz Chrystus	27
Małgorzata „Margot” Szutowicz	
Bogu nie muszę się tłumaczyć z transpłciowości	41
Kinga Kosińska	
Pedał, wieśniak i katol, czyli moja duchowa bezdomność	55
Prof. Daniel Rycharski	
Byłem księdzem	73
Łukasz Kachnowicz	
Zrozumiałem, że możemy być widoczni i pokonać strach	91
Kacper Kalin	
Wiarę i Tęczę trzeba było tworzyć od zera	103
Artur Kapturkiewicz	
W oazowym myśleniu nie było szufladki z napisem „lesbijka” 121	
Ula Grymuła	
Dzięki biseksualności patrzę na świat szerzej	133
Uschi Pawlik	

Święta rodzina też była nienormatywna	145
Joanna i Magdalena	
Przeważył argument miłości	159
Izabella i Marcin	
Bóg jest optymistą, więc ja też muszę być	175
Jarosław Strzeszewski	
Większość życia spędziłam w konspiracji	195
Ewa Hołuszko	
Biblia nie potępia osób LGBT+	221
Prof. dr hab. Jakub Sławik	
Ludzie muszą usłyszeć wasze historie.....	231
S. Jeannine Gramick	
O Fundacji Wiara i Tęcza.....	249

Ta książka powstała z buntu.

Przeciwko niewidoczności i niesłyszalności osób LGBT+ w przestrzeni Kościołów, w tym przede wszystkim polskiego Kościoła rzymskokatolickiego.

Ale też niedostrzeganiu osób wierzących w społeczności LGBT+ lub nazywaniu ich „ofiarami syndromu sztokholmskiego”.

Przede wszystkim jednak z buntu wobec nieustannego pokazywania nas jako cierpiących, słabych i poranionych ofiar, nad którymi można co najwyżej się miłosiernie pochylić i je wesprzeć. Czekających na swoich (zapewne heteroseksualnych) obrońców i wybawicieli.

Ta narracja przez lata dominowała, niestety, nie tylko wśród naszych wrogów, ale też wielu przyjaciół. Gdy powstawała Wiara i Tęcza, jedno z najbardziej otwartych katolickich pism w Polsce zatytułowało swój reportaż o osobach homoseksualnych będących w Kościele „Gej i krzyż”.

Lata wcześniej, gdy byłem nastolatkiem, filmy o gejach pokazywały swoich bohaterów głównie w kontekście przemocy, nieszczęścia i cierpienia. Najpopularniejszą tego rodzaju produkcją była „Filadelfia”, której główny bohater grany przez Toma Hanksa najpierw zostaje wyrzucony z pracy, a później umiera na AIDS. Tamta cierpiętnicza narracja oddawała ówczesną smutną rzeczywistość. Jednocześnie wpisywała się jednak w zapotrzebowanie dużej części społeczeństwa, która, odzegnując się od brutalnej homofobii, chciała widzieć społeczność LGBT+ jako prześladowaną, słabą, a więc też niezagrażającą mniejszość.

Świat się zmienił, ale w Kościołach narracja ta, niestety, trzyma się wyjątkowo mocno.

Dziesięć lat temu w opublikowanej na łamach „Znaku” recenzji bardzo ważnej dla wierzących osób LGBT+ w Polsce książki Katarzyny Jabłońskiej i Cezarego Gawrysia „Wyzywająca miłość” pisałem: „Marzy mi się, żeby za jakiś czas powstała książka na temat wierzących osób LGBT, w której nieheteronormatywność będzie pokazana jako powołanie i dar, a postulat zmiany duszpasterskiego podejścia do lesbijek i gejów stanie się mniej wołaniem o miłosierdzie wobec grzeszników, a bardziej wezwaniem do nawrócenia samego Kościoła”.

Nie miałem wtedy pojęcia, że po latach sam napiszę taką książkę.

Przeprowadzenie zawartych w niej wywiadów było dla mnie doświadczeniem intelektualnym, emocjonalnym, ale i duchowym. Utwierdziło mnie w przekonaniu, że w stosunku do osób LGBT+ Kościół (głównie rzymskokatolicki) jest instytucją ze wszech miar przemocową. Nauczyło, żeby mówić o tym wprost i bez ogródek. Moje rozmówczynie i moi rozmówcy dawali mi jednak świadectwo przywiązania do wartości chrześcijańskich, które swoim życiem wyznają, czasem już poza strukturami wyznaniowymi. Ci, którzy pozostają w Kościele, heroicznie, czasem wbrew nadziei, walczą o nawrócenie tej instytucji i wspólnoty wierzących.

Właściwie wszystkie bohaterki i wszyscy bohaterowie tej książki doznali opresji ze strony Kościoła, często brutalnej. A jednocześnie nie dali się temu złu zdominować ani pokonać. Odnoszą sukcesy, budują szczęście rodzinne, wychowują dzieci. Mają dokonania, z których mogą być dumni i dumne. Co ważne robią to nie wbrew swojej homoseksualności, biseksualności czy transpłciowości, w tym niebinarności, lecz w znacznej mierze dzięki nim. Chciałbym, aby to przesłanie mocno popłynęło z kart tej książki do Czytelniczek i Czytelników, zwłaszcza zaś do ludzi młodych, którzy odkrywają swoją orientację seksualną i/lub tożsamość płciową. Chcę im wszystkim powiedzieć, że mają prawo do szczęścia, miłości i sukcesów. A jeśli jest im dzisiaj ciężko, to jednocześnie przekazać za XIV-wieczną angielską mistyczką Julianą z Norwich: „Wszystko będzie dobrze, i wszystko będzie dobrze, i wszelkie sprawy skończą się dobrze”.

Dziękuję wszystkim, którzy mi zaufali, wprowadzając do zakamarków swojego życia i dzieląc się intymnymi historiami. Spotkania z Wami były wspianą lekcją i wielką przyjemnością!

Jestem też bardzo wdzięczny za to, że mogłem przeprowadzić dwa wywiady ze specjalistami od duchowości i teologii: s. Jeannine Gramick, założycielką jednego z pierwszych na świecie katolickich duszpasterstw osób LGBT+, a także z ewangelickim biblistą, prof. Jakubem Sławikiem. Ich głosy utwierdziły mnie w przekonaniu, że w kwestii stosunku do osób LGBT+ Kościół rzymskokatolicki nie potrzebuje reformy, lecz rewolucji.

Wyjątkowe znaczenie ma dla mnie rozmowa z Ewą Hołuszko, działaczką „Solidarności”, która w stanie wojennym stworzyła największą podziemną strukturę opozycji na Mazowszu. Po tranzycji, na którą się zdecydowała w 2000 r., próbowano ją wygumkować z historii opozycji demokratycznej. Przez lata pomijano jej zasługi, a nawet osobę. Dlatego

wywiad z nią - znacznie dłuższy niż pozostałe - ma charakter historycznego świadectwa. Chciałbym, by dla Ewy był on symbolicznym zadośćuczynieniem, a dla Czytelników - wypełnieniem białej plamy w najnowszej historii Polski.

Marcin Dzierżanowski

*Będę niezmiernie wdzięczny za wszelkie uwagi dotyczące książki:
madzierzanowski@gmail.com*

OKŁADKA przedstawia pracę prof. Daniela Rycharskiego „Gniazda” będącą częścią wystawy „Umarła klasa”. Fotografie wykorzystano dzięki uprzejmości Gunia Nowik Gallery.

Bezpośrednim impulsem do stworzenia pracy stała się powieść „Kamień na Kamieniu” Wiesława Myśliwskiego, gdzie w jednej ze scen ptaki wiją gniazdo wśród grobów na starym cmentarzu. Gniazda są komentarzem do umierania świata społecznego związanego z kulturą chłopską. Jednocześnie odnoszą się do doświadczeń osób LGBTQ+ i tego, co artysta na podstawie swoich przeżyć nazywa duchową bezdomnością - bezskutecznego poszukiwania miejsca zadomowienia w społeczeństwie wiary.

KAZIK, TY TO MASZ JAJA!



Kazimierz Strzelec

mechanik, aktywista

Rocznik 1960, cywilny pracownik Wojska Polskiego. Działa w Fundacji Wiara i Tęcza oraz stowarzyszeniu Marsz Równości w Lublinie. Koordynator inicjatywy działaczy LGBT+ na rzecz upamiętnienia homoseksualnych więźniów obozu koncentracyjnego w Majdanku. Lokalny aktywista w gminie Niedrzwica Duża, w której po trzech latach walki udało mu się doprowadzić do uchylenia uchwały samorządu o tzw. strefie wolnej od LGBT.

Nominowany do nagrody Kampanii Przeciw Homofobii „Korony Równości 2022” w kategorii Zaangażowanie Społeczne. W lutym 2023 r. wszedł w skład Komitetu Monitorującego Fundusze Europejskie dla Lubelskiego 2021–2027. Od urodzenia mieszka w podlubelskich Trojczkowicach.

Zacząłem od listu do wójta. Napisałem, że od urodzenia mieszkam w tej gminie, jestem przykładnym obywatelem, płacę podatki. I że jako gej nie mogę być dyskryminowany.

Podczas jednej ze spowiedzi powiedziałem księdzu,
że jestem osobą homoseksualną.
Powiedział mi na to, że wolalby być psem niż moją duszą.
To był dla mnie wstrząs.

Czuję się chrześcijaninem, wchodzę do kościoła poza mszą, żeby się pomodlić. Ale Kościół rzymskokatolicki nie jest już moim miejscem. A w każdym razie zrobiłem sobie od niego wakacje.

Można powiedzieć, że w październiku 2022 r. wygrałeś z ministrem Przemysławem Czarnkiem.

– Dla mnie to jest prawdziwy cud. Ja, prosty mechanik z podlubelskich Trojaczkowic, w pewnym sensie pokonałem system. Udało mi się nawet poruszyć Komisję Europejską. Bóg musiał tym sterować.

Po trzech latach twoich zabiegów radni Niedrzwicy Dużej uchylili swoją własną uchwałę o tym, że wasza gmina to tzw. strefa wolna od LGBT.

– Od początku było wiadomo, że radni są tylko pionkami. Ta uchwała to robota Czarnka. W 2019 r. jako wojewoda lubelski wymyślił, że samorządy będą przyjmowały uchwały przeciwko LGBT. Radnym, którzy będą za tym głosować, obiecał nawet medale.

Pierwszy był Świdnik.

– Za nim poszły kolejne gminy Lubelszczyzny, a potem także inne regiony Polski, m.in. Rzeszowszczyzna. Działacze LGBT+ stworzyli „Atlas nienawiści”, w którym zaznaczali kolejne miejsca, gdzie radni przyjmowali te okropne uchwały. Kiedy zobaczyłem, że na mapie jest moja Niedrzwica, wiedziałem, że muszę coś zrobić.

Od czego zacząłeś?

– Od listu do wójta. Napisałem, że od urodzenia tu mieszkam, jestem przykładnym obywatelem, płacę podatki. I że jako gej nie mogę być dyskryminowany. Z 10 razy ten list poprawiałem, żeby nie było błędów.

Odpisał?

– Owszem. Tłumaczył, że radni wszystkich szanują, tylko są przeciwko „seksualizacji dzieci”. Ręce mi opadły. Postanowiłem nie odpuszczać. Pisałem kolejne pisma, prosiłem o spotkanie. W 2021 r. Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego zrobiło badania, z których wynika, że osoby nieheteronormatywne żyjące na terenie „stref wolnych od LGBT” są bardziej narażone na depresję i myśli samobójcze. To też napisałem w piśmie do gminy.

Spotkali się z tobą?

– W końcu tak, wójt i przewodniczący rady. Opowiedziałem im historię, którą znałem od mojej świętej pamięci mamy. W czasie wojny babcia ukrywała żydowską rodzinę, ale sąsiedzi ją nachodzili i straszili, że podadzą do Gestapo. Żydzi musieli się więc ukryć w lesie, ale ktoś ze wsi ich w końcu zadenuncjował. Niemcy spędzili okolicznych mieszkańców na plac w Niedrzwicy i na ich oczach zabili całą żydowską rodzinę.

Najpierw dziecko, żeby matka widziała, jak umiera. Moja mama też to musiała oglądać. „To wszystko się działo kilkadziesiąt metrów od tego urzędu” – powiedziałem wójtowi. Wiesz, co mi na to powiedział? Że przecież chodzę po wsi w tęczowej maseczce i nikt mi nic nie robi, więc o co mi chodzi. Później już nawet nie chciał się ze mną spotykać. Gdy pisałem lub dzwoniłem, sekretarka mówiła, że pana wójta nie ma albo że nie ma czasu.

Ale znów się nie poddałeś, tak?

– W żadnym wypadku. Próbowałem znaleźć radnych, którzy mogliby zgłosić inicjatywę uchylecia tej nieszczęsnej uchwały, ale wszyscy po kolei się wykręcali. „Ja jestem nowy”, „Muszę się jeszcze zastanowić”, „Nie ma sensu próbować, bo inni i tak zagłosują przeciw”. W końcu wysłałem list do ośmiu instytucji Unii Europejskiej, adresy mailowe pomogli mi znaleźć działacze Kampanii Przeciw Homofobii. Zareagowało biuro szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, które przekazało moją petycję do Dyrekcji Generalnej ds. Rozwoju Regionalnego Unii Europejskiej. Ta z kolei wysłała pismo interwencyjne do mojej gminy. I wtedy nasi radni najwyraźniej zaczęli trząść portkami.

Skąd wiesz?

– Bo nagle zaczęli mnie traktować poważnie. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Wtedy już głośno mówiono, że Unia będzie zabierać pieniądze samorządom, które dyskryminują osoby LGBT+. A ja poczułem wiatr w żaglach. Gdy Fundacja Rozwoju Demokracji Lokalnej przyznała Niedrzwicy wysokie miejsce w rankingu gmin, napisałem do nich pytanie: „Jak można nagradzać samorządy, które wykluczają część swoich mieszkańców?”. Policzyłem sobie, że skoro w naszej gminie mieszka 12 tys. osób, statystycznie 600 z nich to osoby LGBT+. Podobno z fundacji dzwoniли do gminy, więc wójt przestraszył się, że będzie zamieszanie. W końcu 25 października po cichaczku przyjęli uchwałę odwołującą tę poprzednią. Wiedzieli, że jako mieszkaniec chcę zabrać głos podczas sesji, więc głosowania nie umieścili w planowanym porządku obrad. W uchwale nie napisali też wprost, z czego się wycofują i dlaczego.

„W związku z tym, że w sferze publicznej zaistniała błędna interpretacja Stanowiska Rady Gminy Niedrzwica Duża z dnia 28 maja 2019 r. wskazująca na inne cele i wartości niż te, które w rzeczywistości przyświecały Radzie Gminy...”. Rzeczywiście, ani słowa o tym, o co naprawdę chodziło.

– Wstyd im było! To dobrze.

Kazik, zawsze miałeś w sobie tyle determinacji i odwagi?

– Ja? Chyba żartujesz! Przez całe życie rządził mną jebany strach.

Nie wierzę.

– To uwierz. Mnie się zawsze wydawało, że jestem najbrzydszy, najgłupszy i nie mam innym nic do zaoferowania. Od najwcześniejszego dzieciństwa.

Spędziłeś je w Trojaczkowicach?

– Tak. Jestem rocznik 1960, wychowywałem się w cieniu rodzinnej tragedii. Rok przed moim urodzeniem trójka mojego starszego rodzeństwa śmiertelnie zatrąła się czadem. Gdy przyszedłem na świat, mama i tata byli jeszcze w głębokiej traumie. Przypuszczam, że miałem im złagodzić ból, ale przecież to niemożliwe, więc wzrastałem w cieniu wielkiej żałoby. To się mocno na mnie odbiło, bo wychowywali mnie w tym swoim żalu i bólu. Dostałem od nich dużo miłości, ale mało czułości. Później co trzy lata rodziły się kolejne dzieci, po mnie jeszcze czwórka.

Czym zajmowali się rodzice?

– Byli bardzo biedni, tata był kolejarzem, mama pracowała na roli. Mieliśmy małe gospodarstwo, hektar ziemi, uprawialiśmy trochę kartofli, do tego jakaś krówka, świnka, kury. Jako najstarszy syn od wczesnych lat pomagałem na roli, pamiętam, jak nie lubiłem wyrzucać gnoju. W dzieciństwie starałem się nie rzucać w oczy. Ze szkoły mało pamiętam, ale utkwiła mi w głowie taka scena. Druga albo trzecia klasa podstawówki, lekcje prowadziła praktykantka, mieliśmy narysować samolot, pamiętam, jak się starałem. Na koniec zajęć przyszła nasza nauczycielka i wskazując na mnie, powiedziała do praktykantki: „Temu możesz postawić dwóję nawet bez oglądania rysunku”. I ta dziewczyna wstawiła, choć z tego, co pamiętam, było jej wstyd.

To potwornie dziwna sytuacja. Wiesz, o co chodziło?

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam też imienia nauczycielki ani nawet tego, jak wyglądała. Pamiętam upokorzenie i poczucie krzywdy.

Poszedłeś do kogoś na skargę?

– Żartujesz? Nawet mi to do głowy nie przyszło. Bałem się, że jeszcze zostanę skrzyuczany! Ale poczułem wewnętrzny sprzeciw.

Kiedy sobie uświadomiłeś, że jesteś gejem?

– Słowa „gej” wtedy nawet nie znałem. Słowa „homoseksualista” też

się raczej nie używało, co najwyżej „pedał”, ale też chyba rzadko. Chyba że jako obelgę. Bo wtedy ludzie z „pedałów” albo drwili, albo mówili o nich jak o przestępcach.

Gdy słyszałeś „pedał”, myślałeś, że to również o tobie?

– W podstawówce nie. Potem, w technikum kolejowym w Lublinie, zauważyłem, że podobają mi się faceci. Szkoła była typowo męska, dziewczyn było może z 10 procent. Testosteron zaczął działać, pamiętam, że gdy po wuefie braliśmy prysznic, podobały mi się męskie ciała. Słyszałem, jak koledzy rozmawiali o dziewczynach, a ja nie miałem na ten temat nic do powiedzenia. Czułem, że to nienormalne, zastanawiałem się, co ze mną nie tak. Potępiałem siebie, czułem też strach, że nie będę miał rodziny, ale przede wszystkim, że ktoś mnie odkryje.

Miałeś z kim o tym porozmawiać?

– Nie miałem. Siedziałem w szafie, a ta szafa była obwiązana grubym łańcuchem, zakopana w ziemi i jeszcze zalana grubą warstwą betonu. Nawet nie wiesz, jak zazdrościsz dzisiejszej młodzieży, że już tak nie mają.

A zakochałeś się wtedy w kimś?

– W szkole nie. Dopiero w wojsku.

Opowiedz.

– Poszedłem do wojska w 1982 r., wtedy rzucali poborowych jak najdalej od domu, więc trafiłem do jednostki nad morzem. Z powodu stanu wojennego oprócz wiosennego i jesienno-poboru był jeszcze dodatkowy, nazywany dzikim. Wtedy w wojsku panowała tak zwana fala.

Starsi żołnierze, czyli „dziadki”, prześladowali, czasem brutalnie, młodszych, zwanych „kotami”.

– Ja jeszcze byłem wtedy kotem, więc dziadki nie pozwalały nam przed capstrzykiem o 22.00 kłaść się na łózkach. Kiedy jednak doszedł dziki pobór, ja i moi koledzy przestaliśmy być najniżej w hierarchii. Pierwszy raz mogliśmy się położyć w dzień, kładliśmy się więc dumnie na tych wojskowych pryczach. Leżałem obok Grzegorza¹, nasze łóżka były złączone, a ja poczułem coś tak intensywnego, że nawet nie umiem tego opowiedzieć. Bardzo chciałem go dotknąć i czułem, że on mnie też. Oczywiście nie zrobiliśmy tego, no bo jak, wokół gromada samców, ale tego dnia coś się między nami niezwykle intymnego narodziło. W wojsku zostaliśmy najbliższymi przyjaciółmi.

¹ Imię zmienione.

Rozmawialiście o swojej relacji?

– Nigdy. Ale myślę, że to była miłość, choć nigdy niewypowiedziana. Gdy po dwóch latach służby wypuścili nas do rezerwy, jechaliśmy razem „do cywila” pociągiem. W jakimś mieście, chyba w Elblągu, mój przyjaciel wysiadał, żeby się przesiąść do innego pociągu, na Mazury, z których pochodził. Ja miałem jechać dalej, do Warszawy, a stamtąd dalej do Lublina. Pożegnaliśmy się. Kiedy wszyscy wysiedli z przedziału, Grzesiek doskoczył do mnie i wpił się w usta tak mocno, że czuję to do tej pory. Trwało to kilka sekund, ale dla mnie wieczność. Natychmiast uciekł, nigdy więcej się nie zobaczyliśmy.

Nie mieliście do siebie kontaktów?

– Napisaaliśmy swoje adresy na chustach rezerwisty², więc teoretycznie mieliśmy. Świadomość, że on do mnie czuł to samo, co ja do niego, z jednej strony mnie uskrzydlała, a z drugiej paraliżowała. Dziś bym pewnie wyskoczył z pociągu i za nim pobiegł. Wtedy nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić. Bałem się nawet napisać do niego list, myślałem: „A co będzie, jeśli ktoś z rodziny otworzy”? Ale tak naprawdę bałem się tego, kim jestem. Później, gdy oglądałem serial „Noce i dnie”, czułem się jak Barbara Niechcicowa, która przez całe życie tęskniła za Toliboskim.

Po powrocie z wojska pracowałeś na kolei, tak?

– Tak. Znowu bardzo męskie środowisko, ale z jakichś powodów mój gejradar w ogóle nie działał. Czułem, że jestem jedyny, choć wtedy już przynajmniej wiedziałem, kim jestem. O wyjściu z szafy nie było mowy. Pamiętam, jak w toalecie na dworcu PKP w Lublinie znalazłem napisane mazakiem ogłoszenie: „Mężczyzna czeka na mężczyznę w czwartek o 18.00 pod zegarem na peronie pierwszym”. Poszedłem, ale uciekłem dwie minuty przed szóstą... W latach 90. przyszły redukcje etatów, musiałem odejść z PKP, pracowałem w fabryce wag, później trochę się zajmowałem handlem. W 2007 r. wyjechałem do Niemiec, gdzie pracowałem jako monter izolacji budowlanych. To był inny świat.

Gdzie dokładnie mieszkałeś?

– W Cadolzburgu pod Norymbergą. Przepiękne, stare miasteczko, gotycki zamek. Niestety pracowałem z Polakami, którzy wszędzie wokół tropili pedałów. Pedałem miał być między innymi niemiecki majster, ja też byłem podejrzany, włamywali mi się nawet do komputera, chyba

² Chusta rezerwisty – w czasach obowiązkowej służby wojskowej ozdoba, kolorowa chusta z pomponami i frędzlami wykonywana przez żołnierza z okazji wyjścia do cywila.

żeby sprawdzić. Straszna atmosfera, na zasadzie „Polak Polakowi wilkiem”. Pewnego wolnego od pracy dnia pojechałem do Norymbergi i na rynku oglądałem wystawę poświęconą Albrechtowi Dürerowi, malarzowi, który urodził się w tym mieście. Nagle patrzę, a tuż obok mnie przechodzi dwóch mężczyzn trzymających się za rękę. Jakbym dostał siekierą w łeb! A więc tak można? Jak to możliwe, że nikt nie zwracał na nich uwagi?! Od tej pory coś się pomału zaczęło we mnie kruszyć. Przyjechałem do Polski na urlop i powiedziałem o sobie przyjacielowi. Właściwie to trochę asekuracyjnie powiedziałem, bo wersja była taka, że jestem „bi”.

Jak zareagował?

– Bardzo pozytywnie, powiedział też żonie, ona też zareagowała okej. W wieku 47 lat pierwszy raz poczułem się przez kogoś w pełni zaakceptowany. Od tego momentu zacząłem powolutku mówić o sobie kolejnym osobom. Także w pracy, bo w 2009 r. zatrudniłem się w wojsku jako pracownik cywilny. Do dziś tam pracuję jako mechanik.

Miejsce pracy raczej mało „gay friendly”.

– Może Pan Bóg nade mną czuwa, ale dobrze mnie tam przyjęli.

Mówiłeś, że jesteś gejem?

– To była taka gra. Ktoś rzucił przy mnie homofobiczny żart, a ja pytałem: „Czy gdybyś wiedział, że ja jestem gejem, też byś tak mówił?”. Niby nie stawiałem kropki nad „i”, ale gdy ktoś pytał, nie zaprzeczałem, mówiłem prawdę. Po jakimś czasie wszyscy już wiedzieli.

A we wsi?

– W moim oknie wisi tęczowa flaga, nie zdejmuję jej nawet gdy przychodzi ksiądz po kolędzie. Żartuję czasem, że we wsi coming out zrobiła za mnie sąsiadka. To bardzo dobra kobieta, gdy rodzice zmarli, trochę mi nawet matkowała, niestety ma jedną wadę – jest straszną plotkarą. Kiedyś wróciłem z sanatorium w Ciechocinku, pokazuję jej zdjęcia, ogląda i nagle mówi: „Kazik, ty taki przystojny, czemu nie masz żony?”. Doskonale wiem, do czego pije, więc próbuję zmienić temat, a ona jeszcze bardziej naciska: „Czemu się nie ożenisz?”. W końcu wypala: „A może ty chłopów wolisz?”. Nie miałem wyjścia, odpowiedziałem, że tak. Nie mam wątpliwości, że wkrótce wiedziała cała wioska. (śmiech)

A jak wyglądały twoje ówczesne relacje z Kościołem?

– Pochodzę z katolickiej, ale nie bardzo religijnej rodziny. Kościół był pięć kilometrów od domu, jak ktoś nie szedł, to rodzice nie robili awantury. Ja jednak byłem mocno wierzący. Pierwsze przemocowe zachowanie, jakiego doznałem ze strony księży, nie wiązało się z tym, że jestem gejem. W latach 90. straciłem pracę, byłem zdruzgotany, poszedłem więc do spowiedzi z nadzieją, że dostanę pociechę. Tymczasem ksiądz mi powiedział, że widocznie sobie na to zasłużyłem. Na kilka lat przestałem wtedy regularnie praktykować. Później jednak wróciłem do Kościoła.

Dlaczego?

– W 2003 r. zmarła na raka moja mama, a dwa lata później bardzo przeżyłem śmierć Jana Pawła II. Znów co niedziela chodziłem do kościoła. Podczas jednej ze spowiedzi powiedziałem księdzu, że jestem osobą homoseksualną. Powiedział mi na to, że wolałby być psem niż moją duszą. To był dla mnie wstrząs. Na 12 lat odszedłem od sakramentów, chodziłem na msze, ale nie przystępowałem do spowiedzi ani komunii.

Jak się wtedy czułeś?

– Z brakiem sakramentów? Bardzo źle. Żał mi było, że nie chodziłem do komunii, bałem się, co będzie, jeśli umrę bez pojednania z Bogiem. Aż wreszcie w internecie znalazłem wzmiankę o Wiary i Tęczy. Napisałem maila, ale na stary adres skrzynki mailowej, której nikt nie obsługiwał. Odpowiedź przyszła po wielu tygodniach, później się dowiedziałem, że Wiara i Tęcza organizuje rekolekcje pod Warszawą, ale trudno mi było zdobyć więcej informacji, bo nikogo z tej grupy nie znałem, zresztą Wiara i Tęcza, ze względów bezpieczeństwa, nie przyjmowała na rekolekcje osób zupełnie nieznanych. W tym czasie w mojej pracy organizowano wycieczkę do Włoch. Nie miałem pieniędzy, więc byłem pewien, że nie pojedę, choć bardzo chciałem. Jednak niespodziewanie dostałem premię i w ostatniej chwili udało mi się zapisać. Przy grobie Jana Pawła II żarliwie się modliłem, żeby mi się udało na te rekolekcje Wiary i Tęczy dostać. Po powrocie zadzwonili z Wiary i Tęczy i okazało się, że mogę jechać.

Te rekolekcje to było ważne doświadczenie?

– Jedno z najważniejszych w moim życiu. Jadąc, bałem się, jak ja, mechanik ze wsi, będę przyjęty przez ludzi, wśród których byli przecież wykładowcy akademicki. Znów dawały o sobie znać moje kompleksy, bo przecież nikt mi nie dawał znać, że jestem gorszy. W rzeczywistości od pierwszego dnia czułem się w pełni przyjęty. A rekolekcje? To był

przełom. Pierwsza spowiedź po 12 latach, gdy ksiądz dawał mi rozgrzeszenie, czułem motyle w brzuchu. Nie wiem dlaczego, przed oczami mam moment, w którym przed mszą wchodzę do kaplicy i przekładam komunikant na patenę³. Nie pamiętam kazania ani samej modlitwy, a to pamiętam. Tamte rekolekcje to był kluczowy moment w procesie mojej samoakceptacji. Przez całe życie czułem się bardzo sam, brakowało mi przynależności do wspólnoty. Myślę, że to bardzo utrudniało mi życie. Wiara i Tęcza to zmieniła.

A jak w tej chwili wygląda twoja relacja z Kościołem?

– Wciąż jestem wierzący, czuję się chrześcijaninem, wchodzę do kościoła poza mszą, żeby się pomodlić. Ale Kościół rzymskokatolicki nie jest już moim miejscem. Zrobiłem sobie od niego wakacje.

Dlaczego?

– Zaczęło się od agresywnej nagonki biskupów na osoby LGBT+. W czerwcu 2019 r., tuż po emisji filmu braci Sekielskich o pedofiliach w Kościele, przewodniczący Episkopatu wezwał, by w całej Polsce śpiewać suplikacje z powodu rzekomych profanacji na Marszach Równości. Moim zdaniem chodziło o odwrócenie uwagi od grzechów Kościoła.

Abp Stanisław Gądecki pisał: „Myślę o profanacjach i aktach bluźnierstwa, do jakich dochodzi podczas tzw. marszów środowisk gejów, lesbijek, biseksualistów i transeksualistów. (...) Stają się one miejscem obscenicznych prezentacji oraz sposobnością do okazywania pogardy wobec chrześcijaństwa, w tym także do parodiowania liturgii eucharystii, oraz do nawoływania do nienawiści w stosunku do Kościoła i osób duchownych”.

– Od kilku lat jestem na każdym Marszu Równości, na jakim daję radę być. Każde przytoczone tu słowo jest kłamstwem. Kiedy czytano list abp. Gądeckiego, pierwszy raz w życiu wyszedłem ze mszy. Napisałem trzy listy do papieża, na ostatni przysłała zdawkowa odpowiedź watykańskiego urzędnika, że dziękują za korespondencję i polecają mi się modlić. Przecież to są kpiny! Długo pisałem też prośby o spotkanie z lubelskim arcybiskupem Stanisławem Budzikiem. W końcu w sierpniu 2021 r. dostałem nawet zaproszenie!

Jak przebiegało spotkanie?

– Bardzo dobrze. Gdy mówiłem o strefach wolnych od LGBT, arcybiskup odpowiedział, że to niepotrzebne dzielenie ludzi. Kiedy

³ W Kościele rzymskokatolickim przed mszą dla niewielkich grup wiernych niekiedy wystawia się na stoliku komunikanty, a osoby, które chcą przystąpić do komunii, przekładają je z kielicha na patenę.

opowiedziałem o traumatycznym doświadczeniu ze spowiedzią, wyglądał na autentycznie poruszonego, aż odchylił głowę. Jeszcze dorzucił, że Biblii nie można czytać dosłownie i że nie przeszkadza mu widok dwóch trzymających się za rękę mężczyzn. Na koniec dał mi w prezencie książkę o kard. Wyszyńskim. Ale gdy poprosiłem o dedykację, odmówił. Zapytałem też, czy możemy sobie zrobić selfie, ale nie chciał. Zrozumiałem, że nie chce, by ktoś się o tym naszym spotkaniu dowiedział.

I to cię aż tak zraziło?

– Nawet nie. Po prostu to spotkanie uświadomiło mi, jaki jest poziom hipokryzji w Kościele. Bo przecież żadnej z tych rzeczy, o której mi powiedział w cztery oczy, nigdy nie powiedział i nie powie publicznie! Okropne.

Nie myślałeś, żeby przejść do innego Kościoła?

– To nie jest łatwe. Szukałem domu u protestantów, ale brakuje mi u nich kultu Maryi. Najbliżej mi chyba do Reformowanego Kościoła Katolickiego⁴, ale nie działa on w moim regionie Polski.

Powiedz jeszcze, jak się stałeś aktywistą.

– To był następny krok, dla mnie naturalny. Byłem już wtedy w Wierze i Tęczy, miałem dużo więcej pewności siebie niż wcześniej. W 2018 r. miał się odbyć pierwszy Marsz Równości w Lublinie i na Facebooku zbierała się ekipa pod nazwą Tęczowy Lublin, która go organizowała. Zgłosiłem się, ale nie chciano mnie przyjąć. Jedna z osób napisała mi wprost, że jestem za stary, a na moim profilu jest zbyt wiele treści religijnych.

Znów wykluczenie, tyle że z drugiej strony.

– Byłem załamany. Później jednak ktoś się zreflektował, zaproszono mnie do komitetu organizacyjnego marszu, a nawet bardzo przeproszono. Gdy uruchamialiśmy zbiórkę pieniędzy na marsz, uznaliśmy, że musimy publicznie pokazać nasze twarze. Żeby nie było, że za marszem „nie stoją ludzie, tylko ideologia”. Domyślaliśmy się, że zdjęcia się ukażą nie tylko w mediach społecznościowych, ale też w gazetach, bo pierwszy Marsz Równości w Lublinie był wtedy sensacją. Miałem dylemat, czy się pokazać, uznałem jednak, że trzeba iść za ciosem.

⁴ Reformowany Kościół Katolicki – jedyny w Polsce zarejestrowany związek wyznaniowy, który w pełni akceptuje osoby LGBT+, łącznie z udzielaniem im ślubów. Z tego powodu w 2020 r. rząd PiS podjął nieudaną próbę wykreślenia go z rejestru. Należy do tradycji starokatolickiej.

Gdzie się ukazało twoje zdjęcie?

– Chyba we wszystkich lokalnych mediach. To był mój publiczny coming out, koledzy z pracy przekazywali sobie gazety z rąk do rąk. Podchodzili i mówili: „Wiesz co, Kazik, ty to masz jaja!”.

Czyli reakcja pozytywna?

– Bardzo. Myślę, że otwierałem im oczy na wiele spraw. W wojsku faceci nie mówią o emocjach czy słabościach, za to chętnie sobie dokuczają. Kiedyś śmiano się ze mnie, że mam lekką nerwicę natręctw w postaci oblizywania palców. Odpowiedziałem: „Owszem, mam takiego sensorycznego pierdolca, ale chodzę z tym do psychologa”. Byli w szoku, no bo jak to, facet chodzi do psychologa i jeszcze się przyznaje? Tłumaczyłem, że moją siłą jest zdolność do szukania pomocy. Użyłem nawet porównania, że jestem jak brzoza, którą na wszystkie strony smaga wiatr, ale ciężko ją złamać.

Korzystałeś z psychoterapii?

– Dwa razy. Pierwszy raz po pięćdziesiątce. Trochę tych spraw do przepracowania było – dzieciństwo w cieniu traumy rodziców, później całe lata stresu mniejszościowego⁵, całe życie w strachu i wycofaniu. Pamiętaj, że dla mojego pokolenia chodzenie do psychologa czy terapeuty to był wstyd. Ja się przełamałem. Z terapią często jest tak, że niby nie czujesz przełomu, dopiero po pewnym czasie widzisz, jak wiele się zmieniło. Ja to zobaczyłem, gdy kolejny raz pojechałem do sanatorium. Wcześniej zawsze siedziałem tam zamknięty w pokoju, przestraszony, żeby mnie nikt nie zaczepiał. Po terapii nagle się zorientowałem, że chodzę na wszystkie imprezy i jestem królem uzdrowiska!

Rzeczywiście, trudno dziś w tobie zobaczyć wycofanego Kazika, o którym opowiadasz.

– Może pomyślisz, że moja pewność siebie to wyraz jakiegoś zadufania. Ale jest inaczej – psychoterapia, samoakceptacja i aktywizm kompletnie mnie odmieniły. Podejmuję się rzeczy, które – na rozum – są dla mnie zbyt trudne. Tak było chociażby w przypadku upamiętnienia homoseksualnych ofiar Majdanka. Przecież ja nie jestem historykiem!

To także była twoja inicjatywa?

⁵ Stres mniejszościowy – stres, na który narażone są osoby należące do stygmatyzowanych grup mniejszościowych, zwłaszcza LGBT+. Według psychologów może prowadzić do zaburzeń w kształtowaniu się obrazu siebie oraz być czynnikiem ryzyka powstawania problemów emocjonalnych.

– Zaczęło się od artykułu na temat tego, że ktoś chciał złożyć wieniec z tęczową wstęgą w Auschwitz. Pomyślałem „A dlaczego nie zrobić tego u nas w Lublinie na Majdanku?”. Zacząłem wydzwaniać w tej sprawie do tutejszego muzeum, wypytywać, czy mają informacje na temat tęczowych ofiar obozu. Odsyłali mnie jedni do drugich, z archiwum do rzeczniczki prasowej, później do dyrekcji. Pewnie kilkanaście rozmów telefonicznych odbyłem. Wskazano mi też jakąś skromną publikację na ten temat, bo obszernej nie było. Gdy już z grubsza wiedziałem co i jak, wiosną 2019 r. przedstawiłem sprawę na spotkaniu działaczy LGBT+, z którymi później stworzyliśmy Stowarzyszenie Marsz Równości w Lublinie. Wtedy poszliśmy do Majdanka większym gronem tęczowych działaczy, spotkaliśmy się oficjalnie z przedstawicielami muzeum. Byli wobec nas zyczliwi.

Czego od nich oczekiwaliście?

– Jakiejś formy upamiętnienia homoseksualnych więźniów. Na razie nie chcą się zgodzić na tablicę, twierdzą, że ofiar spod znaku różowego trójkąta nie było na Majdanku wiele, więc może zajmą się tym kiedyś, w przyszłości. Nawiasem mówiąc, z tymi ofiarami to nie do końca prawda. W tej chwili wiemy już o 63 osobach, a jak twierdzi Joasia Ostrowska, autorka książki „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej”, archiwa Majdanka zachowały się w około 15 procentach. Zatem w rzeczywistości ofiar musiało być wielokrotnie więcej.

Joanna Ostrowska pomagała ci w tej inicjatywie?

– Nawet bardzo. Spotkałem się z nią na Warszawskich Targach Książki w maju 2019 r. Później przyjechała do Lublina zbierać materiały do „Onych”, zachęcała mnie, bym walczył o pamięć tęczowych ofiar Majdanka.

Jak sprawa wygląda teraz?

– Udało mi się wynegocjować, że każdego roku 17 maja, czyli w dniu IDAHOBIT⁶, wraz z innymi działaczami LGBT+ z Lublina składamy na terenie obozu wieniec z różowym trójkątem przepasany tęczową szarfą. Taki wieniec złożyliśmy też 23 lipca 2019 r., w 75. rocznicę wyzwolenia obozu. Jestem z tego dumny. Szliśmy z kwiatami tuż obok Przemysława Czarnka i wicepremiera Piotra Glińskiego, ale nie polityka była tu najważniejsza. Największą satysfakcję czułem, gdy podeszli do nas przedstawiciele rodzin więźniów Majdanka i dziękowali za inicjatywę.

⁶ IDAHOBIT – obchodzony corocznie 17 maja Międzynarodowy Dzień Przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii.

Dopóki żyję, będę dbał o to, żeby co roku składać w Majdanku ten wieńiec. Mam nadzieję, że później przejmą to inni.

Z tym „dopóki żyję” zabrzmiało poważnie, ale skoro już mówisz o rzeczach ostatecznych, to cię jeszcze o coś zapytam. Co o swojej homoseksualności powiesz Świętemu Piotrowi, gdy będzie cię wpuszczał do nieba?

– To samo, co powiedziałem swojemu siostrzeńcowi, który, oglądając przygotowaną przeze mnie szopkę bożonarodzeniową, zapytał, jak łączę wiarę w Boga z tęczą. Odpowiedziałem mu, że chodząc po ziemi, Jezus przyjmował wszystkich i ja to sobie wziąłem do serca.

Nie masz pretensji do Pana Boga o swoją orientację? Może jako hetero miałbyś łatwiej?

– Żalu nie mam, ale szczególnej wdzięczności chyba też nie. To po prostu moja droga na tej ziemi. Pan Bóg, robiąc mnie gejem, zabrał mi parę rzeczy, choćby rodzicielstwo. Zawsze bardzo lubiłem dzieci, wiem, że byłbym dobrym ojcem. Jest mi też trudno, bo nie mam partnera. Gdy potrzebuję się wyplakać albo czymś pochwalić, nie mam komu. Jednak to, co w ostatnich latach dzieje się w moim życiu, to prawdziwy cud i wierzę, że stoi za nim Pan Bóg. W tamtym roku otrzymałem nominację do Korony Równości, jednej z najbardziej prestiżowych nagród społeczności LGBT+. Od kilku lat uczę się angielskiego, ostatnio byłem na spotkaniu Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT w Zurychu i językowo dawałem radę. Teraz wszedłem w skład Komitetu Monitorującego Fundusze Europejskie dla Lubelskiego 2021–2027. Nie mówię tego, żeby się chwalić. Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że ja, zwykły mechanik z Niedrzwicy Dużej, po sześćdziesiątce robię takie rzeczy!

TO JEST TAKŻE NASZ CHRYSZTUS



Małgorzata „Margot” Szutowicz

queerowa anarchistka

Małgorzata „Margot” Szutowicz – queerowa anarchistka, współzałożycielka istniejącego w latach 2019–2021 kolektywu Stop Bzdurom, który stawiał sobie za cel walkę z homofobią i transfobią.

Studiowała socjologię i antropologię na Uniwersytecie Warszawskim. Jej aresztowanie 7 sierpnia 2020 r. wywołało manifestacje i zamieszki w Warszawie w obronie osób LGBT+. W ich trakcie policja wykazywała się wyjątkową brutalnością, zatrzymano 48 osób. Po trzech tygodniach sąd wyższej instancji uznał aresztowanie Margot za bezzasadne.

Jak zobaczyłam tego Chrystusa na Krakowskim
Przedmieściu z tęczową flagą, to coś we mnie trochę pękło.
Naprawdę poczułam, że to mój Chrystus.

Dla dziennikarzy przez chwilę byłam bohaterką, a później
uznano, że mój przekaz jest zbyt radykalny i okazało się,
że liberalne media mają w dupie to, co naprawdę, jako
queery i osoby trans, mamy do powiedzenia.

Chrześcijaństwo nie może być martwą deklaracją ani
paradnym sztandarem, tylko sposobem życia. Najgłębiej
doświadczam Boga, gdy działam z innymi ludźmi albo gdy
z nimi rozmawiam.

Gdy trafiłaś do więzienia w Płocku, poprosiłaś, żeby do celi dostarczono ci Biblię. Wielu uznało to za prowokację.

– Wszystko, co wtedy robiłam, uważano za prowokację. Tymczasem ja po prostu pomyślałam, że skoro siedzę w areszcie i identyfikuję się jako chrześcijanka, to wykorzystam czas i nadrobię lekturę Pisma Świętego.

Dostałaś?

– Tylko Nowy Testament, bo Starego nie mieli. Pamiętam, jak czytałam napisany przez uwięzionego Świętego Pawła „List do Kolosan”. Kiedy będąc w pierdlu, czytasz tekst, który powstał również w pierdlu, to trochę więcej z niego rozumiesz. List kończy się słowami: „Pamiętajcie o moich kajdanach! Łaska z wami!”⁷. Pomyślałam sobie wtedy, że żeby coś takiego napisać, trzeba mieć duże poczucie humoru. Wyobraziłam sobie, że piszę do bliskiej osoby list i w ten sposób go puentuję. Zabawne, prawda?

Trzy tygodnie spędzone przez ciebie w areszcie nie wydają mi się specjalnie zabawne. Zastanawiam się, jak to możliwe, że mówisz o tym w dosyć lekki sposób.

– Całą historię z moim aresztowaniem i zamieszkami, które wybuchły w mojej obronie 7 sierpnia 2020 r., wspominam dość koszmarne. Poniósłam duże koszty, na własnej skórze doświadczyłam pogromowej atmosfery, więc cały ten emancypacyjny zryw, który wraz z innymi osobami wywołałam, nie ma dziś dla mnie smaku sukcesu. Na tle tego, co się wtedy działo, pobyt za kratkami nie wydaje mi się najbardziej traumatyczny. Paradoksalnie w więzieniu zesza ze mnie część napięcia.

W „Człowieku z żelaza” jest scena, w której aresztowana Agnieszka mówi: „Jak siedzisz w pierdlu, to sobie myślisz: «No co mi mogą zrobić? Przecież nie mogą mnie wsadzić do więzienia»”.

– Dokładnie tak jest. Stosunkowo najwięcej przemocy doświadczysz w drodze do więzienia czy aresztu: w suce, w policyjnym kotle, w areszcie, na łapance. Jak już jesteś w celi, to masz stosunkowy spokój. A przed aresztem było kilka bardzo wyczerpujących miesięcy, to był czas rozgorączkowanych działań, które robiłyśmy w ramach kolektywu Stop Bzdurom⁸.

⁷ Kol 4, 18.

⁸ Stop Bzdurom – warszawski kolektyw anarchistyczno-queerowy, który stawiał sobie za cel walkę z homofobią i transfobią. Działał w latach 2019–2021.

Wrócimy do tego, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć czegoś o tobie. Skąd pochodzisz?

– Z Koszalina. Rodzina raczej średnio religijna, z wyjątkiem jednej babci, bardzo kościółkowej. Rodzice mówili czasem: „Idź na mszę, bo babci będzie przykro”.

Szłaś?

– Czasem tak. Wysłali mnie nawet do katolickiej podstawówki, w której babcia była bibliotekarką. Tamten czas kojarzy mi się z bezsensownym klepaniem pacierza, patosem niezrozumiałych obrzędów i kłótniami z katechetką. W sumie mocno ateizujące doświadczenie.

To ciekawe. Raper Mata, który chodził do katolickiej szkoły, napisał o niej sentymentalny kawałek, w którym „grube katechetki przynoszą mleko i marchewki”, a „tysy ksiądz w okularach dawał fajne kazania”. Ty, jak rozumiesz, nie lubiłaś tej dziecięcej pobożności?

– Nie znam Maty. Z polskiego rapu wolę Zdechłego Osę i Laikike¹. Ale tak, ta pobożność wydawała mi się całkowicie sztuczna i pusta. W katolickiej szkole wytrzymałam cztery lata, później, ze względów finansowych, rodzice wysłali mnie na szczęście do publicznej podstawówki. Tam zafascynowałam się gimboateizmem, chyba trochę na złość babci, a trochę na zasadzie odreagowania wcześniejszego okresu religijnej indoktrynacji. Zaczytywałam się w Richardzie Dawkinsie⁹, który zwalczał myślenie religijne. Babcię to niepokoiło, pamiętam, że dała mi książkę „Dowody na zmartwychwstanie”. Straszne bzdury, ale ja też byłam wtedy bardzo głupiutka.

Na studia pojechałaś do Warszawy?

– Tak. Studiowałam socjologię i antropologię, a potem, dzięki wynikom w nauce, dostałam się na indywidualny tok studiów i studiowałam dodatkowo historię idei oraz filozofię. Chyba jestem w spektrum autyzmu i może dlatego bardziej niż z innymi studentami zaprzyjaźniałam się wtedy z Pascalem, Heglem, Spinozą, Leibnizem czy Kantem. Godzinami zaczytywałam się w ich tekstach. Odkryłam, że ważne miejsce zajmuje w nich Bóg. Bardzo mnie to zdziwiło, bo dla mnie Bóg był pustym rzeczownikiem używanym do tego, żeby zmuszać dziecko do klepania paciorków, ewentualnie zaprosić wujka na pierwszą komunię,

⁹ Richard Dawkins – ur. w 1941 r., brytyjski zoolog, ewolucjonista, publicysta i etnolog. Jest antyteistą, wyraża niechęć do religii instytucjonalnych. Autor głośnej książki „Bóg urojony”, która stała się ważną lekturą ruchów ateistycznych.

żeby miał okazję do napięcia się wódki. I nagle zobaczyłam, że istnieli mądrzy ludzie, którzy używali chrześcijaństwa do zrozumienia i opisanego swoich egzystencjalnych dylematów i napięć. Wykładowcy mówili nam czasem, że ci filozofowie używali religii jako zasłony dymnej dla swoich poglądów, bo inaczej spotkałyby ich konsekwencje ze strony Kościoła czy inkwizycji. A ja sobie myślałam, że to nieprawda albo przynajmniej nie cała prawda. Czułam, że ten Bóg ewidentnie był dla nich ważny, może nawet żywy. Naprawdę żyły w nich też te biblijne opowieści w sposób, którego nie doświadczyłam w Kościele.

W tobie też żyły?

– Stopniowo we mnie wchodziły i ożywały. Zaczęłam inaczej patrzeć na chrześcijaństwo, całkowicie umarła we mnie młoda debaciara, która chciała się wyklócać z babcią o dowody na zmartwychwstanie Jezusa. Wchodziłam w to głębiej i odkrywałam nieznane przestrzenie. Budowałam też swoją duchowość.

– Pamiętam moment, gdy miałam na studiach bardzo depresyjny moment i na widok krzyża strasznie się rozplakałam. Poszłam do kościoła na drogę krzyżową, która mnie mocno poruszyła. Dziwiłam się jednak, że ludzie, którzy się tam modlili, nie tworzą żadnej wspólnoty. Siedzą razem w ławkach, ale są dla siebie zupełnie obcy, nawet ze sobą nie rozmawiają. Czułam się przez to osamotniona, bo z jednej strony miałam w sobie religijne napięcie, a z drugiej – nie miałam z kim o nim pogadać.

Nie byłaś wtedy jeszcze aktywistką?

– Niezbyt lubię słowo „aktywizm”. Wolę mówić, że robię rzeczy.

Robiłaś już wtedy rzeczy?

– Od dawna. Już w Koszalinie, gdy Młodzież Wszechpolska zaczęła wywieszać plakaty: „Czy chcesz, żeby w twoim domu mieszkali Cyganie?”, pomagałam Amnesty International w organizowaniu protestów przeciwko dyskryminacji Romów. Na studiach w Warszawie mocno się zaangażowałam w działania przeciwko reformie nauki Jarosława Gowina. Później jednak wypadłam ze studiów i weszłam w warszawskie środowisko aktywistyczne i anarchistyczne. To był dla mnie trudny czas, także osobiście. W wyniku życiowych zawirowań przez kilka miesięcy byłam bezdomna.

Dosłownie?

– Dosłownie. Od 10 do 18 byłam czapką na chodniku, ewentualnie zaczepiałam ludzi o hajs na jedzenie. Wieczorami szwendałam się już bez

siły, by się do kogoś odezwać. W nocy włamywałam się do śmietników supermarketów, ale rzadko się udawało, bo kapitalizm zmusza ludzi do długich nocnych inwentaryzacji i nie ma jak się prześlizgnąć. Spałam w krzakach albo na klatkach schodowych. Ranki dosypiałam na dworcu albo w McDonalddie, kiedy była herbata za złotówkę. Później zamieszkałam na skłocie. Wyjątkowo burzliwy okres, robiłam mnóstwo głupot, hałasu. Więcej krzyczałam, niż miałam do zaoferowania.

Z czego to wynikało?

– Trochę z niedojrzałości i braku doświadczenia, a trochę z przesadnie rozgrzanej głowy i odreagowywania faktu, że gdy wychodziłam z bezdomności, w kraju trwała właśnie kampania przeciwko osobom queer. Byłam wyniszczona fizycznie i mocno wyczerpana psychicznie, ale próbowałam się jakoś ogarniać. Pamiętam, że mieszkając na skłocie, wymyśliłam, żeby zrobić w nim anarchistyczną kapliczkę. Oczywiście nic z tego nie wyszło, mówię o tym po to, żeby pokazać, jakie miałam wtedy pomysły.

W maju 2019 r., wraz z Zuzanną „Łanią” Madej, założyłyście kolektyw Stop Bzdurom, o którym już wspominałaś. Sprzeciwiał się on m.in. działaniom Fundacji Pro – Prawo do życia, która wysłała na ulice polskich miast antyaborcyjne i homofobiczne furgonetki, szczupące na osoby LGBTQ+. Zbierała też podpisy pod ustawą zakazującą edukacji seksualnej.

– Najpierw te nasze protesty były dość małe, wręcz humorystyczne. Na warszawskiej Patelni¹⁰ organizowałyśmy na przykład potańcówki przed stoiskami, na których zbierano podpisy pod wymierzonym w społeczność LGBTQ+ projektem ustawy „Stop pedofilii”. Popową i kiczowatą muzyką zagłuszałyśmy przekaz homofobów, przy okazji stając obok nich i zmuszając do tego, żeby spojrzeli nam w oczy. Robiłyśmy też niezliczoną liczbę wlepek, np. „Jestem pedałem, a nie pedofilem” albo „Jestem pedałą, a nie pedofilką”. Później robiłyśmy wlepki bardziej ekstrawaganckie, typu: „Jezus Chrystus miał dwóch ojców”. Jednak Fundacja Pro – Prawo do życia miała wsparcie rządu i policji i po prawie roku stawania na głowie zaczęłyśmy próbować też blokować homofobiczne furgonetki.

Na Facebooku pisałyście o sobie: „Od reszty grup LGBTQ+ w Polsce wyróżniają nas nasze bezczelne mordy, bezkompromisowość i metody,

¹⁰ Plac przy wejściu do stacji Metro Centrum, nazywany niekiedy „warszawskim Hyde Parkiem”. Zbierane są na nim podpisy pod petycjami, odbywają się niewielkie manifestacje, a także akcje ewangelizacyjne różnych Kościołów, głównie protestanckich.

o których nie śni się ani TVP Info, ani reszcie patoprawicy. Wszystko, co tu zrobiliśmy, wynika z wkurzenia na okrutne, szkodliwe i nieprzemysłane działania fanatyków”.

– To było w tym nieznośnym szczyście nagonki na nas, mój mózg się wtedy topił ze stresu i napięcia. Ale nie chcę podważać tego opisu – jest trafny, czy się komuś podoba, czy nie.

Doszło wtedy do zniszczenia plandeki homofobusa i szarpaniny z kierowcą furgonetki. Z tego powodu toczy się przeciwko tobie i paru osobom sprawa sądowa.

– Tego konkretnego dnia naprawdę nic nie zrobiłam. Mogłabym, oczywiście, zgrywać gangsterkę, ale kto by w to uwierzył? To żenujące, ale jakoś tak mam, że wszystkie akcje, które mi się publicznie przypisuje, akurat robił ktoś inny, a te, które robiłam ja, są średnio ekscytujące dla mediów. Nie inaczej jest w tym przypadku. Tymczasem zostałam oskarżona o zniszczenie mienia, udział w zbiegowisku, naruszenie netykalności, rozbój i chyba jeszcze coś. A tego dnia po prostu stałam pod własnym domem i patrzyłam, jak inne osoby robią z furgonetką coś, czego my jako Stop Bzdurom nie osiągnęliśmy.

Tymczasem prokurator zażądał dla ciebie aresztu na dwa miesiące.

– Pomieszkowałam wtedy na skłocie przy Wilczej, nie chciałam tam sprowadzać policji, więc poszłam do siedziby pozarządowej organizacji LGBT+ na warszawskim Powiślu. Zamówiłam wegańską pizzę i dość spokojnie czekałam na decyzję. I nagle dostaję telefon, że sędzia jednak kazał mnie aresztować! Biuro organizacji było otoczone radiowozami. Dałyśmy wtedy ogłoszenie w social mediach, że każdy, kto chce mnie pożegnać, może tam wpaść.

Na miejscu pojawiły się też telewizje informacyjne, które na żywo relacjonowały sytuację. Telewizyjna relacja na żywo zaczęła ściągać tłumy.

– Nie bardzo wiedziałam, co robić. Wyszłam z biura, podeszłam do policjantów, żeby mnie już wzięli, ale oni odmówili, nie mieli jeszcze odpowiedniego rozkazu. Doszło do wyjątkowo niezręcznej sytuacji – stoję w tłumie ludzi, którzy przyszli się ze mną pożegnać, a policja mnie nie zwija. Co robić? Wracać do biura nie wypada, bo głupio zostawić na ulicy ludzi, których się ściągnęło. Chciałam, żeby to już się skończyło. Każda osoba w spektrum pewnie zrozumie, że bycie w takim centrum uwagi jest straszne. Możesz wierzyć lub nie, ale nie miałam ochoty na żadną manifestację, czułam się tym wszystkim mocno zażenowana. Osoby, które przyszły pod biuro, były bardzo poruszone tym, co się

dzieje, a ja nie miałam na to ani pomysłu, ani ochoty. Bo co, miałam zacząć skandować rewolucyjne hasła na swój temat? Rzuciłam więc do ludzi coś w stylu: „Chodźmy na Krakowskie Przedmieście do Chrystusa”.

Tydzień wcześniej umieściłaś tęczową flagę na pomniku Chrystusa przy kościele Świętego Krzyża.

– Po raz kolejny muszę dementować, że to nie ja! Zrobiły to osoby z Gangu Samzamęt pod hasłem: „Chrystus jest nasz”, myśmy im tylko dały matronat. Ale nie chcę się od tego specjalnie odcinać, bo zebrałam za to „nagrode” – odsiedziałam 24 godziny, potem jeszcze 48 godzin, nim policja się zorientowała, że to nie ja. Jak zobaczyłam tego Chrystusa z tęczową flagą, to coś we mnie trochę pękło. Naprawdę poczułam, że to mój Chrystus.

Później premier Mateusz Morawiecki i prezydent Andrzej Duda stawiali znicze przed tym pomnikiem, mówiąc, że go sprofanowano.

– A myśmy te ich świece wzięli i zanieśli na most Poniatowskiego, na którym niespełna rok wcześniej popełniła samobójstwo transpłciowa aktywistka Milo Mazurkiewicz.

Wróćmy do 7 sierpnia. Dlaczego chciałaś iść właśnie na Krakowskie Przedmieście?

– Chciałam mieć już to wszystko z głowy. Pomyślałam, że gdzie jak gdzie, ale pod kościół iść mi nie pozwolą i będą musieli mnie wreszcie zwinąć. Mam szybki krok, więc co chwila mnie ganiono, że muszę zwolnić, bo rozwalam kolumnę. Gdy doszliśmy do Nowego Świata, było już niebiesko od policji. Powiedziałam wtedy: „Słuchajcie, to była tegoroczna Parada Równości”, bo w 2020 r. prawdziwej nie było ze względu na COVID-19. Dodałam: „Generalnie kończymy całą akcję, idźcie do domu”. Zależało mi, żeby ludzie się nie wpierdalali pod pały, ale nikt mnie, oczywiście, nie słuchał. W tym czasie zabrano mnie do radiowozu.

A ludzie zaczęli go blokować.

– Widziałam przez szybę, że tłum jest coraz bardziej żywiołowy. Jedni byli przerażeni, inni bawili się całkiem nieźle, sytuacja eskalowała, szykowały się zamieszki, a ja nie mogłam nic zrobić. Z powodu tej bezradności strasznie mi się dłużyło. Zawieźli mnie w końcu do Pałacu Mostowskich¹¹, potem na jakiś dołek pod Warszawę, następnie do więzienia na Białoleczę, a na koniec do więzienia w Płocku.

¹¹ Siedziba Komendy Stołecznej Policji.

Jak cię traktowali?

– Na pewno nie tak źle jak ludzi na zewnątrz. Parę gróźb śmierci i uderzeń. Niestety wcześniej miałam o wiele gorsze doświadczenia z policją. Oczywiście tajniacy w samochodzie mieli świetną zabawę. Byli mocno podjarani, bo dostali cynk z góry, że na pomoc wysyłają im szczególnie brutalny oddział prewencji. Rzucali żarty, mówili „którą lesbę by chcieli ruchać, a której nie” albo że „geje mają downa”. Generalnie obrzydliwy klimat. Wrzucali nagrania na prywatne WhatsAppy, by śmiać się z rodzinkami, jak to elgiebety są szarpane. Z kolei cała więzienna biurokracja, wychowawcy i psychologowie, byli przerażeni, bo wrzawa medialna narastała każdego dnia i chyba bali się kłopotów.

Z dnia na dzień stałaś się wtedy osobą, o której mówiła cała Polska, a nawet zagranicą. Kilkuset naukowców i ludzi kultury z całego świata podpisało listy w twojej obronie, w tym Pedro Almodóvar, Margaret Atwood, Slavoj Žižek i Olga Tokarczuk, a także księża Adam Boniecki i Alfred Wierzbicki.

– Ten ostatni był za to później mobbingowany przez Katolicki Uniwersytet Lubelski. Na tyle mocno, że w końcu musiał odejść z uczelni.

– Zaskoczyło mnie, że się odważył, zrobiło to na mnie wrażenie. Bardzo mi przykro, że zapłacił za to wysoką cenę. Jeżeli będzie czytał ten wywiad, to chcę mu za to podziękować i powiedzieć, że często o nim myślę.

Nigdy nie rozmawialiście?

– Nigdy. Tym bardziej cenię jego gest.

Dzięki tym wszystkim głosom w twojej obronie wyszłaś na wolność po trzech tygodniach, a nie dwóch miesiącach.

– Jestem bardzo wdzięczna tym, którzy mnie bronili. Cała ta medialna wrzawa bardzo dużo mnie kosztowała. Dla dziennikarzy przez chwilę byłam bohaterką, a później uznano, że mój przekaz jest zbyt radykalny i okazało się, że liberalne media mają w dupie to, co naprawdę, jako queery i osoby trans, mamy do powiedzenia. Oczywiście co mądrzejsze osoby nie były tym wszystkim zaskoczone. Odczułam to jako zdradę, coś dużo bardziej bolesnego niż więzienie.

Żartujesz? Przecież to ty wprowadziłaś do polskiego dyskursu społecznego pojęcie niebinarności!

– Nie ja, tylko Łania¹². Gdy siedziałam w więzieniu, udzielała wywiadów, w których mówiła, że jestem osobą niebinarną.

Gdy wyszłaś na wolność, też tak mówiłaś.

– Określam się raczej jako osoba agenderowa. Ustawiono mi jednak dyskurs w trochę innym miejscu, niż bym go sama ustawiła. Mimo to postanowiłam z tym nie walczyć.

Robiłaś to wbrew sobie?

– W sumie nie. Nigdy nie przywiązywałam się przesadnie do tych naszych etykiet. Według mnie one są superużyteczne do rozmawiania i rozumienia, a nie jako tożsamości przez duże „T”.

Jak rozumiesz agenderowość?

– Jako negację płci, bo niebinarność jest czasem wpisywaniem się w jakieś jej spektrum. Używam imienia Małgorzata i żeńskich form, ale nie umrę, gdy ktoś powie do mnie w męskiej formie. Dlatego strasznie mnie śmieszyło, gdy prawica, chcąc mi przypierdolić, mówiła o mnie na siłę jako o mężczyźnie. Bo to naprawdę po mnie spływało. Paradoksalnie zresztą nigdy wcześniej nie dostałam tyle „męskiej walidacji”, co właśnie wtedy od prawicowych mediów. Pamiętam, że w Koszalinie byłam raczej „pedałem” i próbowano mnie obrażać, podkreślając moje „zniewieścienie”.

Jak doszłaś do swojej agenderowej tożsamości?

– Gdy mieszkałam w Koszalinie, nie było u nas takiego pojęcia jak „transpłciowość”. Była jedna osoba, o której się mówiło: „Ten chodzący w szpilkach”, ogólnie mówiono też, że „coś z nim nie tak”.

– Oczywiście nic złego nie dało się o niej powiedzieć. W harcerstwie poznałam też osobę, która używała „nie tych zaimków”. Nikt nie wiedział, jak to nazwać, nie używaliśmy nawet słowa „zaimki” w tym kontekście. Dziś pewnie byśmy powiedziały, że to była osoba transpłciowa albo niebinarna. Kto wie, jak było? Wtedy nikt z nas nie pytał o tożsamość. Ja też nie zapytałam i już nie zapytam, bo ta osoba popełniła później samobójstwo.

Rozumiem, że długo brakowało ci słownika, żeby nazwać swoje doświadczenie płci?

– Tak. Z wielu powodów z płcią męską nigdy się za bardzo nie utożsamiałam. Wychowałam się w domu z samymi kobietami, przyjaźnie

¹² Łania – właśc. Zuzanna Madej, współtwórczyni kolektywu Stop Bzudrom.

nawiązywałam albo z lesbiami, albo z gejami. Nie umiałam jednak nazwać mojego doświadczenia z płcią. Dopiero „w Warszawce” dowiedziałam się, że istnieje język, za pomocą którego mogę to opisać. Poczulałam wtedy dużą ulgę.

Jak ten język odkryłaś?

– Studiując socjologię, w ramach lektur feministycznych. Kluczowym momentem było dla mnie rozpoznanie, że nigdy nie zinternalizowałam i nie chcę internalizować kulturowego bycia mężczyzną. Jednocześnie nie mam też doświadczenia kobiecego. Na ogół jestem rozpoznawana jako mężczyzna, co oznacza, że mogę korzystać z wielu związanych z tym przywilejów. Przez to na drodze swojego życia nieświadomie zgarnęłam dużo mizoginistycznego syfu. To, co mogę z tym teraz zrobić, i to pewnie dobra rada dla każdej osoby AMAB¹³, to uważnie prowadzić swoje życie, żeby trochę się z tego wyzwalać i krok po kroku być lepszą osobą.

Skoro mówisz o tym, co powinniśmy robić w życiu, to zadam ci trochę metaforyczne pytanie. Kiedy u bram rajy Święty Piotr zada ci pytanie, po co żyłaś, to co odpowiesz?

– Hasło-masło! Myślę, że trochę nie wypada zadawać takiego pytania. Mamy do wykonania niemożliwe, wręcz syzyfowe zadanie budowania królestwa niebieskiego na ziemi za naszego ograniczonego żywota. Fantazje o nie-życiu wydają mi się nudne, może nawet grzeszne. W końcu mamy tyle wspaniałej pracy, rzeczy i osób tutaj z nami.

Przyjmuję reprimendę. Masz opinię buntowniczką, tymczasem w osobistym kontakcie masz bardzo łagodne usposobienie. Pamiętam zresztą wywiady, których udzielałaś po wyjściu z więzienia. Zadawano ci skandaliczne pytania, m.in. o „partnerki erotyczne” i „cechy płciowe”. Tymczasem ty się nie oburzałaś.

– Bo, po pierwsze, jestem bardzo spokojną osobą. O wiele nudniejszą niż mój medialny image. A po drugie – gdy na co dzień słyszysz tyle mowy nienawiści wobec osób queerowych, to trochę już na to wszystko obojętniejesz. Trudno się ciągle oburzać. Zresztą, gdy po latach mówię, że żałuję mojej obecności w mediach, to nie mam na myśli tych żenujących, czasem śmiesznych pytań, tylko to, że na koniec dnia poczułam się użyta. Przekaz osób trans ostatecznie nie przebił się tak, jak powinien. Media wolały transfobów i transfobki.

¹³ AMAB – „assigned male at birth” – dosł. płeć męska przypisana przy urodzeniu.

Rozumiem twoje podejście. Ale serio, nie widzisz, że zmieniłaś świadomość społeczną? Nie masz poczucia sprawstwa?

– Wtedy miałam ogromne, ale dziś uważam, że było ono fałszywe i gorączkowe. Teraz, gdy robię rzeczy na spokojnie, mam dużo większe poczucie sprawstwa. Ale generalnie za mało w tym wywiadzie mówimy o chrześcijaństwie, a za dużo o tym zasranym aktywizmie.

W takim razie zapytam cię, co dla ciebie znaczy, że jesteś chrześcijanką?

– Fuck. Supertrudne pytanie.

Sama chciałaś.

– Jak już mówiłam – to budowanie i wzmacnianie wspólnoty, tylko oddolne. Myślę, że rozkmina Jana, że ostateczną materializacją wszelkiego zła jest totalitarne państwo-imperium, jest niegłupia. Chrześcijaństwo nie może być martwą deklaracją ani paradnym sztandarem, tylko sposobem życia. Nie powodem do dumy i pychy, tylko do wdzięczności. Tego się nie da wytłumaczyć innym, bo to raczej proces, w którym ciągle się uczysz i na nowo odnajdujesz.

Nie czujesz się w takim rozumieniu chrześcijaństwa osamotniona? Bo w Polsce społeczność wierzących oraz społeczność queerowo-anarchistyczna to raczej zbiory rozłączne.

– Na szczęście mam wokół siebie osoby, z którymi mogę o tym porozmawiać, bo czują te sprawy podobnie jak ja. Uczestniczę też w regularnych nabożeństwach online z osobami queerowymi z całego świata. Czasem przychodzę też na spotkania Wiary i Tęczy. Byłam na kilku nabożeństwach Reformowanego Katolickiego Katolickiego. Nie mam więc poczucia duchowej bezdomności.

A kim jest dla ciebie Jezus?

– Moim zdaniem rolą człowieka nie jest określanie tego, kim jest Bóg czy Trójca Święta. Nie mam prawa „zarządzać” ani Ojcem, ani Synem, ani Duchem Świętym. To jest tabu, którego nie powinniśmy naruszać swoimi nieudolnymi fantazjami. Ktoś mnie ostatnio zapytał, jak można pogodzić wizję wszechmocnego Boga i zła, które jest w świecie.

Co odpowiedziałaś?

– Że nie mam pojęcia, ale szczerze mówiąc, za bardzo mnie to nie obchodzi. Weźmy wreszcie, kurwa, trochę odpowiedzialności za ten świat i nie zwalajmy wszystkiego na Boga. Niestety Nowy Testament ludzie zupełnie przepalili.

Czy w takim podejściu jak twoje jest przestrzeń na osobisty kontakt z Bogiem? Na przykład na modlitwę?

– Moje doświadczenie mówi, że gdy człowiek bardzo chce porozmawiać z Bogiem, tak naprawdę, na 99 proc. potrzebuje porozmawiać sam ze sobą. Czy Bóg mnie wtedy słyszy? Czuję, że nie muszę tego rozstrzygać. Historie Boga Ojca i Jezusa są dla mnie w pewnym sensie domknięte. Zostaje nam perspektywa ponowotestamentalna, w której żyjemy. To przestrzeń działania Ducha Świętego, który tworzy wspólnotę. Najgłębiej doświadczam Boga, gdy działam z innymi ludźmi albo gdy z nimi rozmawiam, zwłaszcza o kwestiach duchowych. Czuję wtedy ogień nad głową, a nie w głowie i jest mi z tym dobrze.

Ładna metafora z tym ogniem, tylko nie do końca ją rozumiem.

– Ogień w głowie jest wtedy, gdy emocje się w tobie gotują i cię niszczą. Gdy się spalasz. Miałam to kiedyś i już nie chcę. Ogień nad głową to sytuacja, gdy działam, czując dla swoich działań błogosławieństwo. W czasie zesłania Ducha Świętego apostołowie mieli płomienie nad głowami, a później poszli w świat robić rzeczy. Ja też tak chcę.

BOGU NIE MUSZĘ SIĘ TŁUMACZYĆ Z TRANSPŁCINOWOŚCI



Kinga Kosińska

pisarka

Jej debiutem literackim była oparta na wątkach autobiograficznych książka „Brudny róż. Zapiski z życia, którego nie było” (Nisza 2015), w której szczerze opowiedziała m.in. o swojej transpłciowości. Później ukazały się jeszcze jej powieści „Beza” (Linia 2019) oraz „Kurzak” (Seqoja 2021).

Od lat związana z Fundacją Wiara i Tęcza, prowadziła stronę internetową dla wierzących osób trans. W 2016 r. wzięła udział w głośnej kampanii społecznej „Przekażmy sobie znak pokoju”, pierwszej tego typu inicjatywie w Polsce stworzonej wspólnie przez organizacje LGBT+ i środowiska katolickie. Mieszka w Czeladzi.

Mając kilka lat, chodziłam na msze dla dzieci. Siostra zakonna ustawiała chłopców po lewej, a dziewczynki po prawej stronie ołtarza. Bardzo o tę zasadę dbała. Raz wmieszałam się w tłum i przeszłam do dziewczynek. Duża radość.

Kiedy tata zobaczył, że dzięki tranzycji odzyskuję siły do życia, przyjął mnie jako córkę. Nie było mu łatwo, miał konserwatywne poglądy. Do końca życia był dla mnie dowodem, że miłość zwycięża uprzedzenia.

To Kościół jest dla nas, a nie my dla Kościoła. Mamy pełne prawo w nim być i nie zmieniać tego różni idioci w sutannach, którzy myślą, że się ich przestraszymy.

– Chcesz ze mną rozmawiać o doświadczeniu bycia trans, tymczasem ja wcale nie jestem fanką transpłciowości...

Chcę przede wszystkim rozmawiać o tobie.

– Czyli o kobiecie, której życie kazało podejmować cholernie trudne decyzje. W tym tę najtrudniejszą, o korekcie płci.

Żałujesz?

– No co ty! Nie żałuję i nigdy nie żałowałam. Tranzycja jest jak wyjście z więzienia. Nawet gdy na wolności nie układa się najlepiej, to nie chcesz wracać za kratki.

Co jest najtrudniejsze?

– To, że mimo postępu medycyny proces korekty nie jest i być może nigdy nie będzie doskonały. Decydując się na tranzycję, doskonale wiedziałam, że nigdy nie zajdę w ciążę, nie będę miała okresu, a moja seksualność nie będzie taka jak u kobiety cispłciowej. Wiedziałam, a jednak jakąś żalobę po tym wszystkim i tak musiałam przeżyć. Gdy słyszę, że mam być dumna z transpłciowości, coś mi zgrzyta. Owszem, jestem dumna, ale z tego, że dałam radę i się nie poddałam. Może część osób trans się na mnie obrazi. Może powie, że pieprzę farmazony albo kalam własne gniazdo. Ale wiem, że mam prawo do swojej opowieści i swojej prawdy.

Nie masz duszy aktywistki?

– Kompletnie nie mam, wewnątrznie jestem kurą domową! (śmiech) W Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych coraz modniejszy staje się ruch Tradewife, czyli „tradycyjnych żon”. Zrzesza kobiety, które po urodzeniu dziecka nie chcą wracać do pracy.

Jedna z jego twórczyń Alena Kate Pettitt ma własny kanał na YouTube, na którym przekonuje: zajmujcie się domem, umilajcie czas mężowi.

– To straszne, ale czuję, że gdyby nie to, że jestem trans, byłabym straszną konserwatystką. Kto wie, czy nie głosowałabym na PiS i nie uczestniczyła w krucjatach przeciwko gejom!

Mam wrażenie, że teraz sobie ze mnie żartujesz.

– Ani trochę. Ta fascynacja tradycyjną rolą kobiety to pewnie trochę retrosentyment, podobny do słuchania płyt winylowych. Myślę jednak, że to przede wszystkim tęsknota za domowym ogniskiem, takim z domem, kominkiem, mężem i gromadką dzieci. Nie mam prawa za tym tęsknić?

Masz.

– Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. W pełni zaakceptowałam swoje życie, uważam, że jest ono okej. Ale tkwi też we mnie pewien ból, może wręcz pretensja, że zostałam pewnych rzeczy z góry pozbawiona.

A co zyskałaś?

– Chociażby wrażliwość i otwartość na innych, których – jak już wspomniałam – mogłabym w alternatywnej wersji życia w sobie nie mieć. Ale to nie zmienia faktu, że wielu rzeczy, które inni mieli, nie doświadczyłam. Na przykład beztróskiego, radosnego dzieciństwa.

Kiedy myślisz o sobie jako dziecku, to co czujesz?¹⁴

– Dużo czułości. Przez lata uczyłam się jej w stosunku do siebie, także tej sprzed tranzykcji, kiedy byłam okropnie samotna.

Kilka lat temu zapytałem cię o dawne imię, jeszcze nie wiedziałem, że to niegrzeczne. Zdecydowanie odmówiłaś odpowiedzi.

– Mam zasadę, że nie ujawniam dawnego imienia. Poznałeś mnie jako Kingę i chcę pozostać dla ciebie Kingą. Może to jakaś obawa przed tym, że ludzie będą kwestionować moją kobiecość?

Masz zdjęcia sprzed tranzykcji?

– Mam, ale rzadko oglądam. Niektórzy ludzie po korekcie niszczą stare albumy. Ja nie miałam takiej potrzeby, ale przez lata leżały one na półce i się kurzyły. Ale to nie znaczy, że próbuję zapomnieć o dziecku, którym byłam.

Kiedyś mówiłaś mi, że trafiłaś na swoją fotografię z pierwszej komunii.

– Wzrusza mnie to zdjęcie, bo przedstawia tak smutnego chłopca, że aż mam ochotę go przytulić.

Na komuniijnym zdjęciu jesteś smutna?

– Chyba między innymi przez strój. Wtedy chłopcy przystępowali do pierwszej komunii w garniturach, a dziewczynki w sukniach. Wtedy jeszcze alby nie były popularne. Mama wspomina, że poprosiłam ją wtedy o białą sukienkę. Oczywiście tak się nie dało, musiał być garnitur, pamiętam, jak okropnie się czułam, gdy przymierzałam go w sklepie, a potem pozowałam w nim do zdjęcia.

¹⁴ W części wywiadu dotyczącej dzieciństwa i tranzykcji wykorzystałam niektóre wypowiedzi bohaterki, których mi udzieliła, gdy pisałam na jej temat artykuł do miesięcznika „Znak” w 2014 r. Por. M. Dzierżanowski, K. Kosińska, *Bóg mnie odnalazł w mroku*, „Znak” 2014, nr 715.

Kościół rzymskokatolicki pilnuje ostrego podziału na mężczyzn i kobiety i to już od dziecka.

– Nie rozumiem, po co aż tak się przy tym upiera. Pamiętam, jak mając kilka lat, chodziłam na msze dla dzieci. Siostra zakonna ustawiała chłopców po lewej, a dziewczynki po prawej stronie ołtarza. Bardzo o tę zasadę dbała. Raz wmieszałam się w tłum i przeszłam do dziewczynek. Duża radość.

Jakim byłeś dzieckiem?

– Wychowawczynie w przedszkolu ciągle powtarzały: „Jaki grzeczny chłopczyk!”. A ja czułam, że coś jest w tym stwierdzeniu nie tak. Nie lubiłam też chodzić do fryzjera, bo ścinał mi włosy na krótko. Część swojego życia przeniosłam do świata wyobraźni. Tam było jakoś weselej, przyjaźniej.

Bo?

– Wszystkie realne sytuacje przeżywałam jeszcze raz, tylko jako dziewczynka. Co ciekawe, nie byłam w stanie wyobrazić sobie wtedy swojej twarzy. W żeńskiej wersji nie byłam do końca cielesna. Innym azylem, w którym mogłam odpocząć od rzeczywistości, był Kościół. Liturgia była rodzajem mistycznego odcięcia się od zwykłego życia. Kiedyś rodzice zgubili mnie pod kościołem, długo szukali, a okazało się, że jestem w środku, bo sama z siebie zostałam na kolejną mszę.

Trochę jak dwunastoletni Jezus! (śmiech)

– Rzeczywiście! Zresztą Jezus był wtedy dla mnie ważnym punktem odniesienia, takim przyjacielem, który jako jedyny wie o mnie wszystko. Lubiałam nabożeństwa i lekcje religii. Aż do czasu, gdy na katechezie ksiądz powiedział, że niektórzy mężczyźni są zniewieściali i że to nie po chrześcijaństwie. Mocno się wtedy wewnętrznie przeciwko Kościołowi zbuntowałam, czułam, że to już nie do końca mój azyl.

Został tylko świat wyobraźni?

– Też nie do końca. Na swoje nieszczęście dosyć wcześnie zaczęłam dojrzewać. Wiesz, jabłko Adama, zarost, wszystko wcześniej niż u kolegów z klasy.

Miałem bardzo podobnie, pamiętam, że pierwszy w klasie zacząłem się golić. Tyle że ja byłem z tego dumny.

– Dla mnie zmiany, które wtedy następowały w moim ciele, były odrażające. Zwłaszcza erekcje. Lekcje wuefu były katorgą. Pamiętam, że wtedy ucieczki w świat wyobraźni stały się dużo trudniejsze.

Świadomie myślałaś wtedy o sobie jak o dziewczynie?

– Chyba nie do końca. Podobali mi się chłopcy, więc uznałam, że jestem gejem. Chociaż poczekaj, czy wtedy mówiło się „gej”? Raczej ciota albo pedał... Zresztą słowo „pedał” ciągle pod swoim adresem słyszałam. Pedalski wygląd, ruchy, sposób mówienia...

Chłopaki tak cię wyzywały?

– Ja się wtedy głównie trzymałam z dziewczynami, ale dziewczyny też potrafią niezłe dopiec. Miałam jednego przyjaciela, pomagałam mu trochę w nauce, lubiliśmy się. Pewnego dnia powiedział: „Wiesz, nie możemy się kumplować, bo się ze mnie śmieją, że się zadaję z ciotą”.

Jak reagowałaś?

– Próbowałam nie być „ciotą”. Postanowiłam, że nauczę się męskiego sposobu chodzenia, ale strasznie kiepsko mi to szło. Obraziłam się więc na świat, próbowałam schodzić ludziom z drogi i pola widzenia. Zaczęłam wagarować, w szóstej klasie uciekłam z domu.

O swojej przyszłości myślałaś?

– Chyba niezbyt ją sobie wyobrażałam.

A o tranżycji?

– No co ty, nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje, zresztą skąd to mogłam wiedzieć? Dopiero gdy miałam 16 lat, obejrzałam w telewizji dokument o osobach transpłciowych. To było jak uderzenie pioruna, nagle zrozumiałam, że to o mnie. Zazdrościłam bohaterom i bohaterkom, że mówią o sobie w tak otwarty sposób. Byłam przekonana, że ja się na to nigdy nie zdobędę. Jednak po jakimś czasie powiedziałam koleżance, że jestem gejem. Już wtedy wiedziałam, że to nie do końca prawda, ale to mi się, mimo wszystko, wydawało prostsze, niż powiedzieć: „Jestem trans”.

Jak wypadł ten coming out?

– Całkiem dobrze. Koleżanka zapewniła, że wszystko jest okej, pytała, czemu wcześniej z nią o tym nie porozmawiałam. Po tym doświadczeniu nabrałam odwagi i postanowiłam powiedzieć mamie. Wtedy ukazywało się takie pismo dla osób homoseksualnych pt. „Inaczej” – pamiętam, że dałam jej egzemplarz i powiedziałam, że to o mnie. Byłam zadowolona, że mama już wie, choć początkowo nie do końca to przyjęła, myślała chyba, że coś sobie wymyśliłam. I jeszcze rzuciła: „Tylko nie mów tacie!”... Po maturze poszłam na filozofię na Uniwersytet Śląski,

ale nowe miejsce i nowe środowisko mnie przerosły. W dodatku nieszczęśliwie się zakochałam w koleżdze ze studiów. Odeszłam z uczelni, zaczęłam wpadać w depresję.

Kiedy zdecydowałaś się na tranzycję?

– To chyba nie był jeden określony moment, ale pamiętam impuls, który sprawił, że na poważnie zaczęłam o tym myśleć. W 2001 r. telewizja emitowała reality show pt. „Gladiatorzy”, w którym brała udział pochodząca zresztą z moich okolic Dominika Hebdowska. W trakcie programu wyszło na jaw, że urodziła się jako Dominik i że jest po korekcie płci. Dla mnie stała się bohaterką, śledziłam ją w mediach, pamiętam, że przeczytałam z nią wywiad w „Tinie”. Napisałam do redakcji z pytaniem, czy to możliwe, że jestem jak Dominika. Odpisali życzliwie, podali kontakt do specjalisty w Warszawie, ale nie było mnie wtedy stać na wyjazd do innego miasta. Dusiałam to w sobie, ale w pewnym momencie przyszedł moment, kiedy już wiedziałam, że nie wytrzymam. Miałam myśli samobójcze, wiedziałam, że muszę zacząć coś z tą swoją transpłciowością zrobić. A jednocześnie się bałam. Mimo to poszłam do seksuologa. Miałam wtedy chyba 19 lat.

To był dobry lekarz?

– Na szczęście tak, bo to było prawie 20 lat temu i bardzo łatwo było trafić na kogoś, kto nie miał pojęcia o temacie. Zresztą ja też niewiele wiedziałam, nie miałam nawet dostępu do porządnego internetu, nie znałam też chyba osobiście żadnej osoby LGBT+. Seksuolog skierował mnie do psychologa klinicznego, zaczęło się diagnozowanie.

To żmudna procedura.

– Wtedy nawet bardziej żmudna niż dziś. Trzeba wykluczyć choroby psychiczne. Zanim zaczęłam terapię hormonalną, minęło chyba półtora roku. Na szczęście mama była po mojej stronie.

A ojciec?

– Powiedziałyśmy mu już w trakcie terapii, długo nie mógł zrozumieć. Przez pół roku prawie nie rozmawialiśmy. Ale kiedy zobaczył, że dzięki tranzycji odzyskuję siły do życia, przyjął mnie jako córkę. Nie było mu łatwo, miał konserwatywne poglądy. Do końca życia był dla mnie dowodem, że miłość zwycięża wszystkie uprzedzenia.

Jak reagowałaś na terapię?

– Denerwowałam się, że hormony nie przynoszą wystarczająco

dobrych rezultatów. Chciałam, żeby szybciej rósł mi biust i żeby wreszcie zniknął zarost. Nie byłam zadowolona z tego, jak wyglądam, inna sprawa, że to był czas, kiedy z niechęci do swojego ciała w ogóle o sobie nie dbałam. Szczerze mówiąc, wyglądałam bardziej jak zaniedbany facet niż kobieta. Paradoksalnie właśnie wtedy musiałam przejść tzw. test realnego życia.

Na szczęście teraz już się od tego odchodzi. Powiesz, na czym ten test polega?

– Na tym, że przez kilka miesięcy trzeba funkcjonować publicznie w nowej roli. Dla sądu to dowód, że jest się osobą trans. To jest czas na początku tranzycji, kiedy wygląd się jeszcze za bardzo nie zmienił, nie ma się też zmienionych dokumentów. Wiele osób wyprowadza się wtedy do innego miasta, ale mnie nie było na to stać. Od urodzenia mieszkam w tym samym bloku w niedużym mieście Zagłębia Dąbrowskiego. Wyobraź sobie tych wszystkich sąsiadów, którzy cię znają od dziecka i nagle widzą, że zaczynasz mieć makijaż i nosić kolczyki. Krzyczeli za mną „transwestyta”, „pedał”, „przerób”. Nie umiałam reagować. W takich sytuacjach jestem jak sparaliżowana, udaję, że nic nie słyszę.

Mówisz dziś o tym dość spokojnie.

– Staram się, choć do dziś miewam koszmary, w trakcie których jestem dzieckiem i się boję, że ktoś mnie pobije. Ale wiem, że przeszłości nie zmienię, dlatego nie rozpamiętuję dawnych krzywd. Zresztą, im dłużej żyję, tym mam w sobie coraz więcej wyrozumiałości także dla osób, które mnie krzywdziły.

Kolejny etap to była procedura w sądzie.

– Też okropna, bo w Polsce trzeba pozwać rodziców o to, że po urodzeniu błędnie oznaczyli płeć noworodka w akcie urodzenia. Absurd. Rodzice musieli zeznawać, ale wtedy już byli jednoznacznie po mojej stronie. Gdy dostałam wyrok sądu, że jestem kobietą, czułam, że nasza rodzina jest bardziej zjednoczona niż kiedykolwiek.

Imię Kinga pojawiło się wtedy czy już wcześniej?

– To ciekawe. W swojej książce „Mam na imię Ania” Anna Grodzka pisze, że długo przed tranzycją wewnątrznie czuła, że właśnie tak się nazywa. Ja tak nie miałam, kiedy przyszedł czas na zmianę dokumentów, zastanawiałam się, jakie imię wybrać. W dzieciństwie rodzice często mnie wysyłali na wycieczki, pamiętam, że z Kopalni Soli „Wieliczka” przywiozłam figurkę Świętej Kingi. Później stała ona w moim

pokoju, jakoś ją polubiłam. Pomyślałam, że imię Kinga będzie dla mnie w sam raz. Podobała mi się jego twardość i konkretność.

Dopiero po uzgodnieniu płci w sądzie można dokończyć tranzycję medyczną.

– Na operację pojechałam do Gdańska, miałam wtedy 21 lat. To wszystko kosztuje straszne pieniądze, państwo w ogóle nie finansuje tych procedur medycznych, choć przecież niejednokrotnie ratują one ludziom życie. Mojej rodziny tak naprawdę nie było na nie stać, pamiętam, że wszystkie pieniądze rodziców szły wtedy na moich lekarzy, zabiegi i leki. Nie mieli pieniędzy, żeby zawieźć mnie do szpitala, gdzie miałam się poddać operacji. Nigdy nie zapomnę mojej samotnej podróży pociągiem przez całą Polskę i śniegu, który padał za oknem. Na urologii dali mi izolatkę, pewnie po to, żeby mnie można było swobodnie odwiedzać. Tyle że nikt mnie nie odwiedzał.

Po operacji przychodzi ulga?

– U mnie nie przysłała. Za to przyszedł duży kryzys. To jest temat, który wiele osób transpłciowych porusza bardzo niechętnie, ale ja chcę o tym powiedzieć. Efekt korekty płci prawie zawsze jest rozczarowaniem, przynajmniej u mnie tak było. No bo tyle wysiłku włożyłam, a nie wyglądałam tak, jak bym chciała.

Co czułaś?

– Żal, bo wydawało mi się, że ciągle jestem zbyt męska. Kiedyś na ulicy zapytałam o drogę i przechodzień zwrócił się do mnie „proszę pana”, porażka na całej linii. Gdy wróciłam do domu, po pewnym czasie próbowałam sobie podciąć żyły, później trulałam się tabletkami, sąsiedzi widzieli, jak pogotowie wynosi mnie na noszach. Chyba część z nich zrozumiała wtedy, że to częściowo przez nich. Mam wrażenie, że po powrocie ze szpitala byłam traktowana lepiej. „Lepiej” to znaczy, że sąsiad na twój widok nie odwraca już głowy, tylko mówi „Dzień dobry”. Nawet nie wiesz, ile taki gest może znaczyć. Mama mi powiedziała, że jeśli jeszcze raz spróbuję sobie coś zrobić, to ona tego nie przeżyje. Chyba głównie ze względu na nią poszłam na terapię. To był bardzo mroczny czas, także dlatego że traciłam bezpieczną przystań, jaką wcześniej był dla mnie Kościół.

Ze względu na negatywny stosunek Kościoła do transpłciowości?

– Wtedy Kościół przede wszystkim zaostrzył retorykę przeciwko gejom. O nas, osobach transpłciowych, mówił mniej, ale ja czułam, że

występuje także przeciwko mnie. Później pojawiła się instrukcja Watykanu zakazująca dokonywania zmian imienia w metrykach chrztu po korekcie płci¹⁵. To było okropne. Poczulałam, że to już nie jest kwestionowanie tego, co zrobiłam, ale też tego, kim jestem. Przestałam chodzić do spowiedzi i na msze. Bunt wobec Kościoła przeniósł się na Boga, miałam do niego pretensje i w myślach Mu o nich mówiłam. „Bawisz się mną? Jaja sobie ze mnie robisz, facet?”.

„Facet”?

– Widzę, że po dziennikarsku zwietrzyłeś trop z tym „facetem”, ale raczej fałszywy. Tak mi się po prostu powiedziało, nie szukaj drugiego dna. Owszem, jesteśmy wychowywani w kulcie Boga Ojca, ale to, czy Bóg jest facetem, czy nie, raczej nie miało i nie ma dla mnie specjalnego znaczenia. Coraz bardziej kojarzy mi się jako Ktoś poza płcią. Po tranzyjacji czułam, że nie podoba Mu się to, co zrobiłam. A jednocześnie wiedziałam, że ze względu na samobójcze myśli tranzyjacja uratowała mi życie. No to jak to jest? Wybierając życie, zdradziłam Pana Boga? Nonsens!

Czy udało ci się rozwiązać ten dylemat?

– Na początku nie. Miałam poczucie, że z punktu widzenia Pana Boga przeszłam na ciemną stronę mocy. Przestałam się modlić, trochę tak, jakbym chciała się przed Nim schować. Ale po cichu marzyłam, żeby mimo wszystko mnie przytulił. Po jakimś czasie w tym całym mroku zaczęły się pojawiać promyki światła. Czułam, że mnie odnalazł. Poszłam do kościoła w sąsiedniej parafii, pierwszy raz jako Kinga. Zastanawiałam się, jak to będzie, ale ogarnął mnie spokój i bezpieczeństwo. W tym samym czasie na zdjęciach z Parady Równości zobaczyłam transparent „Bóg kocha transkobiety”. A więc nie jestem sama, co za ulga! Wkrótce dowiedziałam się o Wierze i Tęczy, okazało się, że grupę założył homoseksualny i transpłciowy lekarz z Warszawy. To mnie dodatkowo przekonało. W trakcie mszy na pierwszych rekolekcjach Wiary i Tęczy popłakałam się jak dziecko. Pierwszy raz poczułam wtedy, że nie muszę się tłumaczyć z transpłciowości. Ani ludziom, ani Bogu.

Przez ten czas Kościół rzymskokatolicki w Polsce zaostrzył nagonkę na osoby LGBT+. Nie przeszkadza ci to?

¹⁵ W 2002 r. Watykan zabronił księżom wprowadzania zmian w metrykach chrzcielnych osób transpłciowych, które dokonały prawnego uzgodnienia płci. Zaleca się jednak, by księża fakt ten w poufny sposób odnotowywali na marginesie metryki. Por. M. Dzierżanowski, *Wiara w kolorach tęczy. Jak pogodzić homoseksualność, biseksualność, transpłciowość z byciem chrześcijaninem*, Warszawa 2017, s. 42–43.

– Cholernie przeszkadza. Jako instytucja jest dziś dla mnie bardzo nie w porządku. Ale ja postrzegam Kościół przede wszystkim jako wspólnotę wszystkich ludzi dobrej woli, zarówno wierzących, jak i niewierzących. Wiem, że z takiej wspólnoty żaden Jędraszewski, choćby stawał na głowie, nie jest w stanie mnie wypieprzyć. Pewnie jego marzeniem jest to, żebym poszła sobie do jakiegoś kościoła wyznawców spaghetti, mógłby sobie wtedy poużywać. Ale nic z tego, nie dam mu tej satysfakcji.

Słyszę w tobie dużo gniewu.

– Raczej determinacji, która każe mi powiedzieć każdej wierzącej osobie transpłciowej: to Kościół jest dla nas, a nie my dla Kościoła. Mamy pełne prawo w nim być i nie zmienią tego różni idioci w sutannach, którzy myślą, że się ich przestraszymy. Żeby było jasne: nie uważam bynajmniej, że księża są do niczego. Dzięki Wierze i Tęczy poznałam wspaniałych kapłanów, którzy przybliżyli mnie do Boga. Ale nie zamierzam ukrywać, że Kościół jako instytucja moim zdaniem mocno zbłądził. Jego kryzys bierze się m.in. stąd, że w pewnym momencie poszedł na duchową i intelektualną łatwiznę. Przestał zadawać trudne pytania, za to ma mnóstwo prostych, wręcz prostackich odpowiedzi. Przez to skazał się na społeczną banicję. To przykre, ale coraz mniej ludzi się już chyba nim przejmuje.

Ty praktykujesz?

– W tej chwili nie. Jednak nadal czuję, że jestem częścią tkanki Kościoła, a nie obcą naroślą na jego ciele. Czasami nie jest mi łatwo. Trzy lata temu zmarł mój tata, bardzo to przeżyłam, czułam, że zawalił mi się świat. Poszliśmy wtedy z mamą do księdza, by załatwić formalności związane z pogrzebem. Poprosiliśmy, by podczas mszy żałobnej ksiądz pożegnał zmarłego „w imieniu żony i córki”. Proboszcz, który doskonale zna moją historię, bo regularnie odwiedza nas po kolędzie, powiedział, że tego nie robi. Uznał, że nie byłam „córka” mojego ojca. W końcu podczas ceremonii łaskawie powiedział, że zmarły pozostawił „żonę i dziecko”. Masakra. Nawet przy takiej okazji dał mi znać, że mnie nie akceptuje.

Jak zareagowałaś?

– Wtedy nie miałam siły protestować. Ale mama, która jest bardzo pobożna, powiedziała mi później, że bardzo mnie zranił. Chyba coś zrozumiał, bo przy kolejnej mszy za duszę taty powiedział już o mnie „córka”.

Chciałabyś, żeby Kościół cię przyjął jako Kingę?

– Chciałabym. To, że kwestionuje moją tożsamość, jest dla mnie bardzo trudne. W Kościele anglikańskim istnieje rytuał przyjęcia do wspólnoty osób po tranżycji z ich w pełni ujawnioną tożsamością. Piękna ceremonia, w trakcie której ksiądz zwraca się do ciebie nowym imieniem. Marzy mi się, żeby kiedyś taki obrzęd wprowadzono także w katolicyzmie.

W ostatnich latach opublikowałaś trzy dobrze przyjęte książki. Skąd się wzięło twoje pisanie?

– Zawsze szukałam jakiegoś wentyla dla mojego introwertyzmu. Gdy siadam przed otwartym plikiem w komputerze i zaczynam tworzyć, czuję, jakbym wreszcie zaczęła rozmowę ze światem na moich warunkach. Bo pisanie to dla mnie przede wszystkim intymne spotkanie z drugim człowiekiem. Wyobrażam sobie, że kiedyś te moje zdania ktoś będzie czytał i może nawet się nad nimi pochyli. Może będą dla niego ważne? Zawsze bardzo lubiłam czytać; gdy siadam nad książką, miałam wrażenie, że prowadzę osobisty dialog z autorem. W pewnym momencie chciałam zobaczyć, jak ten proces wygląda z drugiej strony.

Co się stało, że spróbowałaś?

– Będziesz się śmiał, ale przyczynił się do tego m.in. reportaż, który w 2014 r. napisałam o mnie dla miesięcznika „Znak”. Miał formę mojego monologu. Nie zrozum mnie źle, tekst był naprawdę w porządku, ale pomyślałam wtedy „Czy nie mogę opowiedzieć o sobie własnym głosem?”.

Po tekście w „Znaku” ukazał się też okładkowy wywiad z tobą w „Tygodniku Powszechnym”, który był później nominowany do prestiżowej nagrody dziennikarskiej „Grand Press”.

– Tamta rozmowa odbiła się jeszcze szerszym echem, co było dla mnie bardzo ważne. Miałam wrażenie, że zrobiłam coś istotnego dla wierzących osób trans. Brałam nawet udział w internetowych dyskusjach wokół tego wywiadu, czasem bywało ostro. Pamiętam, jak pewna gorliwa katoliczka uporczywie nazywała mnie „panem Kingą”. Mimo to czułam satysfakcję, że dwa ważne katolickie magazyny, „Tygodnik Powszechny” i „Znak”, napisały o mnie i – przede wszystkim – o transpłciowości. Wciąż jednak czułam niedosyt, że o mnie piszą inni. Zaczęłam wtedy pisać książkę „Bрудny róż. Zapiski z życia, którego nie było”. Nie było to łatwe, bo miałam spore kompleksy. Bałam się, że nie mam odpowiedniego wykształcenia, literackiego przygotowania i że nie poradzę sobie z warsztatem.

Nie bądź taka skromna. Twój „Brudny róż” ukazał się w prestiżowym wydawnictwie Nisza, którego książki mają na swoim koncie nominację do Nagrody Nike, Nagrodę Literacką UE, Nagrodę Gdynia, Nagrodę Fundacji im. Zbigniewa Herberta i nominację do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Niezłe miejsce jak na literacki debiut.

– Jestem bardzo wdzięczna twórczyni wydawnictwa Krystynie Bratkowskiej, która uwierzyła w ten mój pierwszy, mocno nieoszlifowany tekst.

To była w zasadzie autobiografia.

– Dlatego bardziej jestem dumna z moich kolejnych książek. Pisząc je, udowodniłam sobie, że jestem pisarką, bo w swojej twórczości mogę się wznieść ponad własną historię.

Bohaterką „Brudnego różu” jest transpłciowa dziewczyna, „Bezy” – kobieta z zespołem Downa, a „Kurzejki” – więźniarka, która odsiaduje wyrok dożywocia. Coś je łączy?

– Pozornie nic. Ale wszystkie funkcjonują na marginesie, pozostają dla społeczeństwa niewidzialne, niesłyszalne i nieme. Bohaterka „Bezy”, dojrzała kobieta, niby żyje aktywnie, uczestniczy na przykład w wielu zajęciach terapeutycznych, ale to wszystko odbywa się pod pełną kontrolą tzw. zdrowych ludzi. W książce mówi o swoich potrzebach, także seksualnych. Znasz większe tabu społeczne niż seksualność osób z zespołem Downa?

Z kolei bohaterka „Kurzejki” dokonała zbrodni, za którą została skazana na dożywocie.

– Dla świata jest nikim, tytułową kurzejką, którą najchętniej by się wycięło lub wypaliło. Ale ona nie zamierza zniknąć i uparcie jest. W ramach programu resocjalizacyjnego zaczyna się opiekować niepełnosprawnym chłopcem, a więc może jej życie ma jednak jakieś znaczenie i sens? Jeśli tak, to jakie? Pisząc te książki, czułam z moimi bohaterkami szczególne feministyczne siostrzeństwo. Choć nigdy wcześniej nie myślałam, że jestem feministką.

Te bohaterki by nie powstały, gdyby nie twoje doświadczenie, prawda?

– Oczywiście, że moja historia jest dla ich życia ważnym backgroundem. Dziś, po wydaniu autobiografii i po tym, gdy udzieliłam na swój temat kilku wywiadów, moje życie może się komuś wydawać otwartą księgą. Ale przecież przez jego ogromną część żyłam w ukryciu. Nikomu nie mówiłam, kim jestem. Moje pisanie to także odzyskiwanie własnej narracji.

Skoro już mówimy o mówieniu własnym głosem. Gdy kiedyś staniesz przed Świętym Piotrem, który będzie cię wpuszczał do nieba, to co mu powiesz?

– Że w pewnym momencie mojego życia straciłam wiarę w drugiego człowieka. Że czułam się wtedy totalnym odszczepieńcem i że to strasznie trudne. Poprosiłabym, żeby pogadał ze swoim Szefem i przekonał Go, by transpłciowe dzieci, które się w przyszłości urodzą, nie musiały przechodzić przez podobne piekło.

Posłucha?

– Czasem myślę, że już słucha. Coś się jednak w tym zakresie zmienia, młodzi ludzie coraz odważniej mówią dziś światu, kim są. Także dzięki aktywistom i aktywistkom LGBT+, którym może czasem się narażam, ale o których tak naprawdę myślę, że robią wspaniałą robotę. Również dla przyszłych pokoleń.

A za co byś Panu Bogu podziękowała?

– Za empatię do drugiego człowieka. Bez doświadczenia transpłciowości zapewne miałabym jej w sobie dużo mniej.

PEDAŁ, WIEŚNIAK I KATOL, CZYLI MOJA DUCHOWA BEZDOMNOŚĆ



Prof. Daniel Rycharski

artysta wizualny

Rocznik 1986 r. Doktor habilitowany, profesor Akademii Sztuki w Szczecinie. Laureat Paszportu Polityki (2016). Absolwent Wydziału Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, doktorat obronił na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. W 2021 r. powstał głośny film „Wszystkie nasze strachy” inspirowany jego życiem i twórczością. Życie dzieli między rodzinną mazowiecką wsią Kurówko i Szczecinem, gdzie pracuje naukowo.

Chciałbym, żeby wszystkie osoby LGBT+, zwłaszcza te, które myślą o tym, by zrobić sobie krzywdę, usłyszały, że życie to jest coś znacznie więcej niż śmierć.

Kościół nie tylko godzi się na zło, ale wręcz to zło inspiruje. Systemowe prześladowanie mniejszości jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa i humanizmu.

Odejdźcie od Kościoła i religii było dla mnie wyzwalające. Pozostaję bezreligijnym chrześcijaninem.

Profesor sztuki na ASP, który jest wierzącym gejem. W dodatku mieszkańiec niewielkiej wsi. Wiesz, że tu się nic nie trzyma kupy?

– Każda z tych tożsamości we współczesnej Polsce jest jakimś wyzwaniem. Przecież jak ludzie chcą sobie dopierdolić, to mają do wyboru trzy wyzwiska: „ty wieśniaku”, „ty pedale”, a ostatnio też: „katolu”. Gorszych nie ma.

A ty się uparłeś i jesteś wieśniakiem, katolem i pedałem jednocześnie. Masochizm?

– Przeciwnie. Bogactwo, z którego czerpię, także jako artysta.

To wyjaśnij – kim się bardziej czujesz: wiejskim chłopcem z Kurówka? Wykładowcą akademickim? Artystą mającym wystawy w najbardziej prestiżowych instytucjach sztuki, także za granicą? Bohaterem filmu fabularnego, który wygrał festiwal w Gdyni?

– Coraz częściej czuję, że nigdzie nie jestem do końca u siebie. Dla Warszawy jestem zbyt wiejski, czasem zbyt konserwatywny, dla Kurówka zbyt postępowy. Doskwiera mi emocjonalna i duchowa bezdomność.

Wyjechałeś na studia do Krakowa, mogłeś, jak wielu innych gejów, zostać daleko za sobą tę swoją wioskę i swój katolicyzm.

– Nie potrafiłem. W Krakowie wszyscy robili „miejską” sztukę, a we mnie ciągle była ta „obciachowa”, „dziadowska” wieś. Fascynująca poprzez swoją inność. Może mi było łatwiej to wszystko zintegrować, bo jestem artystą? Komuś takiemu więcej można, wybacza się mu różne dziwactwa, więc i na mnie patrzono z życzliwą ciekawością. Sztuka pomogła wiejskiej społeczności mnie zaakceptować, bo artysta, wiadomo, trochę wariat, funkcjonuje na nieco innych zasadach. Ale też odegrała dużą rolę w procesie mojej samoakceptacji. Pozwalała w bezpieczny sposób mówić o tożsamości LGBT+.

Twoje wczesne wiejskie projekty nie były jednak zaangażowane społecznie. Ja pierwszy raz o tobie usłyszałem, gdy zacząłeś robić tzw. wiejski street art.

– W Kurówku i okolicy namalowałem około 100 murali przedstawiających zwierzęce hybrydy. W pewnym momencie rolnicy sami prosili, żeby na ich stodołę coś takiego namalować, rywalizowali nawet, czyj zwierzak jest ładniejszy. Chociaż tamten projekt też miał pewne społeczne przesłanie, chciałem pokazać, że współczesna wieś jest właśnie taką miejsko-wiejską hybrydą. Spotkaniem dwóch światów.

Przed tobą wieś niespecjalnie interesowała współczesnych artystów wizualnych.

– To się mocno zmieniło, ale nie oszukujmy się, do dziś duża część art worldu traktuje wieś z góry, trochę przedmiotowo. To fragment większego zjawiska, bo przecież nie da się ukryć, że podejście miasta do wsi generalnie jest mocno wykluczające. Mój pierwszy zaangażowany społecznie projekt dotyczył 150. rocznicy zniesienia pańszczyzny.

– Zrobiłem bramę nawiązującą do wiejskiej metaloplastyki, ale też zachodnioeuropejskich bram triumfalnych. Całość pomalowałem w tęcze pasiaki, co później jedna z antropolożek zinterpretowała jako nawiązanie do Auschwitz i opresji osób LGBT+ na wsi.

Miała rację?

– Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłem podobieństwo wykluczenia osób LGBT+ i mieszkańców wsi.

Wtedy też coraz bardziej otwarcie zaczęłeś funkcjonować publicznie jako gej. Także u siebie na wsi.

– Mój coming out przebiegał stopniowo. Na studiach w Krakowie ze swoją orientacją, oczywiście, się nie ukrywałem, ale na wsi raczej o niej nie mówiłem. Później w kolejnych pracach coraz bardziej się odkrywałem, ale moim publicznym coming outem był wywiad, którego ci udzieliłem dla „Repliki” w marcu 2017 r.¹⁶ To było tuż po tym, gdy dostałem Paszport Polityki. Reakcje były na ogół bardzo pozytywne.

Na wsi też?

– Też. I właśnie to było niezwykle. Zrozumiałem wtedy, że wieś to taki organizm, w którym każdy pełni określoną rolę, jak trybik w maszynie, bez którego mechanizm nie zadziała. Wszyscy są ze sobą połączeni, jeśli nie przez sąsiedztwo, to przez pokrewieństwo. Po coming outie dla mieszkańców Kurówka pozostałem kimś swoim, którego może czasem do końca się nie rozumie, ale też z którego można być dumnym.

– Popatrz, film „Wszystkie nasze strachy”¹⁷ dotyka wszystkich możliwych tabu – religijności, homoseksualności, samobójstwa, relacji rodzinnych.

¹⁶ D. Rycharski, M. Dzierżanowski (rozm.), *Sztuka, która wyzwala*, „Replika” 2017, nr 66.

¹⁷ „Wszystkie nasze strachy” – dramat obyczajowy z 2021 r. w reżyserii Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta oparty na motywach biografii Daniela Rycharskiego z Dawidem Ogrodnikiem w roli głównej. Film otrzymał Złote Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

– Sportretowana w nim wieś, mówiąc delikatnie, nie jest sielankowa. A mimo to sąsiedzi, kuzyni i znajomi przyjęli go bardzo pozytywnie.

Zawsze, jak mówisz o Kurówku, mam wrażenie, że opowiadasz o jakiejś utopii. A przecież rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Zdarzało się, że niszczone twoje rzeźby, miałeś konflikt z sołtysem, a ksiądz z pobliskiej parafii nie pozwolił ci przemówić na pogrzebie bliskiej ci osoby tylko dlatego, że jesteś gejem.

– To było w parafii w Kurowie. Wujek, który zmarł, bardzo pomógł mi przy wystawie „Strachy”, którą robiłem w 2018 i 2019 r. Mieliśmy bliski kontakt, więc rodzina chciała, żebym coś powiedział na jego pogrzebie. Ksiądz zabronił, mówiąc, że to by było zgrzeszenie.

To musiało być bolesne.

– Ta sytuacja stała się inspiracją dla filmowej sceny, w której ksiądz odmawia mi komunii. Wiesz, chyba masz rację, że jeśli słyszę od innych coś złego na swój temat, staram się tego nie zauważać. Taki mechanizm obronny. Nie zmienia to jednak faktu, że, mimo wszystko, w Kurówku czuję się najbardziej u siebie.

I serio, spotykając mieszkańców swojej wsi, nie myślisz sobie: „Kurde, oni wszyscy głosują na PiS, który mówi, że nie jestem człowiekiem, tylko ideologią”?

– Oczywiście, że przeraża mnie to, co w czasie rządów prawicy wydarzyło się w Polsce. Tyle że, w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli liberalnych elit, aż tak bardzo mnie to nie zaskakuje. Od lutego do czerwca 2015 r. niemal codziennie towarzyszyłem rolnikom protestującym pod kancelarią premier Ewy Kopacz. Z ich strony padało wiele sensownych postulatów, m.in. dotyczących żywności ekologicznej. Nie rozumiałem, dlaczego mieszkańców wsi nie wspierała ani lewica, ani np. zieloni aktywiści, którzy przecież głosili podobne postulaty. Także przedstawiciele władzy nie byli zainteresowani dialogiem. Pamiętam zawód protestujących, gdy premier Kopacz nie chciała ich przyjąć. Chcieli jej dać kosz z owocami, ktoś z jej ludzi przyszedł, by go odebrać, po czym zatrzasnął przed nimi drzwi. I nagle do tych manifestujących rolników zaczęli przychodzić przedstawiciele PiS-u.

Pamiętasz, kto konkretnie?

– Między innymi Jarosław Kaczyński, prof. Jan Szyszko, a także późniejszy prezydent Andrzej Duda. Poza ich środowiskiem nikt się tymi ludźmi nie interesował. Zrozumiałem wtedy, że populistyczna prawica

chce przejąć i zagospodarować frustrację wsi. I że, jeśli się jej to uda, wszyscy będziemy mieli problem.

Chciałem jeszcze zapytać o tę twoją duchową bezdomność.

– Najsilniej doświadczyłem jej w Kościele. Mój pierwszy projekt, który o niej opowiadał, dotyczył porzuconych krucyfiksów z cmentarnych krzyży. Jest taki zwyczaj, że na świeżej mogile umieszcza się krzyż z figurką Jezusa. Później, gdy się buduje nagrobek, ten krzyż się usuwa i nie za bardzo wiadomo, co z tymi pasyjkami zrobić. Często oddaje się je kamieniarzom, dla których też są problemem, bo są zupełnie niepotrzebne, a przecież nie można ich wyrzucić na śmietnik. Te bezdomne, niechciane „Chrystusy” skojarzyły mi się z wierzącymi osobami LGBT+, z którymi Kościół nie wie, co zrobić. Niby nie może ich odrzucić, ale najchętniej pozbyłby się kłopotu.

Chwilę później powstał mocno zaangażowany projekt „Tablica”.

– Te cmentarne figurki Chrystusa przetopiłem i zrobiłem z nich metalową tablicę stylizowaną na takie, które wiszą we wnętrzach kościołów. Wyrylem na niej cytaty z „Katechizmu Kościoła Katolickiego” mówiący, że osoby homoseksualne należy traktować z „szacunkiem, współczuciem i delikatnością”. Pisałem do księży z pytaniem, czy nie umieściliby tej tablicy w przestrzeni kościelnej, ale nikt się nie chciał zgodzić. Postanowiłem wtedy stanąć z tą tablicą przed jednym z najbardziej uczęszczanych warszawskich kościołów. Księża uznali, że to prowokacja, choć tekst był dosłownym cytatem z katechizmu.

O „Tablicy” rozmawialiśmy w 2017 r., kiedy robiłem z tobą wywiad do „Repliki”. Mówiłeś, że ten projekt był dla ciebie także rozliczeniem z osobistą sytuacją, którą przeżywałeś. Pamiętam, że ten fragment rozmowy był dla ciebie bardzo trudny, długo się zastanawiałeś, czy go autoryzować. Powiedziałeś wtedy: „Naruszam pewne tabu, ale może moja historia zabrzmi dla kogoś jak ostrzeżenie. Przez jakiś czas byłem zaangażowany w bardzo osobistą relację z księdzem. Wielka miłość, która przerodziła się w wielkie cierpienie. Ten ksiądz, kiedyś bardzo znany, dziś już odszedł z kapłaństwa, zresztą nie z mojego powodu. Nasza relacja skończyła się dość dramatycznie, nie chcę mówić o szczegółach, powiem tylko, że zostałem potraktowany przedmiotowo i bardzo to przeżyłem. Na własnej skórze doświadczyłem hipokryzji, jaką mają ludzie Kościoła w stosunku do osób LGBT. Moje projekty są więc na pewno jakąś formą autoterapii”¹⁸.

¹⁸ D. Rycharski, M. Dzierżanowski, op. cit.

– Od tego czasu minęło ponad pięć lat i bardzo wiele się we mnie zmieniło.

Opowiedz o tej zmianie.

– W wywiadzie z tobą zdecydowałem się po raz pierwszy powiedzieć o swojej krzywdzie. Dziś dojrzałem do tego, żeby ją nazwać po imieniu. Ten zakonnik, dominikanin, po prostu mnie wykorzystał seksualnie i emocjonalnie. Owszem, byłem już dorosły, miałem 22 lata, pewnie nie doszło do złamania prawa. Ale jako znany i ceniony duchowny miał nade mną, wtedy gówniarzem, ogromną psychiczną przewagę. Na każdym kroku dawał mi do zrozumienia, że jestem gorszy.

Powiedzenie „byłem ofiarą” przynosi ulgę?

– Uwalnia. Żeby zacząć żyć po traumie nadużycia, trzeba ją nazwać, przyjąć, doświadczyć złości, a potem, jak się da, odpuścić. Nawet jeśli pewnych doświadczeń nie da się wymazać. Do dziś nie jestem w stanie jeździć do Zakopanego, w którym ten ksiądz mnie zwabił i wykorzystał. Uwierzysz, że przez kilka lat, mimo że nie miałem już z nim kontaktu, ciągle się go bałem?

Uwierzę.

– Dziś już się nie boję.

Co ci pomogło?

– Między innymi praca nad filmem „Wszystkie nasze strachy”. Żeby opowiedzieć swoje życie innym, trzeba je też opowiedzieć sobie. To była zajebista terapia ze światem.

To porozmawiajmy o filmie, dzięki któremu stałeś się celebrytą, bohaterem popkultury.

– Nie żartuj.

Nie żartuję. Widziałem, jak cię oklaskiwano na festiwalu w Gdyni, gdzie „Strachy” dostały Złote Lwy.

– Nie byłoby tego filmu, gdyby nie projekt „Krzyż”. To on zainspirował Łukasza Rondudę, żeby napisać o mnie scenariusz.

Okej, opowiedz więc najpierw o „Krzyżu”.

– Sporo o nim wiesz, bo uczestniczyłeś w narodzinach tego projektu. Jesienią 2016 r. zacząłem intensywnie myśleć na temat samobójstw osób LGBT+. Postanowiłem znaleźć drzewo, na którym powiesił się gej lub lesbijka, i zrobić z tego drzewa krzyż. Początkowo myślałem, że po

materiał będę musiał pojechać do USA, bo tam wiele takich przypadków opisuje się w prasie. Na szczęście zadzwoniłem do ciebie.

Spotkaliśmy się wtedy w warszawskiej kawiarni Cafe Kulturalna. Przypomniała mi się wtedy historia z południa Polski. Dwie nastolatki powiesiły się w lesie, prawdopodobnie z powodu tego, że otoczenie nie akceptowało ich miłości.

– Przysłałeś mi później trochę dodatkowych informacji, dzięki którym udało nam się ustalić nazwę miejscowości, w której doszło do tragedii. Pojechaliśmy na miejsce z Łukaszem Surowcem, artystą, którego znam z czasów studenckich. Bardzo mi pomógł, bo, po pierwsze, znał okolicę, a po drugie – miał duży, transportowy samochód.

Trudno było znaleźć to drzewo?

– Mieliśmy szczęście, bo akurat trafiliśmy na mężczyznę, który mieszkał niedaleko lasu i znalazł ciała obu dziewczyn. Trochę zablefowaliśmy. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy znajomymi zmarłych i że chcemy zobaczyć to drzewo.

Pokazał?

– Tak. Bardzo przeżywał tę historię, bo przed tragedią widział, jak te dziewczyny szły do lasu. Po kilku dniach jego pies znalazł zwłoki, jedna dziewczyna wisiała na drzewie, druga leżała obok. Mężczyzna bał się tego drzewa, miał problemy ze snem, a że mieszka na uboczu wsi, to był z tym wszystkim bardzo sam. Jego opowieść mną wstrząsnęła, odważyłem się mu powiedzieć, że tak naprawdę jestem artystą i że chcę zrobić z tego drzewa krzyż. To go uspokoiło. Krzyż dla chrześcijanina nie jest symbolem śmierci, ale zwycięstwa nad nią i on intuicyjnie odczytał moją intencję, że właśnie to chcę w mojej pracy pokazać. Jego reakcję potraktowałem jako zielone światło dla projektu. Kiedy ścinałem to drzewo, targały mną ogromne emocje, byłem trochę jak w amoku. Później powstał pomysł, żeby ten krzyż wykorzystać do drogi krzyżowej w intencji ofiar homofobii.

Mieliśmy to wtedy robić razem, zaczęliśmy nawet przygotowywać rozważania do kolejnych stacji Drogi Krzyżowej, ale nie było chętnych, by nas wesprzeć. Próbowaliśmy razem przekonać do tego projektu uczestników i uczestniczki Wiary i Tęczy, ale ludzie byli przeciw.

– Poczułem wtedy, że zostałem z tym krzyżem sam. Na szczęście zgłosiło się do mnie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie i powiedziało, że chce go mieć w swoich zbiorach. To mnie uspokoiło, choć

jakieś niespełnienie zostało. Bo zawsze chciałem, żeby ten krzyż był obiektem sakralnym, a nie kolejnym dziełem sztuki zamkniętym w muzealnym magazynie.

Myślę, że ludzie w Wierze i Tęczy przestraszyli się tego dzieła. Ono było dla nich za mocne.

– Dziś to rozumiem. Targnięcie się na swoje życie jest tematem tabu, zarówno w Kościele, jak i społeczeństwie. Poza tym wielu się bało, że mój krzyż będzie apoteozą samobójstwa. Sam też miałem takie obawy. Pamiętam, jak poszliśmy razem skonsultować projekt z teolożką Haliną Bortnowską, przyjaciółką Wiary i Tęczy.

Wspierała projekt, ale powiedziała, że koniecznie trzeba go jakoś rozświetlić, by śmierć nie miała w nim ostatniego słowa.

– Mam nadzieję, że to się udało. Krzyż był odbierany jako ostrzeżenie, że homofobia naprawdę zabija. Ale jego przesłaniem pozostało jednak to, że samobójstwo nigdy nie jest wyjściem. Chciałbym, żeby wszystkie osoby LGBT+, zwłaszcza te, które myślą o tym, by zrobić sobie krzywdę, usłyszały, że życie jest coś znacznie więcej niż śmierć.

Krzyż został mocno dostrzeżony w świecie sztuki.

– Właśnie dzięki niemu w 2017 r. przyszedł do mnie Łukasz Ronduda i powiedział, że chce zrobić o mnie film. Z Łukaszem znaleźliśmy się wcześniej z Muzeum Sztuki Nowoczesnej, pracuje tam jako kurator, robiliśmy razem wystawy.

Zgodziłeś się?

– A co się miałem nie zgodzić?

No tak, każdy artysta jest trochę narcyzem.

– No jasne! (śmiech) Wiedzieliśmy, że nie chcemy robić filmu niszowego, arthouse'owego, bo temat jest wyjątkowo nośny społecznie. I że może stać się ważnym głosem w dyskusji o wykluczeniu.

Trzeba przyznać, że się wam udało. Dostaliście Złote Lwy na festiwalu filmowym w Gdyni w 2021 r. Film przyjęto ciepło, ale początkowo nie był faworytem. Jednak dzień przed ogłoszeniem wyników napisałeś mi SMS-a: „Kazali nam zostać na gali, chyba dostaliśmy jakąś nagrodę”. Tego samego dnia recenzent „Gazety Wyborczej” napisał, że „Strachy” to najciekawszy film festiwalu.

– Ten sukces naprawdę nas zaskoczył. Podobnie jak ogromna dyskusja, którą wywołał film.

Jego akcja dzieje się w twoim rodzinnym Kurówku. Przenieśliście tam samobójczą śmierć dziewcząt, która tak naprawdę miała miejsce w zupełnie innym miejscu Polski.

– To było ryzykowne, trochę się bałem reakcji sąsiadów. Dlatego zorganizowaliśmy prapremierę w kinie w Sierpcu, na którą zaprosiłem krewnych, sąsiadów, a także władze samorządowe. Bałem się, że po seansie może być trudno, tymczasem odbiór był fantastyczny.

Nikt się nie oburzył?

– Nikt. Wszyscy byli dumni, że powstał tak dobry film. Dalecy kuzyni pisali do mnie wiadomości na Facebooku: „Wiesz Daniel, zdarzało nam się żartować z pedałów, ale teraz już nigdy tego nie zrobimy”. Mam rodzinę w Smarzewie, bardzo katolicką, czasem ich odwiedzam. Odkąd się dowiedzieli, że jestem gejem, te wizyty miały w sobie jakiś ciężar, napięcie. O czymś się nie rozmawiało, coś się zamilczało. I nagle ten film wszystko oczyścił, nasze relacje stały się prawdziwsze.

Wiem, że film wywołał napięcie z twoim ojcem.

– Sztuka nie jest rekonstrukcją rzeczywistości, a dramaturgia filmu rządzi się swymi prawami. Fabuła potrzebowała wyrazistego antagonisty, trochę czarnego charakteru, który stoi na przeciwstawnym biegunie niż filmowy Daniel. Padło na ojca, który został przedstawiony zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

W jednej ze scen filmowy ojciec uderza cię nawet w twarz.

– Sposób przedstawienia tej postaci był dla mojego ojca i jego rodziny trudny. No bo dlaczego tak go oczerniamy? Co on mi złego zrobił? Na szczęście udało nam się wyjaśnić, że to postać wykreowana na potrzeby filmu i że przecież zagrał ją jeden z najwybitniejszych polskich aktorów.

Andrzej Chyra w tej roli rzeczywiście jest świetny.

– Ojciec to wszystko zrozumiał, ale filmu nie obejrzał do dziś.

Wszyscy zachwycali się też twoją filmową babcią. Ciepłą, pogodną kobietą, która jednak do prześladowujących cię gówniarzy ze wsi potrafi krzyknąć: „Wypierdalać!”.

– Absolutnie wybitna rola Marii Maj. Oddała postać mojej prawdziwej babci jeden do jednego.

Obie panie się spotkały?

– Nie, ale nagrywałem prawdziwe rozmowy z moją babcią i wysyłałem

aktorce, żeby mogła się przygotowywać do tej roli. Wyszło megaautentycznie, sąsiadki ciągle przychodzą do babci i chwają, że tak świetnie wypadła. A babcia jest dumna.

Zdradź jeszcze tajemnicę przefarbowanych włosów. Dawid Ogrodnik mówi w wywiadach, że zrobił sobie włosy na blond, żeby się odróżnić od ciebie. Po rozmowie z tobą stwierdził, że nie utożsamia się z twoimi poglądami i nie chce ciebie grać, co najwyżej może zagrać postać inspirowaną twoją osobą. Podobno ty tego nie uszanowałeś i też się przefarbowałeś, chcąc się z kolei upodobnić do Ogrodnika.

– Zacznę od tego, że Dawid w filmie zagrał świetnie i jestem mu za to bardzo wdzięczny. Natomiast myślę, że granie żyjącego artysty, będącego w dodatku mniej więcej w tym samym wieku, jest trudne, także ambicjonalnie. Dawid zagrał główną rolę, w powszechnej ocenie zrobił to bardzo dobrze, tymczasem uwaga publiczności i krytyków zwrócona była bardziej na mnie niż na niego. Wyobrażam sobie, że to po ludzku niełatwe.

A wracając do przefarbowania włosów?

– Nie miałem pojęcia, że Dawid się przefarbował, żeby się odróżnić ode mnie. Przypuszczam, że Łukasz Ronduda nie powiedział mi o tym, żeby mi nie było przykro. Później, kiedy zbliżała się premiera, zapadła decyzja, że będę aktywnie uczestniczył w promocji filmu. I właśnie ze względów promocyjnych poproszono mnie, bym się przefarbował i chodził w dresach z tęczowymi lampasami, takimi, jakie Dawid nosi w filmie.

Nawiasem mówiąc, to ty te dresy kilka lat wcześniej zaprojektowałeś. Wystąpiłeś w nich na okładce „Repliki”, w której ukazała się nasza rozmowa.

– Dawid mówi w wywiadach, że „nie grał Daniela Rycharskiego”, i ja to przyjmuję do wiadomości. Nie zmienia to jednak faktu, że film jest o mnie, choć nie jest to, oczywiście, moja biografia.

Po filmie „Wszystkie nasze strachy” pracowałeś jeszcze przy ważnym spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy” w szczecińskim Teatrze Współczesnym.

– Przyznam, że nigdy nie byłem fanem teatru. Zawsze wydawał mi się czymś sztucznym, wręcz nudnym. Prawdę mówiąc, zdarzyło mi się kilka razy usnąć na sztuce.

Są artyści wizualni, którzy współpracują z teatrem.

– I często ta współpraca kończy się katastrofą, bo artysta staje się po prostu scenografem. Ja siebie w takiej roli nie widziałem. Jednak w kwietniu 2021 r. radio TOK FM zaprosiło mnie do wspólnej audycji z reżyserem teatralnym Jakubem Skrzywankiem¹⁹. Od razu się polubiliśmy, on mi wysłał linki do swoich projektów. Spodobało mi się, że nie robi klasycznych sztuk, tylko rekonstruuje na scenie prawdziwe wydarzenia. To on w warszawskim Teatrze Powszechnym zrobił „Opowieści niemoralne”, w których, opierając się na protokołach z zeznań Samantha Geimer, poruszył kwestię nadużyć seksualnych Romana Polańskiego, a także głosił „Śmierć Jana Pawła II” w poznańskim Teatrze Polskim. Namówił mnie na współpracę.

Co cię przekonało?

– Jako artyści mamy ze sobą wiele wspólnego. Ja również często wychodzę od prawdziwego wydarzenia, robię porządny research, później tworzę społeczność wokół dzieła. Kiedy Jakub powiedział, że chce zrobić sztukę o samobójstwach osób LGBT+, poczułem, że będzie to naturalna kontynuacja tego, co robiłem wcześniej. Jednocześnie trzymiesięczna praca nad spektaklem była dla mnie czymś zupełnie nowym. Mocno mnie wciągnęła.

Co cię urzekło w teatrze?

– Praca nad spektaklem tworzy wspólnotę, co nałożyło się na moją potrzebę kontaktu z ludźmi, szczególnie dojmującą po pandemii. Wychodziłem do teatru o ósmej rano, wracałem przed północą, ale było super.

Sztuka mówi o braku systemowego wsparcia psychiatrycznego w Polsce dla nastolatków LGBT+.

– Bazuje głównie na głośnym reportażu Janusza Schwertnera „Miłość w czasach zarazy”²⁰.

Bohaterem jest nastoletni transpłciowy chłopak, który trafił na podwarszawski oddział psychiatrii dziecięcej. Wiktor popełnił samobójstwo w kwietniu 2019 r. Mimo podejmowanych wcześniej prób samobójczych aż trzykrotnie nie został przyjęty na oddział szpitalny.

– Justyna, matka Wiktora, towarzyszyła w pracach nad tą sztuką.

¹⁹ Jakub Skrzywanek – ur. w 1992 r., reżyser teatralny, autor tekstów, twórca instalacji performatywnych. Od 2022 r. dyrektor artystyczny Teatru Współczesnego w Szczecinie.

²⁰ Dostęp: <https://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/milosc-w-czasach-zarazy/nbqxxwm>

Jaka była twoja rola w spektaklu?

– Już na samym początku ustaliłem z Jakubem Skrzywankiem, że nie będę robił klasycznej scenografii. Mój projekt plastyczny, który prezentuję na scenie, to wyrafinowany koncept artystyczny, takie dzieło sztuki w dziele sztuki. Realistyczne odtwarzanie na scenie oddziału psychiatrii dziecięcej zupełnie mnie nie interesowało.

Na co się zdecydowałeś?

– W ramach projektu „Umarła klasa” pracowałem wtedy nad instalacją „Jarzma”. Dotyczyła ona statusu zwierząt w hodowli przemysłowej, która zastępuje w Polsce tradycyjne rolnictwo. Rolnictwo przemysłowe zabija kulturę wiejską, bioróżnorodność i wspólnotę, ale też niesie ogromne cierpienie zwierząt. Moja praca polegała na tym, że z wygrodzeń i jarzm porodowych zbudowałem rzeźby symbolizujące system opieki psychiatrycznej.

Poczekaj, co to są „jarzma porodowe”?

– Pręty, w które się zamyka maciorę lub krowę, żeby karmiły swoje nowo narodzone dzieci. Zwierzę nie może się ruszyć nawet o centymetr.

Okropne.

– Uwierz mi, stosuje się je na masową skalę.

Wyobrażam sobie, że porównanie opresji zwierząt do cierpienia pacjentów szpitala psychiatrycznego było ryzykowne.

– Mimo to jakimś cudem teatr się na to zgodził. Efekt sceniczny jest bardzo mocny, wpisuje się w przekaz sztuki, która jest bardzo przejmująca. Widziałem ją dziesiątki razy, a mimo to za każdym razem, gdy oglądam pierwszą scenę, mam łzy w oczach.

To wstrząsająca scena przyjęcia 13-letniego Wiktora do szpitala psychiatrycznego.

– Wszystko, co tam się dzieje, zdarzyło się naprawdę. W szpitalu psychiatrycznym jest na przykład tak, że dziecko musi się rozebrać do naga przy ochroniarzu. Dla dzieci transpłciowych to trauma. W dodatku wielu lekarzy uparcie odmawia zwracania się do nich właściwymi zaimkami, na Wiktora personel do końca mówił „Wiktoria”. Podczas wypisu lekarz mówi do niego: „A może jednak popieścisz się z chłopakami, zobaczysz, jakie to przyjemne, i zmienisz zdanie?”. Horror. Drugą część sztuki to wiejskie, queerowe wesele.

Czyli absolutne science fiction.

– Nie do końca, bo to działanie performatywne. Wymyśliliśmy, że teatr da ludziom to, czego nie daje im państwo. Zapraszamy pary jednopłciowe z całej Polski i na deskach teatru odgrywamy scenę ich ślubu cywilnego. Aktorka, która go udziela, ma strój urzędnika stanu cywilnego, z orłem na piersi.

Aktorzy są ubrani w stroje ludowe.

– Ale uszyte z flag LGBT+. Zbudowałem też queerowo-ludową scenografię, której elementem jest dożynkowa para ze słomy trzymająca się za ręce. W wiejskiej tradycji jest to zawsze „chłop i baba”, my zrobiliśmy dwie baby i dwóch chłopów. Pracę wykonało koło gospodyń wiejskich ze Stobna pod Szczecinem wraz z działaczami i działaczkami Lambdy Szczecin, głównie zresztą transpłciowymi.

Jak ta współpraca wyglądała?

– Spotkaliśmy się wszyscy w remizie strażackiej. Najpierw było napięcie, kobiety ze Stobna nigdy wcześniej nie widziały ludzi trans. Kiedy jednak doszło do projektowania strojów, wszystkie bariery nagle zniknęły. Na koniec koło gospodyń na potrzeby spektaklu zrobiło gigantyczne serce z tysiąca kwiatów z krepiny. Wyszło świetnie. Przekonałem się, że teatr może przełamywać bariery. Wiesz, że na jeden ze spektakli przyszli lokalni politycy z PiS-u? Klaskali na stojąco.

Przełamywanie barier było także celem innego twojego projektu – „Opieka rodzinna”.

– Rodziny rolnicze przyjmowały na tydzień pod swój dach osoby LGBT+ z dużych miast.

Taka aktywistyczna wersja „Dam i wieśniaczek”?

– Tyle że tu chodziło o autentyczną opiekę. Do projektu zgłosiły się osoby będące w jakimś kryzysie psychicznym, zresztą był to czas tuż po aresztowaniu Margot, więc polska społeczność LGBT+ była mocno poturbowana. Uczestnicy projektu spędzali czas ze swoimi gospodarzami, razem pracowali przy żniwach, uczyli się doić krowy, wspólnie jedli wiejskie, domowe posiłki. Projekt wyszedł bardzo dobrze, uprzedzenia znikły, obie strony były zachwycone.

Jak znalazłeś rolników chętnych do projektu?

– Chodziłem od domu do domu, rozmawiałem. Każda rodzina, która wzięła udział w projekcie, dostała też 300 zł wynagrodzenia za każdą dobę.

Czyli rolnicy pomagali za pieniądze?

– Tak, i było to świadome założenie. Doświadczenie covidu nauczyło nas tego, że opieka nad ludźmi to niedoceniana, ale bardzo ważna i ciężka praca. A za pracę należą się pieniądze, prawda? To też było ważne przesłanie projektu. Nawiasem mówiąc, wiesz, co było największym problemem w pracy nad tym projektem? Nie mogłem znaleźć prawdziwych rolników, bo ich na wsi prawie już nie ma. W Kurówku znalazłem dwie rodziny, które naprawdę uprawiają ziemię.

Mieszkańcy polskiej wsi nie żyją już z rolnictwa?

– Unijne dopłaty do ziemi bierze obecnie milion polskich gospodarstw. Ale to fikcja, bo tak naprawdę ziemię uprawia jedna trzecia z nich. Tradycyjna polska wieś umiera.

Co masz na myśli?

– Po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. poziom życia mieszkańców wsi mocno się podniósł, ale agresywny kapitalizm zabił istniejącą od stuleci kulturę chłopską. Opowiadam o tym w projekcie „Umarła klasa”, chodzi oczywiście o klasę społeczną. W ramach jednego z działań artystycznych chcę zaprosić rolników do skansenu w Sierpcu, będą oni ubierać kościotrupa w ludowy strój uszyty z ubrań rolników z lat 90. Czyli ostatnich rolników. Do skansenu zaproszę też przedstawicieli innych mniejszości, m.in. LGBT+, którzy razem z rolnikami odtańczą danse macabre. Chcę, żeby to był symboliczny rytuał przejścia polskich chłopów, o którym kiedyś mówiono, że są „potęgą i basta”, a dziś stali się kilkunastoprocentową mniejszością, borykającą się z biedą, bezsenssem życia i wykluczeniem.

Dlaczego ciebie do tej umierającej wsi ciągnie?

– Chcę jako artysta towarzyszyć jej odchodzeniu, próbuję ocalić elementy jej duchowości. Inteligencja lubi się naśmiewać z tradycyjnej kultury chłopskiej, zarzucając jej, że jest płytka intelektualnie. Może i jest, ale równocześnie jest bardzo głęboka duchowo. Przez stulecia religia była dla chłopów jedyną przestrzenią wolności. Te wszystkie święte źródelka, objawienia maryjne i cudowne uzdrowienia to był ich cały świat. W nim byli naprawdę u siebie, nikt im tego nie mógł zabrać. Możesz wierzyć lub nie, ale ta powiązana z naturą duchowość to jest także mój świat. Wyjechałem do miasta, ale nie znalazłem w nim wspólnoty. I nie poczułem do końca, że to mój dom.

Kościół już za swój dom nie uważasz?

– Już nie. Moim przewodnikiem w drodze odchodzenia od tej instytucji był Dietrich Bonhoeffer²¹, niemiecki protestancki pastor, bezkompromisowy przeciwnik nazizmu, który zginął męczeńską śmiercią w czasie II wojny światowej. Kolaboracja Kościoła protestanckiego w Niemczech z hitleryzmem sprawiła, że opowiedział się on za chrześcijaństwem uwolnionym spod formalnych struktur Kościoła instytucjonalnego. Swoją koncepcję nazwał „bezreligijnym chrześcijaństwem”. Znajdował wspólny język z ateistami, gdyż uważał, że są oni często bardziej chrześcijańscy niż chrześcijanie. Uznał, że niemiecki Kościół odszedł od Boga. Mówi o tym Anna Morawska²² w książce „Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy”. Gdy czytam diagnozę Bonhoeffera sprzed 80 lat, widzę współczesny polski Kościół, z jego zbrataniem z autorytarną władzą PiS-u, prześladowaniem osób LGBT+ i działaniami jawnie sprzecznymi z Ewangelią. Ten Kościół nie tylko godzi się na zło, ale wręcz to zło inspiruje. Systemowe prześladowanie mniejszości jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa i humanizmu w ogóle. Jednocześnie widzę, jak prawdziwe wartości chrześcijańskie realizowane są w środowiskach odległych od instytucjonalnego Kościoła. Dla mnie odkrycie Bonhoeffera było olśnieniem. Ogromnie dużo mu zawdzięczam.

Uwolnił cię od Kościoła?

– Pomógł w tym procesie. Dziś uważam, że odejście od Kościoła i religii było dla mnie wyzwalające. Pozostaję bezreligijnym chrześcijaninem.

Czyli?

– Kimś, kto chce swoim życiem sprzeciwiać się złu. Bonhoeffer umiał zamienić wiarę w praktykę.

²¹ Dietrich Bonhoeffer (1906–1945) – niemiecki duchowny ewangelicki, teolog i działacz antynazystowski. Nie mogąc zaakceptować poparcia, jakiego nazizmowi udzielało wielu przedstawicieli jego Kościoła, głosił koncepcję „bezreligijnego chrześcijaństwa”. W Polsce stał się inspiracją m.in. dla Stanisława Barańczaka, Jacka Kuronia czy Tadeusza Różewicza. Po nieudanym zamachu na Adolfa Hitlera w 1944 r. wraz z innymi działaczami ruchu oporu uwięziony i skazany na śmierć. Zginął w obozie koncentracyjnym, tuż przed zakończeniem wojny.

²² Anna Morawska (1922–1972) – publicystka katolicka, związana z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Znakiem” i przede wszystkim „Więzią”. W swej publicystyce jako jedna z pierwszych w Polsce promowała reformy Soboru Watykańskiego II i idee ekumeniczne. Była zwolenniczką pojednania polsko-niemieckiego. Jej książka „Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy” (1970) była pierwszą w Polsce biografią Dietricha Bonhoeffera. Pod wieloma względami wyprzedzała epokę. Według byłego ambasadora Polski w Watykanie Stefana Frankiewicza pod koniec lat 60., prawdopodobnie jako pierwsza działaczka katolicka w Polsce, proponowała, by Kościół zajął się problemem duszpašterstwa osób homoseksualnych. Por. S. Frankiewicz, C. Gawryś (rozm.), *Nie stracić wiary w Watykanie*, Warszawa 2014, s. 56.

Religia jako taka nie ma dziś dla ciebie żadnego znaczenia?

– Uważam, że mimo wszystko jest człowiekowi potrzebna, bo odpowiada na pytania, na które trudno znaleźć odpowiedzi gdzie indziej. Dlaczego jest tak wiele zła? Cierpienia? Po co tak naprawdę żyjemy? Jaki jest sens naszej egzystencji? Nie odpowie ci na to ani naukowiec, ani lewicowy aktywista. Odpowie tylko religia. I tu właśnie pojawia się mój problem z bezreligijnym chrześcijaństwem. Bonhoeffer jest teologiem samotności. Był dla mnie genialnym przewodnikiem, jednak jego duchowość nie odpowiada na potrzebę wspólnoty. Nie leczy z duchowej bezdomności.

A co leczy?

– Mnie? Wieś i kultura chłopska. A także związana z nią religijność.

Wracasz do religijności?

– Na pewno patrzę na nią z innej strony. Bez wrogości, buntu, nawet z pewnym uznaniem.

A może, będąc artystą, jesteś w jakimś sensie skazany na samotność?

– Sam nie wiem. Jako artysta konceptualny na pewno potrzebuję samotności. Ale, kurde, jestem też trzydziestokilkuletnim facetem i czasem chcę z kimś po prostu pójść na piwo czy na randkę. Tymczasem często nie za bardzo mam z kim. Znajomi sobie ułożyli życie, a ja jeżdżę między Kurówkiem, Warszawą, Sierpcem i Szczecinem i nigdzie nie mogę głębiej zapuścić korzeni. Widzę też, że samotność to problem wielu gejów, choć mało kto o tym mówi.

Twoje czy moje pokolenie dorastało „w świecie bez gejów”. Nie mieliśmy wzorców relacji jedнопłciowych, może dlatego trudno nam niekiedy je budować.

– To na pewno jeden z powodów. Niezależnie od tego, jak bardzo jesteśmy wyemancypowani, wyzwoleni i pogodzeni ze sobą, nosimy w sobie piętno stresu mniejszościowego i zanurzenia w katolickiej matrycy, która przez lata wdrukowywała w nas przekonanie, że jesteśmy gorsi. Z tego powodu boimy się siebie i innych. Nic dziwnego, że często nie umiemy budować trwałych związków. Odpowiedzią na ten nasz lęk bywają przelotne związki, chemseks czy zachowania autodestrukcyjne.

A ratunkiem?

– Dla mnie sztuka.

Nie chcę, żeby nasza rozmowa kończyła się smutno. Zadam ci więc

pytanie: Jeśli staniesz na Sądzie Ostatecznym, a Święty Piotr cię zapyta, jak się masz z tym, że Bóg cię stworzył jako osobę nieheteronormatywną, to co odpowiesz?

– Że mimo wszystko czuję do Niego wdzięczność. Nie chcę nikomu wciskać bajek, że nie widzę minusów bycia osobą LGBT+, zwłaszcza we współczesnej Polsce. To doświadczenie bywa trudne, wielokrotnie odczuwałem ból wykluczenia ze wspólnoty, a jako osobie żyjącej na wsi mocno doskwiera mi samotność. Myślę jednak, że nadszedł czas, by osoby LGBT+ wyszły z narzucanej im roli ofiar. Po filmie „Wszystkie nasze strachy” dostałem setki maili od osób nieheteronormatywnych, najczęściej ze wsi czy małych miasteczek. Także od księży. Z tych listów wylania się rzeczywistość, która jest daleka od stereotypowej traumy geja z prowincji. Jest w nich świadectwo smutków, ale też nadziei.

A wracając do ciebie?

– Powiem Świętemu Piotrowi, że niczego nie żałuję. Przede wszystkim jestem artystą. Bez bagażu z napisem „LGBT+” byłbym kimś innym i nigdy nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem.

BYŁEM KSIĘDZEM



Łukasz Kachnowicz
menadżer w firmie szkoleniowej

Z wykształcenia teolog, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach 2010–2019 ksiądz rzymskokatolicki, znawca mediów społecznościowych, popularny bloger. Pracował w parafiach w Puławach i Lublinie. Po odejściu z kapłaństwa współpracował z organizacjami pozarządowymi, m.in. Lambdą Warszawa.

Zastanawiałem się, dlaczego w tym Kościele, który jest rzekomo otwarty na wszystkich, nie mogę powiedzieć ludziom, że jestem gejem? Jako ksiądz powtarzam wszystkim, że nikt nie jest wykluczony, ale moje życie świadczy, że to nieprawda.

Ludzie Kościoła zdecydowanie za bardzo wpieprzają się w ludzkie życie intymne. Tymczasem księża mają duży problem z przeżywaniem własnej seksualności. Jadą często na wyparcie, a to cholernie złe paliwo.

Zmiany, o których niekiedy mówi Watykan, mają dotyczyć głównie języka i duszpasterstwa. Tymczasem musi się zmienić sam rdzeń nauczania Kościoła o osobach LGBT+.

Twoja rodzina była mocno wierząca?

– Niezbyt. Rodzice zawsze głosowali na SLD, do kościoła raczej nie chodzili. Moje zaangażowanie religijne zaczęło się pod koniec liceum.

W jakich okolicznościach?

– W czwartej klasie liceum pojechałem do przyjaciółki, która mieszkała pod Lublinem, żeby się wspólnie uczyć do matury z chemii. Powiedziała, że chce iść na spotkanie Odnowy w Duchu Świętym²³, mogę u niej poczekać albo pójść z nią. Bez specjalnego namysłu poszedłem, a tam nabożeństwo, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Jakieś ekstazy, modlitwy językami, dziwne emocjonalne przeżycia. Pierwsza reakcja: oni wszyscy są ostro pieprznięci. Ale zaraz pomyślałem, że przecież moja koleżanka jest normalna. Zacząłem być ciekawy tej duchowości, bo choć nie wszystko z niej rozumiałem, czułem, że jest w niej jakiś ogień.

Wciągnęła cię?

– Jeszcze jak! Zachłysnąłem się Kościołem wspólnotowym, którego wcześniej nie znałem. Przy okazji zacząłem chodzić codziennie na wieczorną mszę.

Co na to rodzice?

– Robili wielkie oczy, trochę się pukali w czoło. Pytali, czy na pewno ze mną wszystko okej. Mama powtarzała: „Łukasz, czy ty nie przesadzasz?”. W pewnym momencie miałem już alergię na słowa „nie przesadzaj”. Mniej więcej wtedy pojawiła się myśl o pójściu do zakonu. Kupiłem sobie nawet „Leksykon zakonów w Polsce” i godzinami wyszukiwałem zgromadzenia, do którego mógłbym pójść. Brałem pod uwagę różne kryteria, łącznie z kolorem i krojem habitu. W końcu jednak wymyśliłem, że pójdę do pallotynów.

Mają najładniejsze stroje?

– Aż tak powierzchowny mimo wszystko nie byłem. Podobało mi się, że bracia w tym zakonie mają sporo autonomii i wolności. Pamiętam, że mama nie umiała zapamiętać nazwy. Ciągle mówiła „palantyni”.

W końcu jednak poszedłeś do diecezjalnego seminarium.

²³ Ruch Odnowy w Duchu Świętym – nurt w Kościele katolickim, który łączy katolicyzm z praktykami ruchu charyzmatycznego. Jego korzenie wywodzą się m.in. z tradycji ewangelikalnej, głównie zielonoświątkowej. Do katolicyzmu został zaadaptowany w latach 60. XX w., do Polski dotarł w połowie lat 70.

– Namówili mnie księży z mojej parafii. Zdecydowała też moja natura mieszcza – od urodzenia mieszkałem w Lublinie i nie za bardzo chciałem z niego wyjeżdżać.

Jak zareagowali rodzice?

– W sumie nawet się ucieszyli. Wcześniej, gdy im wyskoczyłem z tym zakonem, byli załamani. Nie dość, że nie będą mieli wnuków, to jeszcze ich jedynak zamknie się w jakimś klasztorze i stracą syna na amen! W tej sytuacji wersja, że będę zwykłym księdzem, wydała im się stosunkowo lajtowa.

Powiedz szczerze, to seminarium to była ucieczka od homoseksualności?

– Wydaje mi się, że nie. Moja rodzina nie była konserwatywna, nie czułem presji, żeby mieć żonę i dzieci. Poza tym naprawdę byłem wtedy nabuzowany religijnie.

W liceum przeżyłeś pierwszą miłość?

– Podkochiwałem się w jakichś chłopakach, ale żadnej poważnej relacji nie miałem. Jestem z rocznika 1985, maturę zrobiłem w 2004 r., więc to były inne czasy.

Ale przecież czułeś, że podobają ci się faceci.

– Nie znałem jednak żadnego geja i siebie tak nie nazywałem. Seminarium i homoseksualność mi się nie kłóciły. W głowie miałem hasło, że Kościół jest domem otwartym dla wszystkich. Wiem, że w dzisiejszych czasach brzmi to jak żart, ale wydawał mi się wtedy bezpieczną, przyjazną przestrzenią.

W seminarium nikt cię nie pytał o seksualność?

– Nikt. Zakaz święcenia osób homoseksualnych wprowadzono w 2005 r.²⁴, a ja poszedłem do seminarium rok wcześniej. Nie miałem poczucia,

²⁴ 4 listopada 2005 r., niemal na samym początku pontyfikatu Benedykta XVI, Kongregacja ds. Wychowania Katolickiego, której podlegają seminaria na całym świecie, opublikowała „Instrukcję dotyczącą kryteriów rozeznawania powołania w stosunku do osób z tendencjami homoseksualnymi”. Jej autorem był kierujący dykasterią polski kardynał Zenon Grocholewski, a zaakceptował ją papież. W instrukcji czytamy: „Kościół, głęboko szanując osoby, których dotyczy ten problem, nie może dopuszczać do seminarium ani do święceń osób, które praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tak zwaną kulturę gejowską. (...) Inaczej natomiast należałoby traktować tendencje homoseksualne, które są jedynie wyrazem przejściowego problemu, takiego jak, na przykład, niezakończony jeszcze proces dorastania. Niemniej jednak takie tendencje muszą być wyraźnie przewyżczone przynajmniej trzy lata przed święceniami diakonatu”.

że kogokolwiek oszukuję albo że coś ukrywam. Dopiero później zaczęto mówić, że geje nie mogą być księżmi. Pamiętam, że używano formuły, że przeszkodą są „głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne”.

Co to znaczyło?

– Nikt tak naprawdę nie wiedział. Zastanawiałem się, czy u mnie to zakorzenienie jest głębokie, czy płytkie, ale doszedłem do wniosku, że skoro nigdy nie miałem chłopaka ani nie uprawiałem seksu, to chyba na księdza się kwalifikuję. Jednak już wtedy czerwona lampka mi się zapaliła, czułem się trochę klerykiem drugiej kategorii.

W wielu wspomnieniach o seminarium pojawiają się opowieści o homoseksualnych grupach, które się w nich tworzą.

– Zawiodę cię, żadnej pikantnej historii nie będzie. W czasie sześciu lat seminarium nie zauważyłem żadnego życia gejowskiego, a nawet o nim nie słyszałem. Owszem, podobali mi się niektórzy klerycy, ale w żadną homoseksualną relację z nikim nie wszedłem.

Czy to znaczy, że w czasie studiów teologicznych temat twojej homoseksualności w ogóle się nie pojawił?

– W końcu się jednak pojawił, za sprawą wspomnianego już dokumentu, który się ukazał na początku pontyfikatu Benedykta XVI. Zakazywał udzielania święceń osobom homoseksualnym. Na trzecim roku kleryk dostaje sutannę, dla wielu to jest psychologiczny przełom. Zastanawiałem się wtedy, czy o swojej homoseksualności nie powinienem komuś powiedzieć. Pomyślałem jednak, że sutanna to tylko symbol, z punktu widzenia teologicznego nie ma większego znaczenia. Ale gdy nadchodziły święcenia diakonatu, poczułem, że to przełom, kłamka zapada. Czułem, że jeśli nie powiem o swoich dylematach, to będzie trochę tak, jakbym te święcenia ukradł.

Komu powiedziałeś?

– Ojcu duchowemu. To taka funkcja w seminarium powierzana doświadczonym księżom, którzy opiekują się wewnętrznym życiem kleryków. To z ojcem duchowym rozmawia się o najważniejszych sprawach dotyczących wiary i związanych z nią dylematach.

Powiedziałeś mu wprost, że jesteś gejem?

– Tak. Pierwszy raz w życiu użyłem w stosunku do siebie tego słowa. Reakcja była spokojna, może dlatego że jako student miałem dobrą markę. Zostałem wysłany do księdza-psychologa na badanie.

Co miał zbadać?

– Chyba to, czy moja homoseksualność jest „głęboko zakorzeniona”.

Jak wyglądało to badanie?

– Musiałem przejść obszerny test psychologiczny, odpowiadałem na wiele pytań. Wyniki dostałem w zaklejonej kopercie, nie mogłem się z nimi zapoznać. Miałem je zanieść do seminarium; trochę jak wyrok, który ktoś na mnie wydał.

Ale jak to? Jesteś dorosłym człowiekiem i nie masz wglądu do dokumentacji na swój temat? Moim zdaniem to przemocowe zachowanie, które powinno takiego księdza-terapeutę całkowicie zdyskwalifikować.

– W ogóle o tym w ten sposób nie myślałem, byłem przekonany, że tak musi być. Wręczając mi kopertę, pallotyn powiedział: „Gdybyś przyszedł do mnie na początku seminarium, tobym powiedział, żeby cię nie przyjmować”. Nie chciał zdradzić nic więcej. Szedłem z tą kopertą do seminarium w olbrzymim stresie. Czułem, że świat wokół mnie jest nie-realny, głuchy. Po ulicach jeździły samochody, mijałem przechodniów, ale miałem wrażenie, że jestem w środku jakiegoś filmu. W głowie miałem komunikat, którego nie umiałem zinterpretować. Bo z jednej strony ksiądz-psycholog powiedział, że nie powinien mnie dopuścić do święceń, ale z drugiej dodał formułkę „gdybyś zaczynał seminarium”. A ja przecież już prawie kończyłem.

Kopertę z wyrokiem na siebie zaniósłeś do seminarium?

– Tak. Ojciec duchowy otworzył, przeczytał i powiedział: „Masz zielone światło”. Poczuję się, jakbym zmartwychwstał. Jednak w środku pozostało przekonanie, że jednak dostaję te święcenia warunkowo. Ktoś dał mi pozwolenie, ale równie dobrze ktoś inny mógł podjąć decyzję odwrotną.

Po święceniach diakonatu temat już nie wrócił?

– W zasadzie nie. Przed ostatecznymi święczeniami z nikim o tym nie rozmawiałem, uważałem, że skoro dostałem głej, to on obowiązuje. Zostałem wysłany do pracy na parafię w Puławach. Zawsze panicznie się bałem, że skierują mnie na wieś. Nie mam samochodu ani prawa jazdy, bałem się, że utknę gdzieś „daleko od szosy”, więc te Puławy nawet mnie ucieszyły.

Jak wspominasz pierwszą parafię?

– Zostałem katechetą w szkole, co wspominam jako głęboką

traumę. Wtedy pierwszy raz pomyślałem, że w kapłaństwie długo nie wytrzymam.

Szybko!

– Do tego dochodziła dojmująca samotność. W seminarium żyjesz jak w akademiku, czasem masz nawet zbyt wielu ludzi dookoła. Mówią ci jakieś farmazony o celibacie, ale tak naprawdę niewiele z tego rozumiesz. I nagle z dnia na dzień rzucają cię do obcej miejscowości, gdzie jesteś zupełnie sam. Niby miałem na plebanii proboszcza i innych księży, ale wracałem z tej okropnej szkoły do swojego pustego pokoju i nie miałem się do kogo odezwać. Pierwszy raz w życiu poszedłem wtedy do psychiatry, dostałem LA, żeby odpocząć od katechezy.

Co cię trzymało przy byciu księdzem?

– Bardzo lubiłem prowadzić rekolekcje, mocno się w to angażowałem, z przekonaniem cytowałem słowa Jezusa: „Przyjdźcie do mnie wszyscy”. Naprawdę w to wierzyłem, to mnie przecież kiedyś przyciągnęło do Kościoła. Ale już wtedy zaczął się pojawiać jakiś zgrzyt. Myślałem sobie: „Okej, dlaczego w tym Kościele, który jest otwarty na wszystkich, nie mogę powiedzieć ludziom, że jestem gejem? Powtarzam wszystkim, że nikt nie jest wykluczony, ale moje życie świadczy, że to nieprawda”. Zaczęło mnie to uwierać.

Spowiadałeś wtedy gejów?

– Różni ludzie do mnie przychodzili. Coraz wyraźniej widziałem fiksjację Kościoła na punkcie seksualności, która udzielała się wiernym. Młodzi przystępowali do spowiedzi po każdej masturbacji, bo uważali, że to grzech śmiertelny. Staralem się te opresyjne konstrukcje demonstrować. Nie grzebałem w tych sprawach, raczej powtarzałem osobom, które do mnie przychodziły, żeby zluzowały. Uważam, że ludzie Kościoła zdecydowanie za bardzo wpięprzają się w ludzką seksualność. Tymczasem sami z jej rozumieniem są daleko w tyle, bo dla nich źródłem wiedzy na ten temat nie jest psychologia czy seksuologia, lecz katechizm. Po drugie, księża mają duży problem z przeżywaniem swojej seksualności. Jadą często na wyparcie, a to cholernie złe paliwo.

Skoro już poruszyłeś ten temat – jak sobie radziłeś z własnym napięciem seksualnym?

– Oczywiście ono też dawało o sobie znać. Coraz wyraźniej widziałem bezsens tego, co Kościół mówi na ten temat. Pamiętam swoją spowiedź u pewnego jezuity, który poradził mi, żeby, w ramach walki z pokusami,

hodować kwiatki. Twierdził, że jemu to pomaga. W pewnym momencie chodziłem już do spowiedzi coraz rzadziej. Po kilku latach kapłaństwa przepalają się baterie ideałów, zostaje samotność i szara codzienność. Pamiętam, jak na zmianę zakładałem i likwidowałem profil na Grindrze²⁵, co wywoływało we mnie ciągle poczucie winy. Raz umówiłem się przez niego na seks w Polsce, raz za granicą. To była wewnętrzna walka, bo z jednej strony nie byłem jeszcze gotowy na rozpoczęcie życia jako otwarty gej, a z drugiej narastała we mnie potrzeba realizacji seksualności. Trudny czas. Problemem była też narastająca agresja ludzi Kościoła wobec homoseksualności.

Masz na myśli wypowiedzi biskupów?

– Nie tylko, ta atmosfera udzielała się też zwykłym księżom. Pamiętam takie zdarzenie: pracowałem już wtedy w Lublinie, skierowano mnie na studia doktoranckie z historii Kościoła na KUL. Cieszyłem się, bo nie musiałem uczyć religii w szkole i miałem gwarancję, że biskup nie wyśle mnie na żadną wieś. Pewnego razu byłem ze znajomym księdzem u przyjaciół na kolacji, ktoś poruszył temat gejów. Jak zwykle w takich sytuacjach milczałem. I nagle ksiądz, z którym pracuję na parafii, mówi: „Ja bym pedałowi ręki nie podałem!”. Poczulem, jakby ktoś mnie chlasnął w gębę.

Jak zareagowałeś?

– Nic nie powiedziałem, ale zrobiło mi się strasznie smutno. Pomyślałem: „Człowieku, codziennie mi podajesz rękę w czasie przekazywania znaku pokoju na mszy”. Pierwszy raz boleśnie poczułem wtedy homofobię Kościoła. To był wstrząs, bo na własne oczy zobaczyłem, że to, czego naucza Kościół, niszczy ludzi. Z pozoru „niewinna” teologia, która mówi o „wewnętrznie nieuporządkowanych czynach homoseksualnych”, zamienia się w prymitywną agresję i pogardę.

Gdy mieszkałeś w Lublinie, zaczęłaś być księdzem rozpoznawalnym medialnie.

– W ramach projektu katolickiego portalu Aleteia Polska nagrywałem wideoblog, w którym odpowiadałem na pytania Joli Szymańskiej.

Znanej katolickiej youtuberki, która zresztą później odeszła z Kościoła.

– Miałem coraz większe zasięgi w sieci, pisałem sporo postów na Facebooku, które później cytowały gazety i portale. Jak dziś przeglądam te moje wpisy i nagrania, to z jednego mogę być dumny – nie mówiłem

²⁵ Popularna aplikacja randkowa dla gejów.

i nie pisałem niczego, za co dzisiaj mógłbym się wstydzić. Pewnie dlatego przyciągałem do siebie ludzi z peryferii Kościoła, wątpliwych, poszukujących. Jednak coraz bardziej mnie mierzilo, że o pewnych rzeczach nie mogę mówić otwarcie. Czułem, że nie pasuję do miejsca, w którym jestem, a jednocześnie – sobie i innym – na siłę chcę udowodnić, że jest inaczej.

Ostatni rok przed odejściem spędziłeś na parafii wojskowej w Lublinie.

– Wtedy miał się w tym mieście odbyć pierwszy Marsz Równości w historii, w związku z czym ultrakonserwatywne organizacje katolickie planowały zorganizować kontrmanifestację. Z różańcem w rękę zamierzali się „modlić za sodomitów”. To, że ktoś wykorzystuje różaniec do wykluczania, było dla mnie kolejnym szokiem. Napisałem wtedy na Facebooku, że modlitwa nie powinna służyć do bycia przeciw komukolwiek, nawet jeśli nam z nim nie po drodze. Jak widzisz, trochę lawirowałem, ale starałem się być po właściwej stronie. W mediach poszła wiadomość: „Ksiądz broni marszu LGBT”.

Wybuchł skandal?

– To ciekawe, ale nie. Tak naprawdę to tylko jeden raz z powodu wpisu na Facebooku biskup wezwał mnie na dywanik. Wiesz kiedy? Gdy skrytykowałem zwyczaj czytania w kościołach listu rektora KUL w drugi dzień Bożego Narodzenia. To absurdalna praktyka. Jest wielu ludzi, którzy przychodzą do kościoła dosłownie kilka razy w roku, właśnie na święta. I właśnie wtedy słyszą nudny, najczęściej pozbawiony treści, odczytywany monotonnym głosem tekst listu człowieka, o którym w życiu nie słyszeli. Usłyszałem jednak od biskupa, że KUL to moja matka i nie mogę jej obrażać. To śmieszne, ale pokazuje, jak bardzo korporacyjne zwyczaje panują w Kościele.

Jak wspominasz ostatni rok bycia księdzem?

– Jako wewnętrzną walkę. Myśl o odejściu z kapłaństwa krążyła w mojej głowie od dawna, nie tylko dlatego że byłem gejem, ale też z powodu dojmującej samotności. W dodatku coraz mocniej czułem, że Kościół zaprzecza Ewangelii i że nie realizuje idei, które głosi. Ale ciągle widziałem też piękne oblicza Kościoła, takie na wskroś pachnące Ewangelią. Do dziś mam problemy z żądaniami środowisk antyklerykalnych, które przekonują, że każdy uczciwy człowiek powinien odejść z Kościoła. To wszystko dużo bardziej skomplikowane, powiedzenie: „Chrzańcie was, mafio watykańska!” nie jest uczciwe. W tych moich wahaniach ważną rolę odgrywał też czynnik osobisty.

Jaki?

– Miałem 35 lat, znajomi z liceum dawno skończyli dobre studia i mieli bogate CV. A ja co? Ukończone studia teologiczne, nikomu niepotrzebne poza Kościołem, plus cztery lata pracy w szkole okupione depresją. Zastanawiałem się, co będę robić, gdy odejdę z kapłaństwa.

Z drugiej strony miałeś już pewną pozycję medialną.

– To paradoksalnie utrudniało sprawę. Nie każdy chce zatrudnić byłego księdza. A o mojej przeszłości można się było dowiedzieć w dwie minuty, wpisując w wyszukiwarkę moje imię i nazwisko.

Nie miałeś pomysłu, co robić w świeckim życiu?

– Od pewnego czasu badałem sytuację. Jeszcze jako ksiądz w Puławach zaprzyjaźniłem się z tamtejszym piłkarskim klubem sportowym. Trochę byłem ich nieformalnym kapelanem, a trochę pomagałem im prowadzić media społecznościowe. Pewnego razu rzuciłem szefowi klubu, niby żartem, pytanie, czy gdybym potrzebował, to dałby mi pracę. Odpowiedział, też trochę żartem, że taki pracownik jak ja bardzo by mu się przydał. Pomyślałem: punkt dla mnie, może nie umrę z głodu. Jest jakieś światelko w tunelu.

Jak rozumiem, zacząłeś w głowie tworzyć plan odejścia.

– Coś w tym stylu. Zaplanowałem, że dołączę do czerwca, bo wtedy ogłaszane są zazwyczaj zmiany personalne w parafiach. Gdy zniknę, nikt z wiernych nie będzie zdziwiony. Planowałem, że wezmę roczny urlop, z którego najprawdopodobniej już nie wrócę. Napisałem do biskupa, że chciałyby odpocząć. Później jednak wysłałem mu drugą wiadomość, w której odsłoniłem wszystkie karty.

To znaczy?

– Napisałem, że jestem gejem i że nie zamierzam wracać do kapłaństwa, bo przecież roczna przerwa nic nie zmienia. Zdecydowałem też, że nie będę czekał do czerwca. Nie dałem rady.

Jak wyglądało pożegnanie z parafią?

– Proboszcz potraktował mnie bardzo przyjaźnie, powiedział, że gdyby coś się zmieniło, to mam u niego otwarte drzwi. Kolejny dowód, że Kościół nie składa się z bezdusznych potworów. Oficjalnie kuria wysłała mnie na urlop, miało nie być wokół mego odejścia zamieszania. Tyle że nie wytrzymałem...

...i napisałeś o tym na Facebooku.

– To było silniejsze ode mnie. (śmiech)

„Oficjalnie poszedłem na urlop. Od najbliższej niedzieli nie będę wykonywał czynności kapłańskich. Będę żył i pracował jak inni świeccy ludzie. Decyzja, którą podjąłem, może wydawać się dla niektórych niespodziewana. Ale to jest decyzja, do której dojrzywałem od dawna, nawet bardzo dawna. Głosząc Ewangelię, która tak bardzo mówi o potrzebie życia w prawdzie, nie mogę dłużej żyć w poczuciu, że nie żyję w prawdzie przed sobą samym. Czułem się dobrze w mówieniu kazań, spowiadaniu, chodzeniu po kolędzie itd. Ale to, że robisz coś dobrze, wcale nie jest ostatecznym argumentem na to, że jesteś na swoim miejscu”.

– No i się zrobiło zamieszanie. O moim odejściu pisały portale, gazety.

„Trzymaj się Łukasz. Wspieram mocno” – skomentował twój wpis Szymon Hołownia. A znany jezuita, ks. Grzegorz Kramer napisał: „Choć mi bardzo smutno i bardzo nie chciałem tego dnia, bo przecież wiedziałem, że nadejdzie, to wiedz, że masz w moim sercu, ale i (jeśli to będzie ode mnie zależało) w moim domu miejsce”.

– To wsparcie było bardzo miłe, choć 90 proc. znajomych księży nigdy się do mnie nie odezwało. Nie tylko z ich winy, z mojej też. Chcąc zacząć nowe życie, czyściłem kontakty w mediach społecznościowych. Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Po moim facebookowym wpisie, w którym broniłem Marszu Równości w Lublinie, poznałem jedną z organizatorek tej manifestacji. Lubelska ekipa aktywistek i aktywistów LGBT+ wybierała się akurat na marsz do Kielc. „Łukasz, teraz już możesz jechać!” – zażartowała moja znajoma. A ja pomyślałem, że w sumie ma rację.

Pojechałeś?

– Nie tylko pojechałem, ale jeszcze wrzuciłem relację na fejsa. Przypominam ci, że formalnie ciągle byłem czynnym księdzem rzymskokatolickim, który jedynie poszedł na roczny urlop, ale później wróci i będzie kontynuował pracę duszpasterską. Niemal natychmiast dostałem z kurii mail, że biskup wzywa mnie do nawrócenia i natychmiastowego powrotu do parafii. Nie rozumiałem, w co grają, przecież biskup doskonale wiedział, że jestem gejem i że do kapłaństwa nie zamierzam wracać!

Tyle lat byłeś księdzem, a nie wiesz? To się nazywa „publiczne zgorszenie”. Dopóki coś myślisz czy robisz po kryjomu, to jest okej. Ale gdy powiesz o tym publicznie, stajesz się wrogiem numer jeden.

– Niby to wiem, ale jednak ta wiadomość z kurii mnie zaskoczyła.

Tyle że moje emocje i uczucia były już gdzie indziej, choćby dlatego że w Kielcach poznałem Kubę.

Twojego obecnego partnera.

– Kuba organizował pierwszy Marsz Równości w Białymstoku, który zakończył się krwawymi zamieszkami. Kościół nawoływał do sprzeciwu wobec tej pokojowej manifestacji, w wyniku czego brutalnej agresji fizycznej ze strony skrajnie prawicowych organizacji towarzyszyły modlitwy. Później jedna z białostockich parafii dziękowała kontrmanifestantom za dzielną obronę miasta przed LGBT+, a ja na własne oczy widziałem, jak oni rzucali w nas kamieniami. Absolutnie obrzydliwe. Byłem totalnie zdruzgotany, ale też wkurwiony. Właśnie wtedy poczułem, że milczenie w tej sprawie nie wystarczy, że nie mogę odpuścić i że chcę być aktywistą. Napisałem na FB, że po tym, co zobaczyłem, to nawrócić się powinny nie osoby LGBT+, lecz Kościół głoszący antyewangelię. I że moimi braćmi i siostrami są ci, którzy idą w marszu. Wkrótce biskup mnie suspendował.

Z czego się wtedy utrzymywałeś?

– Wcześniej odłożyłem trochę pieniędzy, poza tym udało mi się dostać tę pracę w klubie sportowym w Puławach. Pracowałem w nim trzy miesiące, ale samorząd tego miasta ogłosił, że jest to strefa wolna od LGBT i z tego powodu miałem kłopot.

Mentalny? Że mieszkasz w takim miejscu?

– Najzupełniej konkretny, namacalny. Jeszcze jako związany z klubem ksiądz po meczach często się spotykałem z miejscowymi samorządowcami. Gdy się okazało, że jestem gejem, zaczął to być dla niektórych z nich problem.

Przecież w nowej pracy zajmowałeś się mediami społecznościowymi! Co ma do tego twoja orientacja?

– Okazało się, że prezes klubu ma przeze mnie problemy. Zacząłem słyszeć takie przyjacielsko-uprzejme naciski, że może lepiej, żebym jednak za dużo o sobie na prywatnym fejsie nie pisał. Zaczęto mnie tonować, odsuwać, chować. Później przyszła pora na intrygi. Pamiętam taką sytuację – siedzę na jakiejś naradzie z szefem, a na naszym klubowym Twitterze gruchnęło hasło: „Sport bez homofobii”. Dosłownie w ciągu dwóch minut dostaliśmy telefon z urzędu marszałkowskiego, dlaczego klub angażuje się w takie działania?

Kto to napisał?

– Nie wiem, bo dostęp do służbowego Twittera miało kilka osób. Ktoś uknuł prowokację, by wszyscy myśleli, że to ja umieściłem. Gdyby nie fakt, że akurat byłem wtedy w jednym pomieszczeniu z prezesem klubu, w życiu bym się z tego nie wytłumaczył.

Zaznaczmy na marginesie, że hasło „Sport bez homofobii” jest jak najbardziej słuszne.

– Oczywiście. Jednak nie w klubie sponsorowanym przez prawicowy samorząd i powiązaną z PiS-em spółkę Skarbu Państwa. Po tym zdarzeniu zrozumiałem, że jestem na celowniku. Później od swego szefa dowiedziałem się jeszcze, że dzwoniła do niego ważna osoba związana z państwową firmą sponsorującą klub, która rzekomo widziała, jak z mojego mieszkania wychodził rano mężczyzna. Pomyślałem wtedy: „Kurwa, nie mogę się na to godzić!”. Przeprowadziłem się do Warszawy, co było o tyle łatwiejsze, że taką samą decyzję podjął akurat mój chłopak, którego do stolicy ściągnęły sprawy zawodowe.

Rozumiem, że po odejściu z kaptaństwa dość płynnie wszedłeś w związek.

– Bardzo mi to pomogło, choć było też trudne, bo przecież mojemu odejściu towarzyszył medialny skandal. Fakt, że nasz związek to uniósł, to cud.

A jak twoje „porzucenie sutanny” przyjęli rodzice?

– Z mamą było łatwiej. Wyoutowałem się jej wcześniej, będąc po trzydziestce. Zareagowała bardzo naturalnie, mówiąc: „Łukasz, jesteś i zawsze będziesz moim synem”. Żartuję, że nie miała ze mną łatwo, bo przecież najpierw wcale się nie cieszyła, że idę na księdza. Ale jak już poszedłem, to zaczęła regularnie chodzić do kościoła. I nagle ja znów robię w tył zwrot!

Miała pretensje?

– Do mnie nie, ale bała się reakcji pobożnych sąsiadek i sąsiadów. Czuła ich niezyczliwy wzrok, przez jakiś czas unikała nawet wychodzenia z domu.

A ojciec?

– On się, niestety, dowiedział o mojej homoseksualności wtedy, gdy gruchnęła afera w mediach. Źle to przyjął, przez chwilę mieliśmy w relacjach kryzys. Pamiętam taką sytuację – przyjechałem z Puław do Lublina, dzwonię do mamy, że może się zobaczymy, a ona, że chętnie, ale na mieście. Spytałem dlaczego. „Bo ojciec powiedział, że jak nas

odwiedzisz, to on wyjdzie". Wróciłem do Puław, poczułem, że straciłem dom. Przez miesiąc to przeżywałem.

Co się zmieniło po miesiącu?

– Miał miejsce kolejny odcinek naszego rodzinnego rollercoastera. To był wrzesień 2019 r. i w Lublinie miał się odbyć drugi Marsz Równości. Dzień przed tym wydarzeniem złamałem się i zadzwoniłem do mamy. Mówię, że przyjeżdżam na marsz, a ona na to: „Wiesz, ja też się wybieram”. Spytałem prowokacyjnie, czy z jajkami, na kontrmanifestację, ale odpowiedziała, żebym nawet tak nie żartował. „A chcesz pogadać z ojcem?”, zapytała.

Chciałeś?

– Tak, bo po rozmowie z mamą czułem, że atmosfera się poprawiła. Ojciec nigdy nie był wylewny emocjonalnie, ale mnie przeprosił. Od tej chwili rodzice w pełni mnie akceptują i wspierają. Mojego Kubę traktują jak syna, spędzamy razem święta. Tata ma taki zwyczaj, że chodzi do ciucholandów i kupuje ubrania, nie tylko sobie, ale też mi. Ma do tego dryg, udaje mu się czasem upolować piękne rzeczy. Teraz za każdym razem kupuje też jakiś ciuch dla Kuby.

A jak cię przyjęła rodzina Kuby?

– Dla nich to był trochę dłuższy proces, bo są mocno religijni. Ale czasem można się pozytywnie zaskoczyć. Dla mnie i dla Kuby niezwykle ważnym momentem były chrzciny jego siostrzenicy, na które zaproszono nas razem. Kuba wszystkim mnie przedstawiał, a gdy podeszliśmy do jego dziadków, powiedział: „To jest Łukasz, mój chłopak”. Na co oni w niezwykle naturalny sposób odpowiedzieli: „Jestem dziadek”. „A ja jestem babcia”. Piękna scena!

Dobrze, że o tym wszystkim tak szczerze mówisz, bo coming out to doświadczenie, które bardzo wzmacnia, ale też niekiedy sporo kosztuje.

– Mimo dużego kosztu osobistego, jaki przyszło mi za niego zapłacić, nie mam wątpliwości, że było warto. Jest czymś fantastycznym żyć w zgodzie z sobą, nie musieć ukrywać swojej ogromnej części tożsamości, upychać jej gdzieś w kącie.

A co po odejściu z kapłaństwa stało się z twoją duchowością?

– W pierwszej chwili? Jakby mi ktoś przestawił przełącznik z „on” na „off”.

Żadnej tęsknoty za poprzednim życiem?

– Żadnej. Nie brakowało mi ani mszy, którą przez dziewięć lat codziennie odprawiałem, ani relacji z Bogiem.

Jak to tłumaczysz?

– Przez lata miałem przekonanie, że chcąc być blisko Boga, muszę ukryć przed nim i przed sobą jakąś część siebie. Potem, gdy już nie chciałem nic ukrywać, zrezygnowałem z Boga. W zasadzie zrezygnowałem z Kościoła, ale Bóg był wtedy dla mnie z Nim całkowicie złączony.

Jak z perspektywy kilku lat oceniasz to doświadczenie?

– Wraz z załamaniem się mojej wiary straciłem poczucie lęku motywowanego religijnie, w który, niestety, mocno wpycha nas Kościół. To jest fantastyczne doświadczenie wolności. Gdybym miał mieć znowu religijne lęki, to już wolę być ateistą.

Teraz jesteś?

– Raczej nie. Po prostu nie wiem, czy On naprawdę istnieje, choć często zakładam, że tak. Wiem jednak, że nigdy nie uciekłem przed Bogiem, którym kiedyś, będąc w liceum, się zachwyciłem. Uwierzyłem wtedy w Boga, który jest miłością, a przecież przed miłością nie uciekałem. Odszedłem natomiast od tego wszystkiego, co w ciągu następnych lat fałszywie obudowało mi ten obraz Boga. Potrzebowałem się od tego radykalnie odciąć, chyba z rok to trwało.

A potem?

– Mniej więcej po roku na Wielkanoc coś się we mnie zaczęło budzić. Wszedłem raz i drugi do pustego kościoła, nawet się nie modliłem, po prostu chciałem w nim chwilę posiedzieć, trochę jak w domu. Tak jest do dziś, choć czuję, że ostatnio coraz więcej myślę o duchowości. Robię to jednak w całkowitej wolności od Kościoła. Zacząłem się też moimi przemyśleniami dzielić na Facebooku, widocznie odzywa się we mnie uśpiony teolog.

W listopadzie 2021 r. poszliśmy razem na spotkanie synodalne w warszawskiej kurii jako reprezentanci społeczności wierzących osób LGBT+.

– I wiesz, że było mi w tej kurii całkiem okej? Zaskakująco dobrze się na tym spotkaniu czułem. Jednak po pierwszych konsultacjach synodalnych zrozumiałem, że ja wcale nie chcę reformować Kościoła. Bo reforma, o której niekiedy mówi Watykan, ma dotyczyć głównie języka i duszpasterstwa. Tymczasem uważam, że musi się zmienić sam rdzeń nauczania Kościoła o osobach LGBT+. Bez tego wszystkie gesty będą tylko pudrowaniem czegoś, co wymaga bardzo głębokich zmian.

Przyznam, że uczestnictwo w procesie synodalnym doprowadziło mnie do tych samych wniosków.

– Bo deklarowany przez Kościół szacunek do osób LGBT+ jest dość specyficzny. Zawsze kończy się stwierdzeniem: w związku z tym, że przeżywasz siebie, swoją seksualność i pociąg romantyczny w taki, a nie inny sposób, powinieneś się tego wystrzegać. Musisz przyjąć swoje życie i siebie jako krzyż. Musisz cierpieć, nie możesz kochać. W tym kontekście katechizmowe zdanie o szacunku nie jest nic warte. To, że papież powiedział jakiemuś gejowi: „Jesteś dzieckiem Boga” też niewiele wnosi. No, jesteś dzieckiem Boga jak każdy. Ale jeśli chcesz kochać, chcesz tworzyć relację w zgodzie z sobą, to grzeszysz, popełniasz zło. To wyjątkowo nieludzkie nauczanie, będące źródłem głębokiego cierpienia wielu ludzi.

A co, jako były duszpasterz, myślisz o duszpasterstwie osób LGBT+?

– Kiedyś myślałem, że to superpomysł, jednak w pewnym momencie zrozumiałem, że wcale nie. Jak dotąd kościelne koncepcje tworzenia takiego duszpasterstwa opierają się na idei wychodzenia do poranionych i pogubionych, na litości do „biedaczków”. Takie duszpasterstwo nie zatroszczy się o prawdziwą podmiotowość osób LGBT+, nie będzie afirmować naszej tożsamości, wręcz przeciwnie, będzie ona traktowana jako „bieda”, którą się trzeba zaopiekować. Mimo dobrych intencji duszpasterze z takim podejściem będą wzmacniać w osobach LGBT+ poczucie, że coś jest z nimi nie tak.

Nigdy nie żałowałeś, że odszedłeś z kapłaństwa?

– Odchodzenie może być naprawdę dobrym doświadczeniem. Czasem wręcz trzeba odejść, żeby wrócić z inną perspektywą. A innym razem po to, żeby nie wracać, tylko znaleźć inną drogę. Bo Kościół, ani rzymskokatolicki, ani żaden inny, nie jest jedyną drogą. Przypomina mi się fragment w Ewangelii, w którym uczniowie zaczynają opuszczać Jezusa. Pyta On wtedy apostołów: „Czy i wy chcecie odejść?”. To nie jest pytanie retoryczne, nie zawiera presji czy manipulacji. Jest w nim gotowość na każdą odpowiedź.

Słuchaj, a co powiesz Świętemu Piotrowi, jak cię kiedyś będzie wpuszczał do nieba?

– Spytałem: „No dobra, kiedy macie tu Pride? I czy śpiewacie «Born This Way» Lady Gagi przed psalmem «Dziękuję Ci, Panie, że mnie stworzyłeś tak cudownie, godne podziwu są Twoje dzieła», czy po nim? A tak w ogóle, to nigdy nie mieliście problemu z nieheteronormatywnością,

prawda? Znaczący się Bóg nie miał. Kościół miał, a przez to miało mnóstwo osób. Wiele niepotrzebnego cierpienia. Przepraszacie tutaj jakos tych ludzi?”.

Podoba mi się ta odpowiedź. W ogóle przepraszam za to pytanie, życzę ci tu na ziemi wielu szczęśliwych lat. Czy jest coś, czego ci w tym nowym życiu brakuje?

– Szczerze?

Tylko szczerze.

– Głoszenia. Bardzo lubiłem głosić Słowo Boże. Chciałbym to robić, ale bez duchowych ograniczeń. W pełnej wolności, w uwolnieniu od schematów czy ideologii.

To dlaczego na przykład nie możesz poprowadzić rekolekcji dla Wiary i Tęczy?

– Dlatego że nikt mnie dotąd o to nie poprosił.

ZROZUMIAŁEM, ŻE MOŻEMY BYĆ WIDOCZNI I POKONAĆ STRACH



Kacper Kalin

psychoterapeuta

Współzałożyciel ekumenicznej Grupy Lesbijek i Gejów Chrześcijan działającej w Warszawie w latach 1994-2007.

Absolwent Wydziału Klinicznej Pracy Socjalnej w New York University, Programu Psychoanalitycznej Psychoterapii Toronto Psychoanalytic Society na University of Toronto, Wydziału Teologicznego Akademii Teologii Katolickiej (ATK) oraz Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (ChAT). Po wyjeździe z Polski pracował w centrach zdrowia psychicznego w USA, Nowej Zelandii i Kanadzie. W latach 2009-2016 zasiadał we władzach stowarzyszenia Ontario Association of Social Workers. Od 2013 r. prowadzi prywatną praktykę psychoterapeutyczną z osobami indywidualnymi i z parami.

W 2010 r. w Kanadzie wziął ślub ze swoim wieloletnim partnerem Marcinem Kutwinem. W Toronto mieszkają od 2008 r.

Jak chyba większość wierzących gejów w tamtych czasach myślałem o pójściu do seminarium lub zakonu. Ogromna część osób homoseksualnych rzeczywiście szła do stanu duchownego, a ci, którzy nie czuli się na to gotowi, często wybierali teologię na wydziale świeckim.

Pisaliśmy listy do Episkopatu z prośbą o dialog na temat duszpasterstwa osób homoseksualnych, a także do proboszczów parafii rzymskokatolickich w centrum Warszawy z pytaniem, czy moglibyśmy zacząć rozmowy o duszpasterstwie lesbijek i gejów w ich parafiach. Nigdy nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi.

Wierzyliśmy, że gdy biskupi nas poznają i zaczną z nami dialog, to otworzą swoje dotychczasowe myślenie na nieznane im współczesne studia teologiczne i pastoralne w innych krajach. Nie rozumieliśmy wtedy, że – niestety – część z nich nie miało niezbędnej do tego przyzwoitości.

Jesteś przedstawicielem najmłodszego pokolenia gejów, którzy wchodzili w dorosłość jeszcze w PRL-u.

– Zgadza się. Rocznik 1967, gdy upadła komuna, miałem 22 lata. Załapałem się jeszcze też niestety na końcówkę akcji „Hiacynt”²⁶.

Opowiesz?

– To był pewnie 1987, może 1988 r. Tuż po zmroku. Jeden z parków we Wrocławiu był miejscem spotkań gejów, bo przecież tęczyowych klubów wtedy nie było. Od znajomych słyszałem, że milicjanci robią naloły, wyłapują przypadkowe osoby i zabierają na komisariat. Podczas przesłuchania wypytyują o życie seksualne, później dzwonią do pracy, rodziców czy szkoły. Taka była fama, ale najpierw się tym nie przejąłem. Pewnego razu nagle alejkami z różnych stron nadjechało kilka milicyjnych nysek z włączonymi długimi światłami, które nas oślepiły. Zaczęto wyłapywać ludzi. Mnie się udało uciec.

Nie trafiłeś na komisariat?

– Trafiłem jakiś czas później w Warszawie. Dwóch ubranych po cywilu funkcjonariuszy nagle mnie zatrzymało i, wykręcając mi ręce, na siłę zaprowadziło do komisariatu niedaleko jednego z ówczesnych miejsc spotkań gejów. Próbowano mi wmówić kontakty seksualne z małoletnimi, jakich nie miałem. Nie wiem, czy mnie z kimś pomylili, czy po prostu przepytывali tak wszystkich, na chybił trafił. „Tym razem cię wypuszczamy” – usłyszałem po paru godzinach przetrzymania. Byłem wstrząśnięty, przez tydzień dochodziłem do siebie.

Całe życie gejowskie było wtedy naznaczone strachem?

– Aż tak źle nie było. Ja zacząłem odnajdywać się w naszym ówczesnym świecie gejowskim od roku 1988. To był schyłek PRL-u, stare walczyło z nowym. Mieszkałem wtedy we Wrocławiu. Działo parę kawiarni, w których spotykali się geje, choć oficjalnie nie były one gejowskie. W Warszawie przyjęło się, że „branżowym” lokalom nadawano nazwy na „A”: Ambrozja, Antyczna, Ateneum, Ambasador, Aida... Tak jak wspominałem, we Wrocławiu też takie miejsca były, choć nie tyle, co w Warszawie. Podobnie jak w innych miejscach w Europie i na świecie wtedy ludzie spotykali się w miejskich parkach, latem na niektórych plażach.

²⁶ Akcja „Hiacynt” – akcja Milicji Obywatelskiej, która miała miejsce w latach 1985–1987, a częściowo też w 1988 r. W jej ramach zatrzymywano osoby homoseksualne, przesłuchiowano i zakładano im kartoteki. Wywołała falę strachu w społeczności gejów.

Na seks?

– Marcin, byliśmy dokładnie tacy sami jak każde inne pokolenie i jak każda inna młodzież. Te parki pełniły taką funkcję jak dzisiejsze aplikacje typu Grindr. Jedni szukali tam seksu, inni wielkiej miłości, a jeszcze inni chcieli się po prostu spotkać i pogadać. Myślę, że większość przychodziła towarzysko.

Dlaczego właśnie parki?

– Bo tam było najbezpieczniej. Spacer w parku nie oznaczał deklaracji. Wejście do knajpy, gdzie spotykali się geje, było już jakimś rodzajem coming outu... Hmm, właśnie złapałem się na tym, że mówiąc o tamtych czasach, używam współczesnych pojęć. Wtedy nie było w powszechnym obiegu takich określeń jak „coming out” czy nawet „gej”. Zaczynali ich używać tylko nieliczni.

Pamiętasz, jak pierwszy raz wszedłeś do „branzowej” knajpy?

– Doskonale. Szykowałem się do tego kilka miesięcy. Mała, klimatyczna kawiarnia była we Wrocławiu przy Świdnickiej, naprzeciwko hotelu Monopol. Ale dla mnie ważniejszym wydarzeniem był pewien spacer w parku Hanki Sawickiej.

W 1994 r. chyba zmieniono mu nazwę na park Kopernika.

– Tak, to ten sam. Pamiętam taką scenę. Połowa czerwca 1988 r., początek pięknego lata. Wróciłem do Wrocławia z weekendowej wizyty u mamy. Szedłem z dworca przez park obok fosy. Przejście przez ten park to był taki gejowski rytuał, na zasadzie, że może się spotka kogoś znajomego, powie komuś „cześć”, zagada. Ciepły wieczór ściągnął do parku dziesiątki osób, z czego około 95 proc. to byli nasi. Jedni spacerowali, drudzy siedzieli na ławce i rozmawiali, inni umawiali się z kumplami, żeby gdzieś pójść. Nagle zrozumiałem, że możemy być widoczni, pokonać strach i, tak jak wszyscy, spotykać się ze sobą, rozmawiać, może romansować. Piękna, tęczowa oaza w smutnym, szarym PRL-u. Ten widok to było jedno z najważniejszych doświadczeń mojego ówczesnego życia

Sielankowa wizja, że gej może normalnie żyć?

– Jak już mówiłem, wtedy się nie mówiło „gej”. Społeczne postrzeganie osób homoseksualnych było takie, że to środowisko kryminogenne, ewentualnie spotykające się na przypadkowy seks. Widok tłumu pogodnych gejów w parku był niezwykle krzepiący, wręcz metafizyczny. Byłem wtedy po pierwszym roku studiów, już po egzaminach.

– To był początek budowania mojej gejowskiej tożsamości.

Jak się ona kształtowała?

– Studiowałem wtedy teologię we Wrocławiu, pierwszy raz w życiu zakochałem się w chłopaku. Dzięki niemu poznałem grupę ETAP²⁷, jedną z najstarszych gejowskich organizacji w Polsce. Dla mnie było ważne, że spotykali się tam ciekawi ludzie, był klub filmowy, odbywały się dyskusje na temat znanych zagranicznych filmów o różnych aspektach życia gejowskiego. Jeden z liderów podarował mi książkę niemieckiego psychologa Martina Siemsa pt. „Coming out: Hilfen zur homosexuellen Emanzipation”. Siems był psychologiem, który w USA uczył się prowadzić grupy wsparcia dla gejów chcących wyjść z szafy i potem prowadził je w Niemczech. Książka również przygotowywała do wychodzenia z ukrycia. Dowiedziałem się z niej, że będąc osobą homoseksualną, mogę normalnie żyć, decydować, komu o sobie mówię, a komu nie, ale że generalnie lepiej jest mówić, niż się ukrywać lub udawać heteryka. Ta książka to był dla mnie ogromny zastrzyk godnościowej multiwitaminy. W jakimś sensie początek mojej życiowej rewolucji.

Pochodzisz z religijnej rodziny?

– Urodziłem się we Wrocławiu, ale gdy byłem dzieckiem, przeniosłem się z rodziną do Nowogrodźca na Dolnym Śląsku. Tam skończyłem szkołę podstawową. Wychowałem się w dość typowej jak na tamte czasy, małomiasteczkowej rodzinie rzymskokatolickiej. Tato był przez dekady związany z chórem kościelnym. Tam też przyjąłem na wiele lat typowe zasady praktyki religijnej, o które moi rodzice dbali. Nie byli oni ani przesadnie dewocyjni, ani religijnie sceptyczni. Do szkoły średniej chodziłem w Jeleniej Górze. Tam zaangażowałem się w katolicki ruch charyzmatyczny. Po maturze wybrałem się na teologię na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu.

Dlaczego teologia?

– Jak chyba większość wierzących gejów w tamtych czasach myślałem o pójściu do seminarium lub zakonu. Ogromna część osób homoseksualnych rzeczywiście szła do stanu duchownego, a ci, którzy nie czuli się na to gotowi, często wybierali teologię na wydziale świeckim. Dzięki temu poniekąd zyskiwało się dodatkowy czas na decyzję. Właśnie tak zrobiłem. Studia były bardzo ciekawe, momentami fascynujące, a Wrocław wspaniały. Jednak coraz bardziej pociągała mnie już wtedy

²⁷ ETAP – jedna z pierwszych w Polsce gejowsko-lesbijskich organizacji, która w 1983 r. powstała we Wrocławiu.

Warszawa ze swoim międzynarodowym sznytem i rozmachem, których wtedy nie miało żadne inne miasto w Polsce. Po pierwszym roku przenieśliśmy się więc do stolicy na Akademię Teologii Katolickiej.

Wciąż trzymałeś się teologii...

– Dziś to może dziwić, ale wtedy uczelnie teologiczne były swego rodzaju oazą wolności. Wielu profesorów wyjeżdżało za granicę na stypendia czy wykłady, dzięki czemu otwierały się im horyzonty. Ówczesne wydziały teologiczne ATK oraz ChAT regularnie gościły wykładowców różnych specjalności z Europy Zachodniej. Z kolei Polska była wtedy na Zachodzie bardzo modna, bo Solidarność, stan wojenny i Jan Paweł II, więc do nas też chętnie przyjeżdżali wybitni teologowie z Zachodu. Do tego dochodziła aura opozycyjności wobec systemu, którą miały uczelnie katolickie. Jako student czułem, że łapię wiatr w intelektualne żagle.

W Warszawie znalazłeś jakąś społeczność gejowską?

– No oczywiście. Opowiem o czymś, co cię może zaskoczy, bo twoje pokolenie już się chyba na to nie załapało. Ja się z tym spotkałem niemal w ostatniej chwili. Otóż w dużych miastach, a szczególnie w Warszawie, istniało tak zwane salonowe życie gejowskie.

Geje w PRL-u na salonach? Rzeczywiście nie słyszałem.

– Gospodarzami tych salonów byli ludzie z wyższych sfer. Mieli piękne mieszkania w kamienicach lub wille pod Warszawą. Profesorowie, dyrektorzy teatrów, lekarze, artyści. Jednym z bardziej znanych był salon Jerzego Waldorffa²⁸ i jego życiowego partnera Miecicia Jankowskiego. Inny prowadził popularny piosenkarz. Bywał też tam pewien znany ksiądz profesor ze swoim partnerem, też księdzem, który później zmarł na AIDS. To były zamknięte kręgi, można tam było trafić tylko dzięki czyjejś protekcji czy zaproszeniu. Te mieszkania, często staromodne, pełne antyków, były jak z innej epoki. Trafiłem do kilku takich miejsc, dzięki temu poznałem niektórych wpływowych, dystyngowanych gejów. Były to domy spotkań, nawiązywania znajomości, ale też okazywania sobie zwykłej solidarności, charakterystycznej dla grup mniejszościowych, które są poddane społecznej opresji. Większość z gospodarzy i gości tego salonowego życia nie ujawniała się jako geje nigdzie więcej, a zwłaszcza nie publicznie.

²⁸ Jerzy Waldorff (1910-1999) – pisarz, publicysta, krytyk muzyczny i działacz społeczny. Popularyzator twórczości Karola Szymanowskiego. Przez 60 lat (do śmierci) był w związku z Mieczysławem Jankowskim, tancerzem baletowym i pedagogiem.

Podasz przykład tej solidarności?

– Pewien starszy dziennikarz pomógł mi napisać CV, a potem przygotowywał do rozmowy kwalifikacyjnej po angielsku w amerykańskich liniach lotniczych. Boże, jak on mnie wtedy przeczołgał! Ale pracę dostałem, mimo że było bardzo wielu kandydatów.

Jak wspominasz doświadczenie tych salonów?

– W sumie dobrze. Młodemu studentowi możliwość wejścia do wyższych sfer w oczywisty sposób imponowała. Ale z drugiej strony już wtedy czułem, że to odchodząca epoka. Ci wszyscy rektorzy i artyści mieli wspaniałe rezydencje, ale mentalnie żyli w ciasnych szafach, przynajmniej pod względami, które dla mnie nabierały coraz większego znaczenia. Poza swoim zamkniętym kręgiem nie ujawniali swojej orientacji, niektórzy prowadzili podwójne życie. Nie pamiętam z tamtych miejsc żadnych intelektualnych rozmów dotyczących strategii ruchu gejowskiego czy rozumienia tożsamości gejowskiej. Atmosfera tych spotkań z jednej strony mnie pociągała, a z drugiej zaczynała trochę dusić. Zwłaszcza że wkrótce zacząłem wyjeżdżać na konferencje międzynarodowych grup gejowsko-lesbijskich. Już w 1990 r. pojechałem m.in. na międzynarodowe spotkanie ILGA²⁹ w Sztokholmie i to był zupełnie inny świat. Wszyscy byli ujawnieni, rozmawiano o poważnych sprawach politycznych, prawach mniejszości seksualnych czy strategii emancypacyjnej, a także o pozytywnej i konstruktywnej relacji filozofii, religii i seksualności. W ówczesnej Polsce jeszcze zupełnie nie było na to przestrzeni.

Wyjeżdżałeś na te konferencje już jako aktywista ruchu gejowsko-lesbijskiego?

– Tak. W 1990 r. – na bazie dotychczasowych, nieoficjalnych grup: Warszawskiego Ruchu Homoseksualnego, wrocławskiego ETAP-u i działającej w Gdańsku grupy Filo – udało się zarejestrować Stowarzyszenie Grup Lambda. Od 1989 r. w legendarnym klubie Sigma na Uniwersytecie Warszawskim raz w miesiącu organizowaliśmy gejowskie dyskoteki, przypuszczam, że pierwsze w Polsce. Pamiętam, że na jednej z nich poznałem Monikę Jaruzelską, która otwarcie deklarowała się jako przyjaciółka gejów i lesbijek. Kilka lat później przy ul. Śniadeckich powstał Ośrodek „Rainbow” będący warszawską siedzibą Lambdy. Wreszcie zaczęło się coś dziać.

Politykę też robiliście?

²⁹ ILGA – Międzynarodowe Stowarzyszenie Lesbijek i Gejów (International Lesbian and Gay Association) – założona w 1978 r. światowa organizacja zrzeszająca pozarządowe, polityczne organizacje działające na rzecz praw osób LGBT+.

– Owszem i to na dosyć wysokim szczeblu. W 1995 r., gdy trwały prace nad Konstytucją, dotarliśmy do byłego marszałka Sejmu, prof. Mikołaja Kozakiewicza, a także prof. Lecha Falandysza z Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Przekonaliśmy ich, by w preambule do ustawy zasadniczej znalazła się informacja o niedyskryminacji ze względu na orientację seksualną. W pierwszej wersji to przeszło. Później, niestety, posłowie ten zapis wykreślili.

A w jaki sposób stworzyłeś pierwszą grupę chrześcijan LGBT?

– To się zrodziło w ramach mojej działalności w Lambdzie. Na imprezy do Sigmy, a później na spotkania do ośrodka Rainbow zaczęły przyjeżdżać także osoby religijne albo przynajmniej zainteresowane religią, w tym duchowni. Ci ostatni incognito. Z czasem stworzyła się grupka osób, które chciały też prowadzić bardziej regularne, egzystencjalne, a czasem wręcz religijne rozmowy. Jednocześnie, dzięki pracy w amerykańskich liniach lotniczych Delta, miałem dostęp do tanich biletów, więc, jak już wspominałem, mogłem latać na różne zagraniczne konferencje. Już na spotkaniu ILGA w Sztokholmie spotkałem się z religijnymi grupami LGBT+. W 1994 r. pojechałem na trzy duże międzynarodowe spotkania homoseksualnych chrześcijan. W maju w Bratysławie uczestniczyłem w spotkaniu Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT³⁰, w czerwcu w ogólnokrajowej konferencji Quest³¹ w Edynburgu, a pod koniec czerwca w Nowym Jorku świętowałem 25-lecie Dignity³². Poznałem tam czołowych teologów LGBT+, m.in. Daniela Helminiaka, autora opublikowanej później także w Polsce książki „Co naprawdę Biblia mówi o homoseksualności”. Wracalem z tych podróży pełen marzeń, że i u nas można robić coś podobnego. W Polsce mieszkali wtedy dwaj Amerykanie – Tom Lavell, redaktor „The Warsaw Voice”, oraz Christopher Larkosh, filolog, który był w naszym kraju na stypendium naukowym. Obaj przed opuszczeniem Stanów byli związani z tamtejszą ogólnokrajową organizacją rzymskokatolickich lesbijek i gejów Dignity. Właśnie w mieszkaniu Toma przy Emilii Plater 5 marca 1994 r. odbyło się pierwsze spotkanie przyszłej grupy chrześcijańskiej.

³⁰ European Forum of LGBT Christian Group – powstała w 1982 r. parasolowa organizacja skupiająca grupy chrześcijan LGBT z całego świata. Jej członkiem jest Fundacja Wiara i Tęcza, a w przeszłości była też Ekumeniczna Grupa Gejów i Lesbijek Chrześcijań „Berith”.

³¹ Quest – powstała w latach 70. brytyjska organizacja katolików LGBT+.

³² DignityUSA – założona w 1969 r., najstarsza na świecie organizacja katolików LGBT+.

Wasze spotkania odbywały się w prywatnym mieszkaniu?

– Tak. Zaczęło jednak przychodzić coraz więcej osób, przenieśliśmy się więc do ośrodka kultury przy Jezuickiej, później spotykaliśmy się w Ośrodku „Rainbow”, wreszcie przyjęła nas parafia luterańska. Nazwaliśmy się Grupa Lesbijek i Gejów Chrześcijan w Warszawie, po kilku latach dodano do nazwy słowo „Berith”, co po hebrajsku znaczy „Przymierze”. Grupa od początku dumnie uważała się za ekumeniczną, zrzeszając osoby z Kościołów rzymskokatolickiego, kilku protestanckich oraz prawosławnego.

Grupa szybko się rozwijała?

– Nawet bardzo. Uruchomiliśmy telefon zaufania dla chrześcijan LGBT, którego numer, po naszych długich staraniach, opublikowała w 1995 r. „Gazeta Wyborcza”. Dzwoniło mnóstwo ludzi z całej Polski. Informacja o naszej działalności ukazała się też w gejowsko-lesbijskim magazynie „Inaczej”. Oprócz comiesięcznych spotkań oraz dyżurów w telefonie zaufania chodziliśmy też regularnie w soboty na wieczorną mszę do jednego ze śródmiejskich kościołów. Między 1994 a 1997 r. zorganizowaliśmy 11 rekolekcji w Konstancinie.

Jak wyglądały te rekolekcje?

– W naszej grupie było dwóch zakonników-gejów, którzy odprawiali nam liturgię. Konferencje prowadziłem jednak głównie ja i mój partner Marcin Kutwin, również absolwent teologii. Byliśmy wtedy liderami grupy. Utrzymywaliśmy kontakt z duchownymi, którzy widzieli potrzebę i możliwość zapoczątkowania duszpasterstwa lesbijek i gejów.

W jakich kręgach szukałeś tych duchownych?

– Ze studiów teologicznych wiedziałem, że najbardziej otwarte umysły mieli ci, którzy się zajmowali dialogiem ekumenicznym i chrześcijańsko-żydowskim. I rzeczywiście, pierwszym księdzem rzymskokatolickim, który zgodził się nas aktywnie wesprzeć, był mój nauczyciel teologii ekumenicznej.

Próbowaliście szukać sojuszników w środowiskach takich jak KIK, „Więź”, „Znak” czy „Tygodnik Powszechny”?

– Tak, ale nic wtedy nie osiągnęliśmy. Próbowałem nawet opublikować jakiś tekst o potrzebie duszpasterstwa osób homoseksualnych i ich bliskich, ale wszędzie był mur.

Próbowaliście się kontaktować z biskupami?

– Pisaliśmy listy do Episkopatu z prośbą o dialog na temat duszpasterstwa osób homoseksualnych, a także do proboszczów parafii rzymskokatolickich w centrum Warszawy z pytaniem, czy moglibyśmy zacząć rozmowy o duszpasterstwie lesbijek i gejów w ich parafiach. Nigdy nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Tę całkowitą ówczesną niegotowość Kościołów w Polsce rekompensowaliśmy sobie kontaktami zagranicznymi oraz studiowaniem opracowań filozoficznych, teologicznych i pastoralnych w niemieckim, angielskim, holenderskim i francuskim.

Skąd mieliście te wszystkie kontakty?

– Dzięki moim wyjazdom, które zawdzięczałem pracy w liniach lotniczych. Poznałem wtedy m.in. założycieli rzymskokatolickiego duszpasterstwa LGBT New Ways Ministry – siostrę Jeannine Gramick i ks. Roberta Nugenta³³. W grudniu 1993 r., a więc jeszcze przed formalnym powstaniem naszej grupy, ściągnęliśmy do Polski ks. Alana Dillmana, który był zaangażowany w działalność dwóch organizacji chrześcijan LGBT w USA. Jego parafia w Atlancie była otwarta na osoby homoseksualne.

Mówisz o parafii rzymskokatolickiej?

– Oczywiście! Delegacja parafian szła co roku w Paradzie Równości, a z nimi dumnie kroczył proboszcz i wikarzy, oczywiście w koloratkach.

Inny świat.

– Zupełnie. Pamiętam, jak siedzieliśmy z ks. Dillmanem w warszawskim mieszkaniu Toma Lavella i wypytywaliśmy go o to, jak oni tworzyli organizację wierzących lesbijek i gejów, a także w jaki sposób inicjowali i facylitowali dialog z hierarchami. Później na swoich rekolekcjach gościliśmy też m.in. ks. Roberta Nugenta. Przyjeżdżali też działacze Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT i przedstawiciele grup roboczych w Europejskiej i Światowej Radzie Kościołów.

W 1997 r. wraz ze swoim partnerem wyjechaliście z Polski.

– Linie Delta zamykały swoje biuro w Warszawie i zaproponowały mi kontynuowanie pracy w Nowym Jorku. W tych okolicznościach przenieśliśmy się z Marcinem do Stanów. W późniejszych latach mieszkaliśmy też w Nowej Zelandii i Hiszpanii, a od 15 lat mieszkamy w Toronto. W styczniu 2010 r., w 15. rocznicę naszego związku, wzięliśmy ślub w odpowiedniku Urzędu Stanu Cywilnego w Toronto.

³³ Więcej - w wywiadzie z s. Jeannine Gramick.

Kto po was przejął grupę chrześcijańską w Warszawie?

– Między innymi Henryk Kierzkowski, który równolegle działał w Lambdzie, a także Jarek Basiel. W 2001 r. w Pogorzeli pod Warszawą gościli nawet doroczną konferencję Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT. Przyjechało ponad 80 osób z siedmiu krajów Europy. Niestety po pewnym czasie grupa zaczęła tracić swoją dotychczasową inicjatywę i zaprzestała działalności.

A ty? Kontynuowałeś działalność za granicą?

– Właściwie już nie. W 1999 r. Watykan ogłosił notę w sprawie s. Jeannine Gramick i ks. Roberta Nugenta³⁴, w której potępiał ich działalność i zakazywał wypowiedzania się na tematy LGBT+. Znałem ich osobiście od lat, czytałem wszystko, co publikowali, dokładnie śledziłem ich działalność. Widziałem ich mądrość i oddanie. Decyzja zajmującej się tą sprawą kongregacji była w moim głębokim przekonaniu zaprzeczeniem ducha dialogu. Dla mnie to był punkt zwrotny. Całkowicie wycofałem się wtedy z mojej działalności, przestałem praktykować, odsunąłem się od Kościoła. Dziś uważam się za osobę bezreligijną.

Uznałeś, że działalność na rzecz zmiany w Kościele nie ma sensu?

– Z czasem zrozumiałem, że byliśmy naiwni. Zakładaliśmy dobrą wolę polskich przywódców Kościoła rzymskokatolickiego, wierzyliśmy, że gdy biskupi nas poznają i zaczną z nami dialog, to otworzą swoje dotychczasowe myślenie na nieznaną im współczesne studia teologiczne i pastoralne w innych krajach. Nie rozumieliśmy wtedy, że – niestety – część z nich nie miała niezbędnej do tego przyzwoitości. Dziś wyraźniej widzę, że wielu z nich to byli ludzie zdemoralizowani, skorumpowani i bardziej pochłonięci przetrwaniem patologicznego kościelnego systemu niż sprawami pastoralnymi czy duchem dialogu.

Czy to znaczy, że straciłeś wiarę w sens działalności takich grup jak amerykańska New Ways Ministry lub polska Wiara i Tęcza?

– Wręcz przeciwnie. Mam wielkie uznanie dla tych świeckich i duchownych, którzy w Kościołach pracują na rzecz otwartości. Ma to ogromne znaczenie, zarówno religijne, jak i społeczne. W ostatnich latach wiele Kościołów aktywnie działa przeciwko wykluczeniu i na rzecz dialogu. Dotyczy to także Kościoła rzymskokatolickiego w niektórych krajach, choć zapewne niekoniecznie w Polsce. Trzymam kciuki, by liderzy i działacze Kościołów, w należącej do społeczności LGBT+, mieli odwagę otwierania drzwi.

³⁴ Więcej o tym konflikcie w wywiadzie z s. Jeannine Gramick.

Tobie nigdy nie brakuje Kościoła?

– Czasem tęsknię za kameralną atmosferą spotkań, otwartych, głębszych egzystencjalnych rozmów, słuchania, ciekawości i wzajemnego uczenia się z naszych własnych doświadczeń oraz studiowania refleksji teologicznej z innych krajów. Pamiętam doświadczane wówczas uczucie wewnętrznego wyciszenia i ludzkiej wspólnoty. To było piękne. Rzeczywiście, od czasu do czasu czuję po tym jakąś pustkę.

Skoro jesteś bezreligijny, to pytanie trochę bez sensu, ale potraktuj je metaforycznie. Gdy Święty Piotr będzie cię wpuszczał do nieba, to co mu powiesz?

– Wcale nie bez sensu. Mam za sobą lata tak żarliwej religijności, że czasem się zastanawiam, czy na starość nie wrócę do Kościoła. Oby nie jako radiomaryjny dewot! (śmiech) Ale odpowiadając na twoje pytanie – Świętemu Piotrowi powiem, że miałem w życiu dużo szczęścia. Również w Kościołach spotkałem wielu wspaniałych ludzi, w tym mądrych duchownych. W pewnym okresie moja religijność chroniła mnie przed „złem świata”. Przeżyłem wówczas wiele ważnych i wartościowych doświadczeń.

Czym się dziś zajmujesz?

– Od 20 lat pracuję jako psychoterapeuta. Uznałem, że muszę się zająć czymś, czego efekty mogę zobaczyć jeszcze za mojego życia. Trochę w myśl hasła: nie możesz zmienić całego świata, ale czasem możesz pomóc zmienić coś istotnego w świecie jednej osoby, pary, rodziny, grupy. Odnajduję w tym głębszy sens życia i poczucie spełnienia, którego kiedyś szukałem w religii.

Powiesz o tym więcej?

– W psychoterapeutycznych spotkaniach widzę, jak ludzie wychodzą czasem z najgłębszych życiowych kryzysów, dochodzą do siebie, odzyskują poczucie swojej godności, kierunku życia.

– Czasem jest to dosłownie ratowanie życia, np. u osób po próbach samobójczych, po kryzysach psychotycznych czy po doświadczeniu wyalienowania spośród najbliższych. Dla mnie to „metafizyka”, która wywołuje głębsze poruszenie, niż kiedyś dawała mi liturgia, modlitwa czy nawet najlepsza spowiedź.

WIARĘ I TĘCZĘ TRZEBA BYŁO TWORZYĆ OD ZERA



Artur Kapturkiewicz

współzałożyciel Wiary i Tęczy

Lekarz pediatra, zakaźnik, współzałożyciel (wraz z Agnieszką Wiciak) Wiary i Tęczy, wieloletni lider krakowskiej grupy WiT. Przez lata zaangażowany w działalność organizacji pozarządowych, m.in. w ruch hospicyjny. Ma męża i troje dorosłych dzieci. Mieszka w Krakowie.

Gdy do Wiary i Tęczy przychodzi ktoś bardzo potrzebujący rozmowy z księdzem, mam czasem ochotę pójść na skróty. Zapytać: „Po co ci ksiądz? Wystarczy, że posłuchasz swojego sumienia”.

Moja tożsamość płciowa nigdy nie wpływała na moją wiarę. Gdybym kilka lat temu zdecydował się na tranzycję, nie pytałbym o zgodę księży czy Kościoła.

Nie chcę dokonywać apostazji. Nie chcę też przechodzić do innego Kościoła, choć bywam na nabożeństwach u luteran czy w przyjaznym nam Reformowanym Kościele Katolickim. Obecnie postawa religijnego wolnego strzelca bardzo mi odpowiada.

Od kiedy wiedziałeś, że jesteś chłopcem?

– Zawsze. Już w przedszkolu identyfikowałem się z męskimi postaciami z bajek. Widziałem w książce obrazek pastuszka, który uratował koziołka, i mówiłem rodzicom: „To ja”.

Protestowali?

– Próbowali tłumaczyć: „Nie, Basiu, ty jesteś dziewczynką, pasteczką”. A ja na to, że pastuszkiem. W naszym domu wisiała reprodukcja „Olszynki Grochowskiej” Wojciecha Kossaka, oglądałem ten obraz i utożsamiałem się z ułanem jadącym na koniu. Biegałem po domu z tekturowym karabinem, ale jedno nie dawało mi spokoju: dlaczego ułani mają krótkie włosy, a ja długie?

Jak sobie z tym radziłeś?

– Byłem bardzo pewny swego. Tłumaczyłem sobie na przykład: widocznie niektórzy ułani mają krótkie włosy. Kiedy rodzice mówili: „Nosisz spódniczkę, więc jesteś dziewczynką”, myślałem, że coś z nimi jest nie tak. Jak mogą nie rozumieć, że jestem chłopcem? Najwyraźniej mają jakiś problem.

Genialna strategia.

– Rodzice wychowywali mnie w silnym poczuciu własnej wartości, pamiętam, że ojciec był bardzo dumny, że ma w domu „małego ułana”. Ta strategia była więc dla mnie naturalna.

To był religijny dom?

– Tak, ale nieprzesadnie. Na pewno nie dewocyjny czy religijnie opresyjny. Mieliśmy kontakty z wieloma mądrymi księżmi. U mojego dziadka Feliksa Młynarskiego regularnie bywał Karol Wojtyła.

Przyjaźnili się?

– Szczegółów nie znam. Dziadek utrzymywał szerokie kontakty towarzyskie, bo był dosyć znaną osobą. W 1924 r. wraz z premierem Władysławem Grabskim wprowadzał reformę walutową. W czasie wojny, za zgodą rządu emigracyjnego, został prezesem Banku Emisyjnego, który drukował obowiązujące w Generalnej Guberni banknoty, zwane od nazwiska dziadka „młynarkami”. Choć był ekonomistą, pasjonowała go filozofia i właśnie stąd te wizyty kard. Wojtyły.

Słowem krakowska inteligencja katolicka.

– Myślę, że „umiarkowanie katolicka”. Na pewno nie kościółkowa.

Gdy dorosłeś, zdecydowałeś się stworzyć tradycyjną rodzinę. Masz męża, urodziłeś trójkę dzieci.

– Wielu ludzi, patrząc z zewnątrz, uznałoby, że żyję w jakimś kompletnym rozszczepieniu. A ja wiem, że tworzymy bardzo piękną rodzinę.

W której jednak przez lata byłeś w nie do końca swojej roli?

– Zaskoczę cię, ale psychicznie zawsze byłem sobą. Także wtedy, gdy się decydowałem na macierzyństwo, co się wiązało na przykład z karmieniem piersią. Umiałem być bardzo czuły dla dzieci, choć nie wiem, czy była to typowa czułość matki. I czy w ogóle jest coś takiego jak typowa czy wzorcowa czułość. Moja tożsamość była i jest całkowicie spójna, choć, jak mówiłem, ludzie na zewnątrz mogą myśleć, że jest inaczej.

Nie zdecydowałeś się na tranzycję, ani prawną, ani medyczną.

– To była moja świadoma decyzja, którą podjąłem dla dobra rodziny.

Nie żałujesz?

– Absolutnie nie. Kilka lat temu świadomie przeżyłem czas wielkiego pragnienia tranzycji, później długą i głęboką żalobę po tym, że jednak jej nie przejdę. Dziś jestem w pełni pogodzony z sobą i z rzeczywistością. Zresztą z wiekiem moja dysforia płciowa się zmniejsza. Nauczyłem się też chodzić na łagodne kompromisy z życiem, otoczeniem i bliskimi.

Jakie to kompromisy?

– Jeśli ktoś uparcie mówi do mnie w żeńskich formach, przyjmuję to z rezygnacją dużego, łagodnego psa, którego niesforne dziecko ciąga za ucho. Jestem ponad to.

To pomaga żyć?

– Z całą pewnością mi pomaga, choć wiem, że są osoby, dla których taki punkt widzenia może być trudny do przyjęcia. Zawodowo przedstawiam się jako lekarz Kapturkiewicz, współpracownicy w szpitalu wiedzą, że jestem Arturem. Przez wiele lat, szkoląc młodych lekarzy w zakresie pediatrii i chorób zakaźnych, starałem się zawsze znajdować 10 minut, żeby im powiedzieć o mojej transpłciowości. Tłumaczyłem, że jeśli będą mieli takich pacjentów, to mogą się do mnie zgłosić, chętnie wesprę, doradzę. Teraz już tego nie robię, zresztą mam wrażenie, że większość osób w szpitalu doskonale wie, kim jestem. W rozmowach z personelem używam męskich końcówek. Przy pacjentach unikam form rodzajowych, żeby nie wprowadzać zamieszania. Jestem zmęczony niezliczoną liczbą coming outów, których każdego dnia trzeba dokonywać.

W przeciwieństwie do wielu osób transpłciowych nie ukrywasz imienia metrykalnego. Często się przedstawiasz jako Artur Barbara. Jak się z tym czujesz?

– To również mój świadomy wybór. Nie chcę ukrywać swoich danych osobowych, zależy mi, żeby nikt nie pomyślał, że się z czymkolwiek ukrywam, a w dowodzie mam przecież imię żeńskie. Owszem, były takie lata, w których oddałbym wszystko, żeby to imię zniknęło. Dziś również i to pragnienie złagodniało, nie mam też potrzeby wymazywania swego życia sprzed coming outu.

W ostatnich latach społeczna świadomość transpłciowości bardzo się zwiększyła, w debacie publicznej pojawiły się osoby niebinarne. Nie ma już presji, by wszystkie osoby niecisplciowe żyły według jednego schematu. Wiele osób nie decyduje się na przykład na pełną tranzycję i nie jest to powód do kwestionowania ich transpłciowości. Taka atmosfera pomaga?

– Rzeczywiście, fakt, że „transpłciowość niejedno ma imię”, jest dziś znacznie bardziej artykułowany społecznie niż kiedyś. Dzięki temu łatwiej iść przez życie własną drogą. Mnie to bardzo odbarcza. Jednak dla mnie, jako lekarza, zawsze było jasne, że niemal wszystkie cechy biologiczne występują w nieskończonym spektrum odmian i wariantów. Dotyczy to także pierwiastka męskiego i żeńskiego.

Zawsze określałeś siebie jako transpłciowy mężczyzna?

– To był proces, który dojrzywał. W 2008 r. obejrzałem film „Tajemnica Brokeback Mountain”³⁵ i zrozumiałem, że jestem mężczyzną, gejem. To było jak oświecenie, nagle wszystko mi się ułożyło, jak puzzle. Ale moje wychodzenie z ukrycia następowało powoli. Stopniowo przycinałem włosy, zmieniałem styl ubierania na bardziej męski.

Kiedy pojawił się pomysł, żeby stworzyć grupę chrześcijan LGBT+?

– Tuż po tym, gdy sobie uświadomiłem, kim jestem. Jako osoba mocno religijna miałem świadomość, jak koszmarna jest presja wywierana przez Kościół na osoby LGBT+. Wyobrażałem sobie ogromną liczbę nieheteronormatywnych wiernych, którzy w milczeniu słuchają okropnych rzeczy, jakie padają na ich temat z ambony. Wiedziałem, jak przez to rozpada się im życie. Pomyślałem, że Bóg mnie stworzył tym, kim jestem, także po to, bym coś dla tych ludzi zrobił.

³⁵ Amerykańsko-kanadyjski dramat filmowy z 2005 r. w reż. Anga Lee. Zasłynął jako pierwsza oscarowa produkcja, która otwarcie podjęła temat związków homoseksualnych i homofobii.

Od czego zacząłeś?

– Od poszukiwań, czy gdzieś w Polsce istnieje już jakaś grupa wspierająca chrześcijan LGBT+. Znalazłem stronę internetową ekumenicznej grupy chrześcijańskiej gejów i lesbijek Berith, bardzo mi zależało, żeby dotrzeć do jej twórców. Okazało się jednak, że grupa nie działa od pięciu lat, a podany na stronie mail nie jest aktywny. W końcu udało mi się dotrzeć do osoby, która działała w tamtej grupie, umówiliśmy się, że zapyta dawnych uczestników, czy nie chcieliby jej reaktywować. Przez kilka miesięcy nie było jednak odzewu, dowiedziałem się, że Kacper Kalin³⁶, współtwórca grupy, wyjechał za granicę. Pomyślałem, że trudno, trzeba tworzyć organizację od zera.

Wiedziałeś, jak to zrobić?

– Kompletnie nie. Na szczęście znalazłem informacje o zagranicznych organizacjach działających na rzecz homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych chrześcijan i to była inspiracja. W maju 2010 r. poszedłem na Marsz Równości w Krakowie, a w 2010 r. pojechałem na EuroPride w Warszawie.

Nie bałeś się uczestnictwa w paradzie? Wielu katolików, słysząc hasło „Marsz Równości”, ma w głowie stereotypowy obraz „golasów na platformach”.

– Przyznam, że też miałem takie obawy. Doskonale znałem wypowiedzi wielu wierzących, którzy przekonywali, że Marsze Równości bardziej szkodzą, niż pomagają sprawie. Jednak bardzo poruszyły mnie obrazki z parady w Londynie, zwłaszcza zaś zdjęcia pokazujące osoby wierzące, które niosły transparent z napisem „Some Christians are gay. Get over it”³⁷. Zresztą udział w krakowskim marszu całkowicie rozwił moje obawy. Przekonałem się, że takie manifestacje są bardzo potrzebne. Pamiętam, że niosłem transparent „Miłość i wierność zawsze te same”.

Do Warszawy na EuroPride w lipcu 2010 r. też pojechałeś z transparentem.

– W Krakowie ktoś niósł tablicę przedstawiającą drapieżną, zębatą rybę z podpisem „Polak katolik”. Trochę w odpowiedzi na to hasło, a trochę w nawiązaniu do hasła z Londynu, własnoręcznie zrobiłem transparent z napisem „Polak katolik też bywa...” – i obok tęczy, uśmiechnięta ryba. Na placu Bankowym, gdzie gromadził się tłum,

³⁶ Wywiad z nim znajduje się w niniejszej książce.

³⁷ Niektórzy chrześcijanie są homoseksualni. Pogódź się z tym.

rozpoznałam stojących z transparentem Brandona Faya oraz Thomasa Moultona.

Brendan Fay to amerykański Irlandczyk, znany aktywista ruchu LGBT+, katolik. W Polsce stało się o nim głośno, bo w 2008 r. zdjęcia z jego ślubu z wieloletnim partnerem Thomasem Moultonem wykorzystał w swoim orędziu prezydenckim Lech Kaczyński.

– Oczywiście strasząc Polaków rzekomo groźną wizją ślubów jednopłciowych.

Po tym incydencie Fay przyjechał do Polski z propozycją spotkania z Lechem Kaczyńskim. Napisał zresztą do niego list: „Sądzimy, że w toku dialogu może Pan lepiej zrozumieć, że pary gejowskie i lesbijskie to są rodziny. (...) Pana decyzja wykorzystania naszych zdjęć ze ślubu w sposób sugerujący, że stwarzamy zagrożenie dla moralnego ładu społeczeństwa obywatelskiego, jest odbiciem podstawowego niezrozumienia problemu i lekceważenia godności gejów i lesbijek. Jesteśmy rozczarowani i zmartwieni, że obrazy z tak radosnego i świętego dnia zostały użyte do szerzenia nietolerancji”. Oczywiście nie dostał odpowiedzi.

– Latem 2010 r. przyjechał do Polski drugi raz, już po katastrofie smoleńskiej. Brendan chciał m.in. złożyć kwiaty na grobie pary prezydenckiej na Wawelu. Dla mnie ważniejsze jednak było to, że od lat działa w organizacji DignityUSA, nowojorskim katolickim duszpasterstwie osób LGBT+. Miałem więc okazję zadać mu kilka pytań na ten temat. Podczas warszawskiej parady rozmawiałem też z Czeszką i Słowaczką, które opowiadały, że w ich krajach istnieją grupy wierzących osób LGBT+. Podszedł też do mnie ewangelik, który mówił o potrzebie wskrzeszenia wspomnianej grupy Berith. Już wiedziałem, co mam robić po powrocie do Krakowa.

Od pół roku prowadziłeś wtedy blog Doktor Mouse.

– Nazwa była nieco żartobliwą parafrazą tytułu popularnego wówczas serialu „Dr House”.

Pierwszy wpis pojawił się 20 stycznia 2010 r. „Hurra, nareszcie mam swojego bloga!!! (...) Informuję, że będzie tu wiele myśli na temat Boga, wiary i Kościoła (jestem osobą wierzącą) oraz wiele myśli na temat osób LGTB – chcę walczyć o ich prawa zarówno w społeczeństwie, jak i w Kościele katolickim (KK), a przede wszystkim o zrozumienie ich natury, która jest według mnie – zupełnie normalna. Chcę nawiązać kontakt z osobami zainteresowanymi tematem. (...) Zachęcam do wspólnego dzieła!”.

– Oficjalnie blog pisałem jako kobieta, lekarz, sojusznik osób LGBT+. To nie był jeszcze czas publicznego coming outu. Po tym wpisie napisała do mnie Agnieszka Wiciak z Poznania.

W internecie nic nie ginie. Pod twoim wpisem 1 czerwca 2010 r. widnieje komentarz: „Witam Dr Mouse. Odpisuję na Twoją wiadomość związaną z organizowaniem grup wsparcia dla osób (tęczowych – MD) zaangażowanych w wiarę. Bardzo chętnie przyłączyłabym się do takiej grupy w Poznaniu lub ją założyła, jeżeli takowej nie ma. Proszę o kontakt. Agnieszka”.

– Dzięki mejlowi od Agnieszki niecałe pół roku później powstała Wiara i Tęcza. Ale po drodze było jeszcze publiczne spotkanie w jednej z krakowskich kawiarni poświęcone chrześcijanom LGBT+. To była wiosna 2010 r., jednym z gości był dr Jerzy Krzyszpień z Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłumacz literatury LGBT+. Poszedłem na to spotkanie niezwykle podekscytowany. Gdy powiedziałem, że zamierzam zmienić Kościół od środka, dostałem duże brawa. Podeszły do mnie osoby, które mówiły, że byłyby bardzo zainteresowane spotkaniami tęczowej grupy chrześcijańskiej.

Miałeś dylemat, czy taka aktywność nie będzie działaniem na szkodę Kościoła?

– Sumienie mówiło mi jednoznacznie, że to, co chcę robić, jest dobre. Mój dylemat dotyczył czegoś innego – czy mówiąc publicznie o tym, że nie zgadzam się z nauczaniem Kościoła, mogę chodzić do spowiedzi i komunii. W sierpniu poszedłem na rozmowę do znanego z otwartości księdza z Krakowa, która okazała się dla mnie bardzo ważna.

Opowiesz o tej rozmowie?

– Powiedziałem mu o swoim udziale w Marszu Równości, a także o swoich poglądach na wierne związki jednopłciowe i osób transpłciowych. Powiedziałem, że powinny one znaleźć akceptację i wsparcie Kościoła i że chcę działać na rzecz zmiany w tej dziedzinie. Zazaczyłem też, że swojej aktywności nie uważam za grzech, w związku z czym nie mogę i nie chcę się z niej spowiadać. Zapytałem, czy takie podejście jest przeszkodą do mojego uczestnictwa w sakramentach. Po namyśle ksiądz odpowiedział, że teologia musi być otwarta na odkrycia medycyny, biologii czy psychologii, a tematy, o których rozmawiamy, nie są dogmatami. Dlatego, jeśli tak mi nakazuje sumienie, mam prawo robić to, co robię. Ta rozmowa bardzo mnie umocniła. Dostałem wtedy ważną wskazówkę, którą zapamiętałem na lata.

Jaką?

– Poradził, bym nigdy nie odnosił się z pogardą do tych, którzy myślą inaczej niż ja. Przypominam sobie tę rozmowę wtedy, gdy mam pokusę, by potraktować swego adwersarza z buta. Ale ta rozmowa jest dla mnie ważna jeszcze z innego powodu. Przez lata moja postawa mocno ewoluowała, dziś wiem, jak wielką rolę w Kościele mogą odgrywać świeccy, i że w wielu sprawach można się obejść bez autorytetu duchownych. Gdy do Wiary i Tęczy przychodzi ktoś bardzo potrzebujący rozmowy z duchownym, mam czasem ochotę pójść na skróty. Zapytać: „Po co ci ksiądz? Wystarczy, że posłuchasz swojego sumienia”. Wtedy jednak przypominam sobie tamtą swoją dawną rozmowę z księdzem i to, jak bardzo jej potrzebowałem.

Formalny początek Wiary i Tęczy to listopad 2010 r.

– A dokładnie 7 listopada. Tego dnia ruszyła nasza strona internetowa, a na portalu Tezeusz ukazał się mój tekst pt. „Od edukacji do akceptacji”, który wysłałem do redakcji w ramach debaty „Polska tolerancja”. Artykuł sąsiedował z publikacjami Artura Sporniaaka z „Tygodnika Powszechnego” czy Roberta Biedronia z Kampanii Przeciw Homofobii, więc potraktowałem to jako ogromną nobilitację.

Pozwól, że zacytuję większy fragment tego tekstu.

– „Osoby homoseksualne są w Kościele dyskryminowane. Oferowanie im dla ich «dobra» życia w samotności lub nakłanianie do «leczenia» jest głęboko nieetyczne. Niektóre wypowiedzi hierarchów Kościoła są niedopuszczalne. (...) Na gruncie chrześcijańskim, a także katolickim, istnieje nie tylko możliwość, ale pilna konieczność akceptacji osób homoseksualnych oraz tworzonych przez nie monogamicznych związków. Należy wypracować formę błogosławieństwa takich par w Kościele. W niektórych Kościołach chrześcijańskich proces ten już się dokonał. Jest to dowód podążania drogą miłości człowieka, która jest ważniejsza niż przywiązanie do pewnych elementów tradycji i związanych z nią przepisów.

– Rozważając możliwość powyższych zmian w Kościele, należy na nowo przyrzeć się kilku powszechnie używanym pojęciom, jak np. «zachowania zgodne z naturą». Warto zauważyć, że dla osób homoseksualnych życie w związku z osobą tej samej płci jest właśnie takim zachowaniem.

– (...) Szczególne cierpienia sprawia postawa Kościoła, nakazująca ludziom homoseksualnym żyć samotnie lub poddawać się «leczeniu» w celu zmiany orientacji. Takie leczenie odbywa się w ośrodkach

prowadzonych przez Kościół, a działających wbrew obecnej wiedzy naukowej. Jest to zjawisko przekraczania swoich kompetencji z powodu myślenia silnie życzeniowego i chęci obrony za wszelką cenę pewnych elementów tradycji. Cena jest wysoka. Część osób na skutek owej «terapii» cierpi na ciężkie formy depresji, zdarzają się samobójstwa.

– Nadeszły czasy, w których pojawiają się katolicy prezentujący poglądy zbliżone do powyższych. Jest to zgodne z ich sumieniem i odnalezione aktualnie jako prawda, która wymaga przez całe życie poszukiwań i modlitwy. Nie jesteśmy katolikami gorszej kategorii. Tak samo wierzymy w zbawczą misję Jezusa i Jego żywą obecność w Kościele, w szczególności w Najświętszym Sakramencie. Jednocześnie wiemy, że przepisy kościelne – także dotyczące etyki seksualnej – podlegają zmianom. Przykładowo zlikwidowano nakaz «oczyszczenia» kobiety po porodzie, zakaz seksu małżeńskiego na dobę przed przyjęciem komunii świętej oraz w piątki i w Wielkim Poście. Wiemy, że temat antykoncepcji nieporonnej w małżeństwie był i jest w Kościele poważnie rozpatrywany. Tematy te nie są dogmatami i zmiany następują zależnie od rozwoju nauk biologicznych i społecznych, choć zwykle z dużym opóźnieniem.

– (...) Jako autorka powyższego tekstu odczuwam obowiązek moralny głoszenia zawartych w nim poglądów i gromadzenia ludzi myślących podobnie. Uważam, że powinniśmy wspólnie apelować do hierarchów Kościoła katolickiego o jak najszybszą zmianę zdania na temat osób homoseksualnych, transpłciowych i zawieranych przez nie związków”.

– Kiedy czytam dziś ten tekst, to w zasadzie mógłbym się pod nim podpisać. Z jednym wyjątkiem: byłem zbyt ostrożny w kwestii adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe.

Zacytujmy: „Część par jedнопłciowych chciałaby adopcji dzieci – w Polsce, jak wynika z ankiet, jest ich niewiele. Temat ten, budzący największe kontrowersje, należy odroczyć do czasu zmiany świadomości społecznej, a wtedy poddać rzeczowej dyskusji. W obecnej sytuacji braku akceptacji zjawiska homoseksualności dziecko adoptowane przez taką parę byłoby niewątpliwie narażone na poważne szykany ze strony otoczenia”.

– I z tym się w oczywisty sposób dziś nie zgadzam. Ta moja ostrożność była jednak efektem rozmów z bliskimi, którzy przekonali mnie, że zbyt radykalizm może przestraszyć ludzi Kościoła.

A kto wymyślił nazwę Wiara i Tęcza?

– Ja, ale konsultowałem ją z kilkoma osobami. Uznaliśmy, że atutem nazwy będzie jej prosty i klarowny przekaz. W tym samym czasie opublikowaliśmy też deklarację programową, w której napisaliśmy: „Część

chrześcijan przyjmuje postawę: nie zgadzam się z częścią nauczania magisterium, ale milczę i zostaję. Nasza postawa jest inna: nie zgadzam się, więc mówię o tym, przekonuję do zmiany i zostaję". To była nasza dewiza. Wszystkie te działania uzgadniałem z Agnieszką Wiciak, która jest współzałożycielką Wiary i Tęczy. Dodam, że we wszystkich działaniach od początku bardzo mnie też wspierał mąż.

Agnieszce warto poświęcić trochę miejsca, bo choć nie ma jej już dziś w Wiarze i Tęczy, jej zasługi dla organizacji są bardzo duże. Ja na przykład zetknąłem się z nią nawet wcześniej niż z tobą. 12 października 2010 r. na twoim blogu ukazał się wpis, w którym piszesz, że rusza grupa wsparcia dla chrześcijan LGBTQ, ich rodzin i przyjaciół. „Odcinamy się zdecydowanie od grup typu Odwaga, mających na celu nakłanianie do zmiany orientacji seksualnej lub życia w seksualnej abstynencji. Uważamy takie postępowanie za nieetyczne i niezgodne z aktualnym stanem wiedzy naukowej. Jesteśmy przekonani, że oparte na miłości związki jedнопłciowe lub związki osób transpłciowych są źródłem dobra, tak więc powinny zostać zaakceptowane w społeczeństwie i w Kościele. Mieszkamy w różnych rejonach kraju. Większość z nas jest wyznania rzymskokatolickiego, ale jesteśmy grupą szeroko otwartą ekumenicznie.”

– Z tymi różnymi rejonami kraju to była trochę przesada. (śmiech) W listopadzie 2010 r. udało nam się zorganizować dwa spotkania: w Krakowie i Poznaniu. To pierwsze odbyło się z mojej inicjatywy. Spotykaliśmy się w krakowskiej kawiarni Młynek na Kazimierzu, znakiem rozpoznawczym był pluszowy piesek w kolorze tęczy, który kładłem na stoliku.

Ja z kolei trafiłem na pierwsze poznańskie spotkanie WiT-u, które zorganizowała Agnieszka Wiciak. Dowiedziałem się o nim z internetu, pojechałem na nie specjalnie z Warszawy, pamiętam, że odbywało się w jednej z kawiarni niedaleko rynku. Znakiem rozpoznawczym była jakaś książka o homoseksualnych chrześcijanach, którą Agnieszka położyła na stoliku. Świetnie nam się rozmawiało, ale oprócz mnie i Agnieszki przyszła tylko jedna osoba. Trochę mnie to zniechęciło. Tym bardziej że w Warszawie ciągle nic nie powstawało. Do Wiary i Tęczy wróciłem dopiero rok później.

– Na spotkania w Krakowie przez pierwszy rok też przychodziło po kilka osób.

Na spotkaniu w Poznaniu Agnieszka pierwszy raz opowiedziała mi o tobie. Pamiętam, że przedstawiła cię jako lekarkę, która jest sojuszniczką osób LGBT+.

– Bo wtedy publicznie tak się właśnie przedstawiałem. Dopiero w następnych miesiącach zacząłem stopniowo ujawniać, że sam jestem tęczową osobą. Publiczny coming out zrobiłem pod koniec 2013 r., udzielając wywiadu magazynowi „Replika”. To było ogromnie wyzwajające.

Wróćmy jednak do początków. W maju 2011 r., a więc zaledwie pół roku po powstaniu, Wiara i Tęcza uczestniczyła w konferencji Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT (EuroForum) w Berlinie.

– Pojechaliśmy tam z olbrzymią ciekawością, Agnieszka Wiciak, w ramach przełamywania lodów, zabrała ze sobą swoją kielbasę i kiszzone ogórki. Na miejscu okazało się, że żadnych lodów przełamywać nie trzeba. Susan Murphy, która była we władzach EuroForum, na powitanie serdecznie mnie objęła i uściskała, krzyząc: „Polsko, czekaliśmy na ciebie tyle lat!”.

A czym to spotkanie było dla ciebie?

– Ogromnym przeżyciem. Panująca tam atmosfera swobody i przyjaźni przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Najbardziej wzruszały mnie ujawnione pary starszych ludzi, którzy przytulali się do siebie podczas nabożeństw. No i duża liczba osób transpłciowych. To było dla mnie w pewien sposób terapeutyczne. Gdy w Berlinie zapisywałem WiT do EuroForum, występowałem jeszcze jako Barbara. Rok później na konferencję w Amsterdamie przyjechałem już jako Artur. W Berlinie miałem jednak jeden duży stres – wraz z Agnieszką przywoziłem napisany przeze mnie list protestacyjny do Benedykta XVI. Chcieliśmy zaproponować go jako stanowisko całego EuroForum.

Czego dotyczył ten list?

– W grudniu 2008 r. w przemówieniu do Kurii Rzymskiej Benedykt XVI powiedział, że ludzkość trzeba chronić przed ideologią gender i homoseksualnością, tak jak lasy tropikalne przed katastrofą ekologiczną³⁸. Słowa te bardzo mnie zbulwersowały i zależało mi, żeby wysłać

³⁸ Benedykt XVI powiedział wtedy: „To, co często wyraża się i rozumie pod pojęciem gender, oznacza ostatecznie dążenie człowieka do niezależnienia się od stworzenia i Stwórcy. Człowiek chce sam siebie tworzyć oraz zawsze i wyłącznie sam dysponować tym, co go dotyczy. Ale w ten sposób żyje wbrew prawdzie, wbrew Duchowi Stworzycielowi. Owszem, lasy tropikalne zasługują na ochronę z naszej strony, ale w nie mniejszym stopniu zasługuje na nią człowiek jako stworzenie, w które wpisane jest przesłanie, nie będące zaprzeczeniem naszej wolności, lecz będące jej warunkiem. Wielcy teologowie scholastyki określili małżeństwo, czyli związek mężczyzny i kobiety na całe życie, jako sakrament stworzenia, ustanowiony przez samego Stwórcę, a który Chrystus – nie zmieniając przesłania stworzenia – podjął w dziejach zbawienia jako

papieżowi zdecydowaną odpowiedź. Mój angielski nie jest zbyt dobry, mimo to zdecydowałem się wystąpić przed stu kilkudziesięcioma osobami z całej Europy i przedstawić swoją propozycję. Wzbudziło to duże poruszenie, zebrał się w tej sprawie zarząd EuroForum, długo się zastanawiano, czy jest sens zajmować w tej sprawie stanowisko. Jednak na czerwiec 2011 r. EuroForum planowało duże wydarzenie w Rzymie towarzyszące tamtejszej Paradzie Równości. Uznano, że to będzie dobra okazja, by wysłać do papieża taki list.

Udało się?

– Owszem. Ostatecznie, po korektach redakcyjnych, nasz tekst został przyjęty jako stanowisko całego EuroForum. To był wielki sukces Wiary i Tęczy! Podjęliśmy decyzję, że nasz list zostanie nadany w czerwcu 2011 r. na pocztę w Watykanie. Do skrzynki wrzucał go osobiście legendarny John McNeill³⁹. Byłem przeszczęśliwy! Po powrocie do Polski kopię listu zaniósłem do krakowskiej kurii, która wtedy jeszcze nie była obłożoną twierdzą i można się było do niej dostać. Gdy powiedziałem, z jakiej grupy jestem, wszyscy zbledli, zapanowała grobowa cisza, ale grzecznie przyjęto dokument i nawet specjalną pieczętką poświadczono jego odbiór.

O inicjatywie Wiary i Tęczy napisał wtedy m.in. „Tygodnik Powszechny”.

– Po powrocie z EuroForum zadzwoniłem do redaktora „Tygodnika” Artura Sporniaka. Był nieufny. „Zależy wam na zmianie Kościoła czy na prowokacji?”, spytał. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że i na jednym, i na drugim. I że to się wcale nie wyklucza.

Tekst Artura Sporniaka pt. „Wiara w kolorach tęczy” zaczynał się od słów: „Ich determinacja przypomina walkę Jakuba z Aniołem o błogosławieństwo. Grupa polskich chrześcijan homoseksualistów wystosowała petycję do Papieża z prośbą o duchowe wsparcie. Inicjatywę poparły 44 europejskie organizacje chrześcijan LGBT”.

– Publikacja była utrzymana w przyjaznym dla nas tonie. Pamiętasz, jak cieszyliśmy się wtedy z każdej wzmianki na nasz temat?

sakrament Nowego Przymierza” (Przemówienie do Kurii Rzymskiej, 22 grudnia 2008 r.).

³⁹ John J. McNeill (1924–2015) – amerykański teolog, profesor etyki, jeden z pionierów teologii queer, ksiądz katolicki, który za swoją działalność na rzecz osób LGBT+ został w 1987 r. wydalony z zakonu jezuitów. Przez lata działał w nowojorskim duszpasterstwie osób LGBT+ DignityUSA. W 1976 r. opublikował książkę „The Church and the Homosexual”, która była pierwszą tak obszerną pracą na temat potrzeby zmiany teologii katolickiej na temat homoseksualności. W 2011 r. powstał o nim film dokumentalny „Taking a Chance on God” w reż. Brendana Faya.

Pamiętam. Wycinałem wtedy z gazet nawet najkrótsze teksty na temat Wiary i Tęczy.

– Po każdym takim artykule pojawiali się u nas nowi uczestnicy i uczestniczki. Doceniłem wtedy siłę mediów. Tak też było po reportażu „Gej twoim bratem w Kościele”, który w lutym 2011 r. opublikowała Joanna Kopińska w „Gazecie Wyborczej”.

Później bardzo znana reportażystka, laureatka wielu nagród.

– W reportażu występuję pod zmienionym imieniem Teresa, co było znakiem czasów.

„Teresa ma 50 lat, męża i dzieci. Jest lekarzem o dwóch specjalizacjach, rozpoczęła kurs psychoterapii. Chce także pomagać gejom, lesbijkom i osobom transseksualnym, którym trudno pogodzić swoją seksualność z wiarą katolicką. – Piszą do mnie młodzi ludzie, którzy zaczynają maile od słów: «Boję się. Pójdę do piekła». Próbuję tłumaczyć, że nie muszą żyć w strachu. Wiem, że to Kościół powinien zmienić zdanie w tej sprawie”.

– Dziennikarka spytała mnie, czy mamy wsparcie księży.

Odpowiedziałeś: „Na obecnym etapie oczekujemy życzliwości i wsparcia modlitewnego. Na razie nie liczę na wsparcie oficjalne. Księża są związani ślubem posłuszeństwa”.

– To była mocno dyplomatyczna odpowiedź, bo tak naprawdę żaden ksiądz rzymskokatolicki nas wtedy nie wspierał. I właśnie po tym artykule stał się cud. Skontaktował się ze mną dominikanin o. Andrzej Kuśmierski i powiedział, że tekst w „Wyborczej” bardzo go poruszył i ucieszył. Przyznał, że bardzo go boli problem braku opieki duszpasterskiej nad osobami LGBT+ w Polsce i od wielu lat czekał na taką inicjatywę jak nasza. „A my czekaliśmy na księdza”, odpowiedziałem.

Uczestnikom i uczestniczkom Wiary i Tęczy brakowało kontaktów z duchownymi?

– Jeszcze jak! „Głód rzymskokatolickiego księdza” był wtedy ogromny, więc ofertę współpracy złożoną przez o. Andrzeja Kuśmierskiego przyjęliśmy z entuzjazmem. Jeszcze w wakacje o. Andrzej zaprosił nas na rekolekcje do Rzeszowa. Był tam przeorem, więc działał zupełnie oficjalnie. Bardzo nas to cieszyło, bo życie w konspiracji bywa bardzo męczące.

Pamiętasz te rekolekcje?

– Bardzo dobrze. Przyjechało na nie zaledwie osiem osób, ale czuliśmy

się na nich wspaniale. Rekolekcje były poświęcone autonomii sumienia, która później stała się dla naszej grupy kluczowym zagadnieniem. Muszę jednak powiedzieć, że nie był to pierwszy duchowny, z którym współpracowaliśmy. Agnieszka Wiciak miała w Poznaniu kontakt z ks. Tomaszem Puchalskim z niewielkiego Reformowanego Kościoła Katolickiego. Dziś jest on już biskupem tego Kościoła, który przed kilku laty udało się zresztą oficjalnie zarejestrować. Dla mnie kontakt z ks. Puchalskim był ważną lekcją ekumenizmu. Nawiasem mówiąc, to on jako pierwszy zaprosił Wiarę i Tęczę na rekolekcje, które zorganizował w Puszczy Noteckiej. Pamiętam, jak próbowałem ugotować makaron dla wszystkich 15 uczestników. Wysła mi jedna wielka klucha, którą musiałem zakopać w lesie.

Dziś Wiara i Tęcza współpracuje z większą liczbą duchownych, w tym kilkoma księżmi rzymskokatolickimi.

– Gdy zaczynało być o nas głośno, zgłaszali się do nas kolejni duchowni. Początkowo zresztą każdy z nich wydawał się objawieniem. Ich obecność była szczególnie ważna dla młodych ludzi, wielu z nich po rozmowie z księdzem odzyskiwało psychiczną równowagę. Pamiętam swoją rozmowę z pewnym studentem, bardzo bystrym i czytającym, z którym długo omawiałem zagadnienia związane z wiarą i orientacją seksualną. Na zakończenie spotkania powiedział: „Ja się z tym wszystkim w pełni zgadzam, ale potrzebuję, żeby to samo powiedział mi ksiądz”. Dziś młodzi ludzie raczej już nie stawiają w ten sposób sprawy.

Księża przestali być aż tak ważni?

– Z całą pewnością nasz stosunek do duchownych dojrzał. Stopniowo wzmacnialiśmy siebie i coraz bardziej docenialiśmy rolę świeckich. To się bardzo przydało, gdy kilka lat temu Kościół rzymskokatolicki rozpoczął zmasowaną nagonkę na osoby LGBT+. W pewnym sensie to oznaczało także nowy etap dla Wiary i Tęczy. Przestaliśmy wtedy pukać do drzwi biskupów, skupiliśmy się na wzmacnianiu własnej podmiotowości. Równocześnie zaczął gwałtownie spadać autorytet Kościoła w społeczeństwie. Wiesz, po czym to poznaję? Po tym, że młodzi, którzy do nas przychodzą, już nie mówią: „Ratujcie mnie, bo się boję, że pójdę do piekła”. Raczej szukają przyjaznej wspólnoty, której nie znajdują w oficjalnych strukturach Kościoła.

Może przestali się przejmować kościelną retoryką spod znaku „tęczowej zarazy”?

– Obawiam się, że na wiele osób ta retoryka jednak działa, a wręcz

sieje spustoszenie. Przecież w polskim Kościele jest coraz więcej tendencji fundamentalistycznych, nie wierzę, że to pozostaje bez wpływu na życie wielu katolickich rodzin. Myślę, że wiele młodych osób LGBT+ czuje się uwięzionych w panujących w nich homofobii i transfobii. Pociąsam się jedynie tym, że dziś w przestrzeni publicznej jest dużo pozytywnego przekazu na temat homoseksualności, biseksualności czy transpłciowości, a w internecie można znaleźć mnóstwo fachowych materiałów, choćby na temat godzenia wiary i nieheteronormatywności. Gdy zaczynaliśmy, pod tym względem było dużo gorzej.

Przez kilkanaście lat działalności w Wierze i Tęczy mocno zmieniła się też twoja osobista relacja z Kościołem.

– Przez całe dorosłe życie regularnie chodziłem na niedzielne msze; jeśli zdarzało mi się ją opuścić, to jedynie z bardzo ważnego powodu. Kilka lat temu, gdy ataki ze strony Kościoła na społeczność LGBT+ stały się już nie do zniesienia, podjąłem trudną decyzję, że przestaję chodzić do kościoła. Moje sumienie nie pozwala mi, by brać jakiegokolwiek udział w życiu tej instytucji.

To był nagły impuls?

– Raczej proces, który trwał od kilku lat. Zaczęło się od rozmowy z wikarym z mojej parafii. Powiedział, że sumienie nie pozwala mu udzielać mi komunii, gdyż jestem aktywistą LGBT+. Oczywiście moje sumienie mówiło mi co innego. Jednak, pamiętając liczne nauki o autonomii sumienia, pomyślałem, że wypada mi też uszanować wolę myślącego inaczej.

No właśnie, jak w takiej sytuacji pogodzić sumienie swoje i księdza?

– Pierwsza myśl była taka, żeby po prostu przyjmować komunię u innych księży. Miałem i mam pewność, że jeśli sumienie pozwala mi na przystępowanie do eucharystii, to mogę to robić. Jednak postanowiłem omówić tę sprawę z pewnym dość znanym księdzem, który wielokrotnie publicznie wspierał osoby LGBT+. Ku mojemu zaskoczeniu w zasadzie potwierdził stanowisko wikarego. Stwierdził, że skoro publicznie mówię, że nie zgadzam się z nauczaniem Kościoła, to nie powinienem przystępować do komunii w swojej parafii. I że ewentualnie mogę to robić w miejscu, gdzie mnie nikt nie zna.

Zabolało?

– Nie. Zresztą ten ksiądz jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, który pomógł wielu osobom LGBT+. Nawet mój mąż powiedział, że jego stanowisko jest bardzo logiczne.

A ty co sobie powiedziałeś?

– Że to chrzanię. I że to poziom hipokryzji, na który moje sumienie już się nie godzi. Po prostu nie interesuje mnie tkwienie w tak przemocowym układzie.

Myślałeś o apostazji?

– Nie chcę jej dokonywać. Nie chcę też przechodzić do innego Kościoła, choć bywam na nabożeństwach u luteran czy w przyjaznym nam Reformowanym Kościele Katolickim. Czuję się tam jak mile przyjmowany gość. Obecnie postawa religijnego wolnego strzelca bardzo mi odpowiada.

A twoja wiara?

– Moja obecna postawa duchowa bliska jest agnostycyzmowi. Jednak gdy się zastanawiam, jaki jest sens życia, odpowiedź ciągle odnajduję w chrześcijaństwie. Niezależnie od tego, czy Jezus był Bogiem, czy nie, pięknie nam wskazał cel naszej egzystencji, mówiąc „Oto ciało moje”, „Oto moja krew” i „To czyńcie na moją pamiątkę”.

Jak to rozumiesz?

– Na swój sposób, pewnie trochę heretycki. Otóż w moim przekonaniu Chrystus każe nam budować łańcuch dobra, który ma zmieniać świat na lepsze. Dzielenie się swoim ciałem rozumiem jako pracę i służbę dla innych. A krew to zgoda na poświęcenie, które czasem prowadzi do cierpienia, a nawet męczeństwa. Łagodną formą takiego męczeństwa jest narażanie się na kpiny czy hejt, co często jest ceną, jaką płacimy za życie zgodnie z sumieniem. Dla mnie to jest istota chrześcijaństwa. Liczę się z tym, że gdy umrę, będzie już tylko cisza i pustka. Ale czuję, że gotowość do dzielenia się swoim ciałem i krwią nadaje sens mojemu życiu.

Gdyby się jednak okazało, że po śmierci coś jednak jest i kiedyś staniesz przed Świętym Piotrem, to co mu powiesz? Wygarniesz, że Kościół, który współtworzył, mocno mu się nie udał?

– Zupełnie nie mam w sobie takich emocji. Owszem, na pewnym etapie życia transpłciowość była dla mnie dużą trudnością w relacjach rodzinnych. Musiałem jakoś pogodzić własne potrzeby z troską o najbliższych i myślę, że całkiem nieźle mi się to udało. Natomiast moja tożsamość płciowa nigdy nie wpływała na moją wiarę. Gdybym kilka lat temu zdecydował się na tranzycję, nie pytałbym o zgodę księży czy Kościoła.

– Jak już mówiłem, od najmłodszych lat miałem poczucie, że ze mną jest wszystko w porządku i że to inni mają problem. Kazali mi w dzieciństwie wkładać czerwoną spódnicę? Myślałem sobie, że chyba zgłupieli. No ale trudno, dla świętego spokoju włożę, niech już mają. W pewnym sensie tak jest do dziś, tyle że już wiem, że nie muszę wkładać żadnej spódnicy.

W OAZOWYM MYŚLENIU NIE BYŁO SZUFLADKI Z NAPISEM „LESBIJKA”



Ula Grymuła
studentka

Rocznik 1999, studiuje bioinformatykę i biologię systemów na Uniwersytecie Warszawskim. Była animatorka w Ruchu Światło-Życie, obecnie aktywistka queerowo-anarchistyczna. Skarbniczka Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT.

Ksiądz, którego dobrze znałam, jeden z diecezjalnych szefów Oazy, napisał na Facebooku, że jeśli ktoś nie widzi problemu w tęczowej Maryi, to albo jest inherentnie zły, albo chory psychicznie. To była kropla, która przelała czarę goryczy.

Przed paradą wspólnie się modliliśmy, później razem szliśmy w manifestacji. Wieczorem poszliśmy do klubu LGBTQ+ i oglądaliśmy występy drag queens. Połączenie: modlitwa, parada i klub wydało mi się zaskakująco spójne, prawdziwe, wspólnotowe. I bardzo moje.

Skłot był dla mnie w jakimś sensie ucieleśnieniem chrześcijańskiej wspólnoty. Czułam, że żyjemy w nim trochę jak pierwsi chrześcijanie.

Jesteś najmłodszą osobą, z którą rozmawiam do tej książki, jedyną przedstawicielką pokolenia Zet. Jaki jest wasz stosunek do osób LGBT+?

– Mogę ci opowiedzieć o ludziach, których znam. A więc o perspektywie klasy średniej w dużym mieście. Na przykład o studentach uniwersytetu, na którym studiuje.

Zamieniam się w słuch.

– W naszym środowisku w zasadzie nie istnieje pytanie, które zadałeś. Stosunek do osób LGBT+? Akceptacja dla osób nieheteronormatywnych? O tym już nikt nie dyskutuje. To jest tak oczywiste jak prawa wyborcze dla kobiet. Jeśli o tym rozmawiamy, to w kontekście walki z dyskryminacją albo konieczności wprowadzenia ustawy o związkach partnerskich czy równości małżeńskiej. Dziś młodzi ludzie poznają słowo „gej”, „lesbijka” czy „osoba trans” w wieku przedszkolnym.

Gdy byłem nastolatkiem, chyba w ogóle nie używano takich słów. A geje byli tylko w zachodnich filmach, najczęściej nieszczęśliwi, umierający na AIDS albo prześladowani.

– A dziś niemal w każdej licealnej klasie jest wyoutowana osoba niebinarna, trans, bi, gej albo lesbijka. Na studiach podobnie. Pamiętam, jak jedliśmy obiad w studenckiej stołówce i koleżanka w zupełnie naturalny sposób powiedziała, że była na wczasach z dziewczyną. Nikt się nie zdziwił. Wyjątkiem był chłopak mocno związany z Kościołem, który później próbował robić z tego jakiś problem. Dawał nam do zrozumienia, że dziewczyna z dziewczyną to jednak nienormalne. Szybko się zorientował, że nikt jego poglądów nie podziela i dostosował się do reszty.

A jaki jest stosunek twoich znajomych do Kościoła?

– W większości totalnie obojętny. Co najwyżej jest wkurzenie, że Kościół wpływa na politykę i debatę publiczną, a przez to na życie ludzi, także niewierzących. Biskupi? To jacyś dziwni, starsi panowie, którzy nie wiadomo z jakiego powodu mówią nam, jak mamy żyć.

Według międzynarodowych badań Polacy są najszybciej laicyzującym się społeczeństwem na całym świecie. Dla mojego pokolenia Kościół jest jeszcze ważny, dla twojego – w ogóle. Jak to wytłumaczyć?

– Pytasz, dlaczego nie chodzimy do kościoła? A ja myślę, że pytanie należy odwrócić. Dlaczego mamy chodzić?

Nie wiem. Gdy byłem w liceum, większość moich rówieśników z katolickich domów takiego pytania sobie nie zadawała.

– Jesteś mniej więcej z generacji moich rodziców. Z mojego punktu widzenia wyście nie mieli już w sobie żywej wiary, raczej przekazywaliście nam pusty rytuał. Od czasu do czasu pójść do kościoła, ochrzcić dziecko, wziąć kościelny ślub, zorganizować religijny pochówek dla bliskich. Dla moich znajomych taka religijność nie ma sensu. Zwłaszcza że Kościół opowiada nam rzeczywistość, której my nie znamy ze swojego życia.

To znaczy?

– Jeśli młody człowiek widzi, jak Kościół pluje na LGBT+, a jego kumpel w klasie jest gejem i w dodatku jest fajny, to czego on może w tym Kościele szukać? Po co ma iść na mszę, marnować co tydzień godzinę i słuchać tych bzdur? Obecnie jedna trzecia małżeństw kończy się rozwodem. Oznacza to, że ogromna część dzieci wychowują osoby w powtórnych związkach. A Kościół mówi, że związki ich rodziców są grzeszne, na tyle, że matka i ojciec nie mogą przystępować do komunii. Co mają myśleć nastolatki, kiedy słyszą, że zapłodnienie pozaustrojowe to morderstwo, a ich brat czy siostra pochodzą właśnie z in vitro?

No właśnie, co myślą?

– Ze Kościół to jakaś pomyłka. Obciach.

Czy w swoim gronie rozmawiacie o wierze lub Kościele?

– Kiedyś wśród znajomych na UW powiedziałam: „Słuchajcie, muszę bieć, bo opiekuję się grupą młodzieży przygotowującej się do bierzmowania i mamy spotkanie”. Byli bardzo zdziwieni, trochę zaciekawieni. Zaczęli sobie przypominać, co to jest bierzmowanie, na ogół wiedzieli. Jedna z osób powiedziała: „Miałam to pięć lat temu, wtedy ostatni raz byłam w kościele”. Dla nich to, że się angażuję w życie parafii, było egzotyką. Tak jakbym powiedziała, że idę popływać na kitesurfingu. Wszyscy słyszeli, że istnieje taka dyscyplina sportu, ale większość nie zna nikogo, kto ją uprawia.

Gdy cię poznałem, też się dziwiłem, w ile rzeczy angażujesz się w Kościele. W jakim domu się wychowałaś?

– Klasyczna katolicka rodzina: niedzielna msza, ksiądz po kolędzie, święconka na Wielkanoc. Z drugiej strony – żadnych wspólnot religijnych, nabożeństw różańcowych, pielgrzymek. Rodzice się rozwiedli, gdy miałam trzy lata, wychowywała mnie mama. Ponieważ nigdy się nie związała z żadnym partnerem, mogła przystępować do komunii.

Wspólne modlitwy?

– Gdy byłam bardzo mała, mówiłam z mamą pacierz, ale później już nie. Gdy umarł Jan Paweł II, miałam niecałe sześć lat, mama zarządziła wtedy, że zmówimy razem różaniec. Dziecięcym umysłem zrozumiałam, że ten papież to był chyba jakiś zły człowiek, skoro trzeba za niego odmawiać tak długą modlitwę.

Kiedy się bardziej zaangażowałaś w życie Kościoła?

– W gimnazjum. Nie miałam wtedy zbyt wielu znajomych, a gdzieś usłyszałam hasło, że Jezus jest naszym przyjacielem. Pomyślałam, że to fajny pomysł, żeby się z nim zaprzyjaźnić. Miałam wtedy pewnie jakieś 13 lat.

Jak to zaprzyjaźnianie się wyglądało?

– W mojej parafii pojawiło się akurat ogłoszenie, w którym zapraszano gimnazjalistów do grupy młodzieżowej. Znalazłam tam wspólnotę, lek na nastoletnią samotność. Byłam wtedy grzecznym dzieckiem, które dobrze się uczy, i to kościółkowe towarzystwo w sumie mi odpowiadało. Gdy dostałam zaproszenie na pierwsze wyjazdowe rekolekcje, mama mi mówiła, że z moim słomianym zapalem długo tam nie wytrzymam. Pomyślałam, że zrobię jej na złość i pojadę. Tak więc moje zaangażowanie religijne wyrosło trochę na gruncie młodzieńczego buntu. Niedługo po tym, gdy weszłam do wspólnoty, nasz animator, licealista, miał bardzo poważny wypadek. Nie wiadomo było, czy przeżyje. Bardzo się tym przejmowałam. Uderzyło mnie, że liderzy naszej grupy zachowywali niezwykle spokój. Byli w tym cierpieniu razem, bardzo wierzyli, że Bóg dobrze pokieruje tą tragedią. To było dla mnie praktyczne zetknięcie z żywą wiarą. Ich ogromne zaufanie Bogu robiło duże wrażenie.

Chciałaś wierzyć równie silnie?

– Chyba tak. Od tego czasu wspólnota nie była już dla mnie paczką znajomych z Kościołem w tle, ale miejscem formacji religijnej. Zwierzyłam się z tego naszemu księdzu, a on poradził, żebym poszła do Oazy.

Poszłaś?

– Tak. To był początek liceum. Wiedziałam już wtedy, że nie jestem hetero. Jeszcze w gimnazjum zabujałam się na koloniach w koleżance, później w kumpeli z równoległej klasy.

Czy to się jakoś kłóciło z twoją religijnością?

– Ani trochę. Nie szukałam wtedy kontaktów ze społecznością LGBT+, bo potrzebę przynależności zapewniała mi wspólnota katolicka. Angażowałam się w Oazę i było super. Ważną osobą stała się dla mnie starsza o sześć lat Martyna, która pełniła funkcję odpowiedzialnej (liderka wspólnoty w Ruchu Światło-Życie⁴⁰ – red.). Wzięła mnie pod swoje skrzydła, dużo rozmawialiśmy. Bardzo dobrze wspominam tę relację.

Zrobiłaś wobec niej coming out?

– Po około roku. Na letnim wyjeździe znów zafascynowałam się koleżanką. Myślałam sobie: Bóg mi dał taki charyzmat, że się zakochuję w dziewczynach. Muszę to uczucie przekształcić w przyjaźń. Jednak emocjonalnie czułam się kiepsko. Zadzwoiłam do Martyny, okazało się, że właśnie oświadczył się jej chłopak. Dziwnie się czułam, bo ona superszczęśliwa, niedługo być może weźmie ślub, a ja przeżywam miłość, o której nawet za bardzo nie mogę nikomu powiedzieć. W końcu napisałam Martynie list, w którym ujawniłam, że jestem homoseksualna. Spotkałyśmy się później i po raz pierwszy zobaczyłam na jej twarzy przekaz: „nie chcę cię znać”. Przynajmniej tak to odebrałam.

A co ci powiedziała?

– Chyba coś, że to się leczy, ale dokładnie nie pamiętam. Wiem, że miała z tym moim wyznaniem duży problem. Zupełnie ją przerosło, w jej oazowym myśleniu nie było szufladki z napisem „lesbijka”.

Jak się z tym czułaś?

– To było trudne doświadczenie, ale wkrótce były Światowe Dni Młodzieży w Krakowie i znów wpadłam w religijny wir. Planowałam wtedy, że zostanę członkinią Instytutu Niepokalanej Matki Kościoła. Jest to żeński instytut życia konsekrowanego zrzeszający kobiety, które, pozostając osobami świeckimi, składają śluby czystości i posłuszeństwa oraz żyją duchowością Ruchu Światło-Życie.

Skąd taki pomysł?

– Instytut wydawał mi się idealnym miejscem. Będę mogła być blisko Boga, służyć ludziom, a przy okazji uniknę pytań, dlaczego nie znalazłam sobie faceta. Spędziłam nawet tydzień w głównej „siedzibie” Oazy, na Kopiej Górcie, z paniami z instytutu jako wolontariuszka

⁴⁰ Ruch Światło-Życie – ruch katolicki założony przez ks. Franciszka Blachnickiego, zwany potocznie „Oazą”. Jego historia sięga lat 50. XX wieku. Powstał w komunistycznej Polsce, ale obecnie działa w ponad 30 krajach, m.in. w Brazylii, Niemczech, Ukrainie, USA i Kanadzie.

i całkiem mi się podobało. Tymczasem mniej więcej po trzech miesiącach odezwała się do mnie Martyna. Przeprosiła za swoje zachowanie, jakoś przepracowała w sobie temat mojej homoseksualności. Długo do niego nie wróciliśmy.

Przyjaźń przetrwała?

– Tak. Do tego stopnia, że w pewnym momencie ona i jej mąż, Jan, zaproponowali mi, żebym u nich zamieszkała. Gdy byłam w klasie maturalnej, miałam konflikt z matką i chciałam się wynieść z domu. W końcu się nie wyprowadziłam, ale ta deklaracja, że w razie czego udostępnię pokój i ewentualnie będę przez jakiś czas utrzymywać, zrobiła na mnie wrażenie. To był sprawdzian dla naszej relacji, który wypadł pozytywnie. Okazało się, że osobista relacja pozwala przekraczać stereotypy.

Mąż Martyny też wiedział o tobie?

– Tak i z tego, co wiem, dużo z nią o mojej orientacji rozmawiał. Pomógł jej ją zaakceptować. On zresztą też był w Oazie. To również bardzo pozytywna postać w moim życiu, w pewnym momencie był dla mnie figurą ojca. Mówię o tym po to, żeby pokazać, że relacje ze wspólnoty katolickiej były bardzo głębokie, niemal rodzinne. W końcu sama zostałam animatorką w Ruchu Światło-Życie.

To znaczy, że opiekowałaś się grupą młodszych od siebie oazowiczów?

– Tak. Przydzielono mi dzieci zaczynające naukę w gimnazjum. Byłam już wtedy w oazowej Diakonii Ewangelizacji, współprowadziłam rekolekcje dla szkół. Jak już wspomniałam, oprócz tego w swojej parafii prowadziłam spotkania dla kandydatów do bierzmowania.

Ile miałaś wtedy lat?

– Osiemnaście.

Sporo obowiązków jak na osobę w tym wieku.

– Miałam dużo energii i wielką siłę przebicia, potrafiłam na przykład przekonać proboszcza do tego, że jestem w stanie wziąć odpowiedzialność za młodzież w parafii. Ci ludzie byli ode mnie młodszy o dwa-trzy lata, a mimo to byłam dla nich jakimś autorytetem.

A twoja osobista wiara?

– Była wtedy bardzo żarliwa. Poza formacją w Ruchu Światło-Życie rozwijałam duchowość samodzielnie. Był czas, że codziennie chodziłam

na mszę świętą, czytałam Pismo Święte, praktykowałam Lectio Divina⁴¹ i chrześcijańską medytację. Z tego trochę bezkrytycznego podejścia do wiary wybiła mnie afera z tęczową Maryją.

W 2019 r. w Płocku pojawiły się plakaty z Matką Boską Częstochowską w tęczowej aureoli.

– W moim katolickim świątku wywołały absolutne oburzenie. Tymczasem ja nie widziałam w nich żadnej prowokacji, uważałam, że ten wizerunek Maryi jest bardzo ładny i inkluzywny. Ale na taki pogląd nie było w moim środowisku miejsca. Ksiądz, którego dobrze znałam, jeden z diecezjalnych szefów Oazy, napisał na Facebooku, że jeśli ktoś nie widzi problemu w tęczowej Maryi, to albo jest inherentnie zły, albo chory psychicznie. To była kropla, która przelała czarę goryczy. bo nie poczuwałam się ani do zaburzeń psychicznych, ani do tego, że jestem zła. Postanowiłam wtedy dołączyć do Wiary i Tęczy i od pierwszego spotkania poczułam się tam jak u siebie. Miesiąc później poszłam na pierwszą w moim życiu Paradę Równości.

Co to dla ciebie znaczyło?

– Poczulałam, że to bardzo uwalniające doświadczenie. Spędziłam z ludźmi z Wiary i Tęczy cały dzień. Przed paradą wspólnie się modliliśmy, później razem szliśmy w manifestacji, niosąc transparent o treści „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”. Wieczorem poszliśmy do klubu LGBT+ i oglądaliśmy występy drag queens. Pierwszy raz byłam w takim klubie, chyba zresztą w ogóle w klubie nocnym. Tak się złożyło, że była to akurat wigilia Zesłania Ducha Świętego, normalnie w tym czasie pewnie byłabym na całonocnym czuwaniu czy adoracji. Tymczasem połączenie: modlitwa, parada i klub wydało mi się zaskakująco spójne, prawdziwe, wspólnotowe. I bardzo moje. Aż sama się sobie dziwiłam.

Nie miałas poczucia, że robisz coś złego?

– Ani trochę. Wróciłam do domu o piątej rano, a że musiałam iść do pracy, to na ósmą pobiegłam na mszę. Akurat odprawiał ją mój stały spowiednik. W czasie liturgii czterokrotnie się odniósł do Parady Równości z poprzedniego dnia, która – jego zdaniem – była bluźnierstwem i wielkim zgorzeniem. Tymczasem ja byłam po niej naładowana bardzo pozytywnymi emocjami i nie rozumiałam, jak on może tak mówić. Strasznie mnie to zabolalo, poszłam do zakrystii i zapytałam go, czy

⁴¹ Lectio Divina – forma modlitwy oparta na pogłębionej lekturze tekstów biblijnych.

przez to, że byłam na paradzie, jestem dla niego zła i grzeszna. Dość agresywnie wyrzucił mnie z zakrystii, byłam tym wstrząśnięta. Wieczorem powiedziałam znajomemu księdzowi z Oazy, co się wydarzyło. Trochę mnie uspokoił, nawet mnie przeprosił za zachowanie brata w kapłaństwie.

Łączyłaś wtedy bycie w Oazie i w Wiarze i Tęczy?

– Próbowałam to robić, ale na dłuższą metę okazało się to trudne. W trakcie pandemii grupa znajomych z Wiary i Tęczy organizowała nabożeństwa ekumeniczne online, poznałam na nich ludzi różnych wyznań i rozumiałam, że chrześcijaństwo nie ogranicza się do katolicyzmu. To był czas ujawniania w Polsce skandali pedofilskich i dużego zaostrzenia przez hierarchów homofobicznej retoryki. Coraz bardziej czułam, że Kościół rzymskokatolicki to już nie moje miejsce. Dziś, jeśli chodzę na nabożeństwa, to raczej do reformowanych ewangelików, nie utożsamiam się z katolicyzmem. Ważnym odkryciem była też dla mnie teologia queer.

Bardzo rzadko w Polsce spotykana.

– Po raz pierwszy zetknęłam się z nią, czytając książkę Jamesa Alisona. To urodzony w Wielkiej Brytanii ksiądz-gej, którego za poglądy na temat osób LGBT+ spotykały sankcje ze strony Watykanu. W lipcu 2017 r. papież Franciszek zadzwonił do niego i poniekąd go zrehabilitował. Kilka lat temu Alison był zresztą gościem na rekolekcjach Wiary i Tęczy. Oprócz niego poznałam też wielu teologów queer różnych wyznań na konferencjach Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT, w którego działalność się zaangażowałam.

Co ci dały te lektury?

– Klasyczna teologia katolicka mówi o osobach LGBT+ wyłącznie w sposób negatywny. Jesteśmy „wewnętrznie nieuporządkowani”, nasza seksualność jest nie w porządku, nasza tożsamość ułomna. Roztacza się przed nami jakiś heteronormatywny ideał, którego – ze względu na swoją orientację czy tożsamość – nigdy nie osiągniemy. Tak jakbyśmy byli trwale uszkodzeni, trochę na zasadzie: „wierzymy, że człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga, ale niektórzy nie do końca”. Osoba LGBT, która ma afirmatywny stosunek do siebie, w pewnym sensie musi budować swoją duchowość w opozycji do tej normatywnej teologii. Tymczasem teologia queer pozwoliła mi dostrzec moje doświadczenie płci i seksualności w pozytywnym kontekście. Dla mnie to było bardzo wyzwalające, podobnie jak anarchizm chrześcijański, którym się później zafascynowałam.

Opowiesz o tym?

– Na pierwszym roku studiów pojechałam na tygodniowy lewacki boot camp, na którym odbywały się wykłady i warsztaty o LGBT+, zmianie klimatu, związkach zawodowych czy prawach pracowniczych. To mi mocno otworzyło głowę. Jesienią 2021 r., w czasie protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, zobaczyłam, jak anarchiści pomagają osobom represjonowanym przez policję. Rozdawali protestującym numery telefonów, pod którymi można było uzyskać konkretną ochronę prawną. Dowiedziałam się, że oni to robią od lat, tylko dopiero teraz ich działalność stała się widoczna, bo pierwszy raz tak zwani normalni ludzie są prześladowani przez państwo. Bardzo mi to zaimponowało. Na jakiejś manifestacji trafiła mi do rąk gazetka anarchistyczna „Atak”. Zaczęłam rozmawiać z chłopakiem, który ją rozdawał, i w ten sposób trafiłam do anarchistycznego kolektywu, w którym jestem do dziś. Później poznałam Margot⁴², trafiłam do skłotu Syrena⁴³, poznałam nową grupę osób, z którymi znów się poczułam jak u siebie. Nasz skłot był bardzo queerowy, nikt nie miał wątpliwości, że istnieje wiele tożsamości seksualnych i płciowych i że wszyscy to powinni szanować. Pod wpływem tego zaczęłam sobie zadawać pytania, kim jestem. Dziś się uważam za niebinarną lesbijkę, choć dla niektórych to oksymoron. Cała ta historia brzmi trochę jak moda na niebinarność, prawda?

Nie powiedziałem tego.

– Ty nie, ale widziałam to w mediach, nawet liberalnych, dostatecznie często. A ja po prostu w tym moim anarchistyczno-queerowym środowisku zobaczyłam, że mogą funkcjonować różne niebinarne tożsamości i powiedziałam sobie: „Okej, chcę to praktykować”.

Oaza, Wiara i Tęcza, skłot. W twoim życiu jest ciągłe poszukiwanie wspólnoty.

– To prawda. Potrzebuję być w grupie, w której ludzie dążą wspólnie do jakiegoś celu. Czy to jest praca nad własnym życiem duchowym, czy odnowa Kościoła, walka o czyjeś prawa czy lewicowa walka aktywistyczna o lepszy świat – wszystko to dla mnie jest w pewnym sensie o tym samym. Udział w tych wspólnotach mnie ukształtował. Nawet jeśli dziś pod wieloma względami patrzę na Oazę krytycznie, nadal

⁴² Wywiad z Margot znajduje się w niniejszej książce.

⁴³ Syrena – skłot mieszczący się w warszawskiej kamienicy przy ul. Wilczej. Słynął z organizacji wydarzeń społecznych i politycznych. Został zlikwidowany po napaści na jego mieszkańców w grudniu 2021 r.

uważam, że była ona dla mnie cennym doświadczeniem. Łączę w sobie i przetwarzam te różne światy. Może cię zaskoczę, ale skłot był dla mnie w jakimś sensie ucieleśnieniem chrześcijańskiej wspólnoty. Czułam, że żyjemy w nim trochę jak pierwsi chrześcijanie – mieszkamy i jemy za darmo, dzielimy się ze sobą tym, co mamy, wspieramy się, funkcjonujemy poza państwem i systemem. I wyznajemy wspólne wartości. Dla mnie to było chrześcijaństwo w działaniu.

No właśnie, czym jest dziś dla ciebie chrześcijaństwo?

– Chyba głównie projektem polityczno-społecznym, no i ideologią – sposobem na wyjaśnienie świata, a także na wspólne przeżywanie trudnych emocji, takich jak żal, ból, smutek czy zmęczenie. Osobista relacja z Bogiem zeszała trochę na drugi plan, może dlatego że przez formację oazową trudno mi oddzielić Boga od Kościoła. W konsekwencji nie umiem się gniewać na Kościół, nie gniewając się na Boga. A na Kościół jestem mocno wkurzona.

W takim razie, gdy Święty Piotr będzie cię wpuszczał do raju, to co mu powiesz?

– Dobre pytanie. Bardzo lubię Świętego Piotra i mocno się odnajduję w jego biografii. Podobnie jak on zmieniałam swoje imię i było to dla mnie doświadczenie duchowe.

W jakim sensie?

– W wieku 16 lat podczas modlitwy miałam takie natchnienie, że moje stare imię symbolizuje bardzo normatywne życie. Że Bóg mi w tym pobłogosławi i że mogę być szczęśliwa, ale normatywna. Klasyczny, grzeczny, poukładany scenariusz – mąż, rodzina, dzieci. Ale poczułam, że mogę też być Ulą, co oznacza, że będę przełamywać schematy, robić różne niekonwencjonalne, prawie szalone rzeczy i na tej drodze Pan Bóg mi również pobłogosławi. Wybrałam tę drugą opcję. Dziś jestem Ulą, od kilku miesięcy także w oficjalnych dokumentach.

A wracając do spotkania ze Świętym Piotrem?

– Wyobrażam je sobie tak: siadamy z nim razem na papierosa, on mi pokazuje filmiki z całego mojego życia. Oglądamy je razem, a ja mu z satysfakcją mówię: „Fajne, prawda?”.

DZIĘKI BISEKSUALNOŚCI PATRZĘ NA ŚWIAT SZERZEJ



Uschi Pawlik
aktywistka

Tłumaczka i redaktorka, z wykształcenia lingwistka. Aktywistka w różnych obszarach, przede wszystkim na rzecz społeczności LGBT+, współkoordynatorka warszawskiej grupy Wiara i Tęcza. W przeszłości zaangażowana w inicjatywę Miłość Nie Wyklucza. Była redaktorka naczelna portalu kulturalno-społecznego LGBT+ homiki.pl. Od lat w związku z Magdą. Mieszka w Warszawie.

To Bóg postawił na mojej drodze Magdę, partnerkę,
z którą jestem od 18 lat. Mógł postawić mężczyznę,
a postawił ją. Kropka.

Dla mnie związek z Magdą jest sakramentalnym
małżeństwem. Według nauczania Kościoła sakramentu
małżeństwa nie udziela ksiądz, tylko małżonkowie sobie
nawzajem. I myśmy to zrobili przed sobą i Bogiem.

Obecny gmach instytucjonalnego Kościoła musi się po
prostu zawalić. W momencie tej katastrofy chcę być
w środku. Wierzę, że tylko będąc wewnątrz, będę mogła
pomóc ocalić w nim to, co najcenniejsze.

Zacznijmy od początku, czyli od dzieciństwa.

– Z punktu widzenia wywiadu będzie nudno, bo przez pierwsze dwadzieścia kilka lat myślałam o sobie jak o heteroseksualnej kobiecie. Wiesz, zero rozkmin na temat orientacji w okresie dorastania, żadnych nieszczęśliwych miłości do nauczycielek czy stresu mniejszościowego.

Szczęściara!

– Po prostu żyłam w heteromatriksie.

To znaczy?

– Pochodzę z niezbyt religijnego domu w Dąbrowie Górniczej. Rodzice, owszem, wysyłali mnie do kościoła, ale sami zwykle nie szli. Chodziło bardziej o rytuał niż o wiarę. Gdy pod koniec podstawówki zaangażowałam się w Ruch Światło-Życie, byli przerażeni, że wdałam się w jakąś sektę. Zwłaszcza że moja religijność bardzo się zmieniła.

To znaczy?

– No cóż... Byłam dość egzaltowana i emocjonalna.

Jak trafiłaś do Oazy?

– Koleżanka zaciągnęła mnie na jedno czy drugie spotkanie. Sama wkrótce odeszła, a ja zostałam na lata. Byłam taką typową oazową – długie sukienki, koncepcja „zero seksu przed ślubem”, klimaty niemal zakonne. Pamiętam swoje oburzenie, gdy moje dwie koleżanki przyszły na mszę w sukienkach na ramiączkach. Jak tak można? Wstydu nie mają! Mimo to dziś myślę, że Oaza całkiem fajnie mnie duchowo ukształtowała. Tyle że, jak już powiedziałam, to był totalny heteromatriks, wiesz – „chłopak, dziewczyna – normalna rodzina”.

Spotkałaś się tam z homofobią?

– Tak otwarcie to nie. Nikt nic nie mówił przeciwko osobom LGBT+, bo temat nie istniał. Byłam zaangażowana w ruch, ale z mojej strony nie była to bezkrytyczna religijność. Pamiętam, jak na którymś spotkaniu pojawił się temat antykoncepcji. Oczywiście mówiono nam, że jest niedopuszczalna. Nie do końca to przyjmowałam. Pomyślałam sobie, że to jednak głupio, żeby Kościół rozstrzygał tę kwestię tak autorytatywnie. I że raczej powinien to zostawić sumieniu ludzi. W Ruchu Światło-Życie była przestrzeń, by się zastanawiać nad różnymi rzeczami, i to akurat było fajne. Nieustająco nas pytali „Co Jezus zrobiłby na moim miejscu?”. Odbywały się dyskusje na trudne tematy, dla nastolatki było to całkiem rozwojowe. Wiele rozmów kręciło się wokół małżeństwa, co

mnie nawet ciekawiło, bo przecież bywałam w związkach z facetami. Później wyjechałam na studia. Lingwistyka stosowana, trudne egzaminy, 12 kandydatów na miejsce, strasznie dużo nauki. Do tego związek na odległość, bo od trzeciej klasy liceum miałam chłopaka.

Czyli po maturze wyjeżdżasz ze Śląska do Warszawy...

– Z Zagłębia!

Sorry, jasne, że z Zagłębia! Wyjeżdżasz więc do Warszawy jako heteroseksualna dziewczyna mająca faceta.

– W pewnym momencie nawet narzeczonego, bo byliśmy ze sobą cztery lata, zaręczyliśmy się i planowaliśmy ślub. Po studiach miałam do niego wrócić. Kiedy byłam na drugim roku, on jednak odszedł i wszystko się zawaliło.

Było ciężko?

– Bardzo. Jednak ta sytuacja wyrwała mnie z heteronormatywnego schematu pod tytułem: „matura, studia, chłopak, małżeństwo, dzieci”. Zaczęłam patrzeć na świat w mniej oczywisty sposób, chodzić na studenckie imprezy, poznawać ludzi. Zobaczyłam, że można żyć w różny sposób, poszukiwać, eksperymentować. I że nie każdy związek od razu prowadzi do ołtarza.

Zakochiwałaś się wyłącznie w mężczyznach?

– Świadomie tak, choć dziś widzę, że już wtedy zdarzały mi się fascynacje kobietami. Tyle że nie nazywałam ich zakochaniem. Raczej głęboką przyjaźnią.

Bo?

– Nieheteroseksualność praktycznie nie była dla mnie tematem, zresztą wtedy bardzo mało się o niej mówiło. Jeśli już, to tematem byli geje. Słowa „biseksualność” albo „lesbijka” niemal nie istniały.

Czy dziś określasz się jako osoba biseksualna?

– Raczej tak, choć czasem myślę, że bliska jest mi też panseksualność. Czyli sytuacja, w której zakochuję się w danej osobie bez względu na płeć.

Wróćmy na studia. Czy na tamtym etapie w grę ciągle wchodził dla ciebie jedynie związek damsko-męski?

– Zasadniczo tak, jednak dzięki bliskiemu mi człowiekowi zaczęłam wtedy słuchać nowojorskiego zespołu klezmerskiego The Klezmatiks.

Świetni muzycy, którzy żydowskie dźwięki łączyli z jazzem i rockiem. Byłam nimi zafascynowana, szukałam na ich temat różnych informacji i dowiedziałam się, że wokalista, Lorin Sklamberg, jest gejem, a skrzypaczka, Alicia Svigals, lesbijką. To chyba wtedy emocjonalnie dotarło do mnie, że nie wszyscy na świecie są hetero. Zaczęłam myśleć, że może ja też mam podobnie?

Obawiam się, że powstaje nam tu właśnie wymarzona opowieść dla homofoba. Zawiedziona heteroseksualna miłość, porzucenie przez faceta, fascynacja homoseksualną postacią ze świata popkultury. Po prostu przepis na lesbijkę... (śmiech)

– W rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Nic mi się nagle nie odmieniło, po prostu zaczęłam patrzeć na dawne emocje i doświadczenia oczami, z których zesłała mgła. Uświadomiłam sobie, że zawsze podobało mi się kobiece ciało, że fascynowały mnie dziewczyny i że często wchodziłam z nimi w bardzo głębokie relacje. Wszystkie puzzle wskoczyły wtedy na swoje miejsce i stworzyły konstrukcję o nazwie „biseksualność”.

Od razu „bi”, a nie „les”?

– Od razu. Wiedziałam przecież, że moje relacje z mężczyznami nie były udawane.

Co się zmieniło w twoim życiu?

– To, że pozwoliłam sobie na romantyczne relacje z kobietami. Już nie patrzyłam na nie tylko jak na przyjaźń.

Jak wtedy dziewczyny poznawały dziewczyny?

– Było trudno, nie istniały przecież aplikacje randkowe. Był jednak świetny serwis kobiety-kobietom.com, na którym można się było ogłaszać. W Warszawie funkcjonowała też całkiem spora społeczność lesbijska, którą nazywałyśmy „branżą”. Kilkadziesiąt, może trochę więcej dziewczyn, które chodziły razem na imprezy do klubów czy knajp, m.in. do Le Madame, Ufy czy do Koźła Pub. Gdy się złapało branżowy kontakt, było już łatwiej. Zwłaszcza UFA była niezwykłym miejscem, typowo kobiecym. Ciekawe, że dziś w Warszawie takich lokali już nie ma albo ja o nich nic nie wiem. Poznałam tam świetne osoby, m.in. queerowe artystki offowe. To był akurat koniec moich studiów, zrozumiałam, że nie wracam do Zagłębia i że moje miejsce jest w Warszawie.

Pamiętam, że w tamtych czasach nawet w społeczności LGBT+ biseksualność była przyjmowana z rezerwą.

– Jeszcze jaką! Zresztą do dziś od czasu do czasu spotykam się z bifobią. Zarzuty są najczęściej trzy. Po pierwsze, że pewnie tak naprawdę to jesteśmy homo, ale jednoznaczna deklaracja nie chcemy sobie zamykać furtki do świata hetero. Po drugie – związki z nami są ryzykowne, bo w każdej chwili może nam się odwidzieć i wtedy damy nogę. Po trzecie wreszcie – że skaczymy z kwiatka na kwiatek, a tak naprawdę to chcielibyśmy żyć w trójkącie – z kobietą i mężczyzną.

A co o osobach „bi” mówią wierzący?

– Wielu z nich nie rozumie, o co nam, osobom biseksualnym, chodzi. Dużo łatwiej im zrozumieć geja czy lesbijkę. Wielokrotnie spotykałam się z podejściem: „Rozumiałbym, gdybyś była lesbijką. Ale skoro możesz być z facetem, to po co wybierasz kobietę?”.

Co odpowiadasz?

– Zawsze to samo. Że zakochuję się w osobie, a nie płci. Przecież człowiek nie wybiera sobie osoby, w której się zakochuje. Jako osoba wierząca wiem, że to Bóg postawił na mojej drodze Magdę, partnerkę, z którą jestem od 18 lat. Mógł postawić mężczyznę, a postawił ją. Kropka.

Wkurza cię, gdy ktoś odruchowo mówi o tobie „lesbijka”?

– Wkurza. Mam wtedy wrażenie, że biseksualność wciąż bywa przyczyna. Czasem nie mam siły tłumaczyć, obchodzę ten problem, mówiąc: „Jestem w związku z kobietą”.

A jak zostałam biseksualną aktywistką?

– Był taki portal homiki.pl. Zaczęłam go czytać, bo mieli ciekawe teksty, ale tak fatalnie napisane, że mnie, lingwistkę, bolały zęby. Napisałam do nich, że chętnie zajmę się redakcją i korektą. Zgodzili się, zaczęłam z nimi współpracować, później pisałam artykuły, aż wreszcie zostałam redaktorką naczelną. Po drodze poznałam Wojtkę Szotę, dziś znanego krytyka literackiego. Między innymi dzięki niemu weszłam w różne nowe projekty, takie jak queer-historyczne spacerunki po Warszawie, portal Inna Historia czy przewodnik „HomoWarszawa”. W 2010 r. współzakoładałam stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, z czego jestem wyjątkowo dumna.

Po drodze zaliczyłaś szeroko opisywany w mediach spór sądowy z Tomaszem Terlikowskim.

– To dla mnie trudny temat, nie wiem, czy chcę do niego wracać.

Powiedz, ile zechcesz. Myślę jednak, że nie powinniśmy tego pomijać, bo spór był publiczny i wiele osób wciąż o nim pamięta.

– Okej, to krótko opowiem. W czerwcu 2009 r. „Rzeczpospolita” opublikowała rysunek przedstawiający urzędnika udzielającego ślubu dwóm mężczyznom. Obok stał trzeci, z kozą na sznurku. Mówił do zwierzęcia: „Jeszcze tylko ci panowie wezmą ślub i zaraz potem my!”.

Boki zrywać.

– Ale to nie wszystko. Kilka dni później w „Rzecie” ukazał się artykuł publicysty Tomasza Terlikowskiego pt. „Rewolucja homoseksualna”. „Jeśli godzimy się na uznanie, że prokreacja, wychowanie i wierność nie mają znaczenia w stosunkach dwóch partnerów, a jedynym celem jest zadowolenie uczestników tej relacji, to nie ma powodów, by czynić różnicę między relacją homoseksualną a zoofilską”.

Postanowiłaś zareagować.

– Ja, mój znajomy aktywista LGBT+ Michał Minałto oraz nasze Stowarzyszenie Otwarte Forum wspólnie złożyliśmy pozew przeciwko redakcji „Rzeczpospolitej”. Tomasz Terlikowski występował w sądzie jako świadek, ale w znacznej mierze spór toczył się między nami a nim. Po dwóch i pół roku sąd uznał, że nie powinniśmy się czuć obrażeni, bo przecież rysunek nie przedstawiał nas, tylko anonimowych gejów. Powołał się też na wolność słowa i ostatecznie oddalił nasz pozew, a my musieliśmy ponieść koszty procesu. Ta przegrana mocno mnie wyczerpała emocjonalnie i finansowo. To był jeden z powodów, dla których wkrótce wycofałam się z tęczowego aktywizmu.

Dziś Tomasz Terlikowski zmienił ton, jest ulubionym pravicowcem liberalnej strony sceny politycznej.

– Cieszę się z jego przemiany, a jednocześnie nie ukrywam, że tamten spór sądowy to dla mnie emocjonalnie niezaleczona rana. Przepracowywałam ją trochę między innymi na terapii, ale to wszystko jednak we mnie ciągle siedzi. Wiem, że mój adwersarz publikuje dziś ciekawe i wartościowe teksty, m.in. w „Tygodniku Powszechnym” czy „Więzi”, ale ja, niestety, nie jestem w stanie ich czytać.

Wróćmy do twojej działalności aktywistycznej.

– Mniej więcej w tamtym czasie poczułam, że powinnam się wycofać. Termin „wypalenie aktywistyczne” pojawił się dopiero kilka lat później, wtedy nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Jednak czułam, że cała ta działalność zabiera mi zbyt wiele czasu. Zwłaszcza że oprócz

działalności tęczowej zajmowałam się też prawami zwierząt i dziećmi wykluczonymi społecznie. Niestety jestem trochę zero-jedynkowa, więc przychodziłam do domu z pracy i siadałam do komputera, by robić rzeczy związane z wolontariatem. W pewnym momencie uznałam, że cierpi na tym moje życie osobiste i rodzinne, więc się wycofałam.

À propos życia rodzinnego – gdzie poznałaś Magdę?

– Przez wspomnianą platformę kobiety-kobietom.com. Standard: najpierw ogłoszenie, wymiana maili, potem pierwsze spotkanie na żywo. Umówiliśmy się przy placu Zbawiciela, gdzie później stanęła słynna tęcza. To był 2005 r., czyli jesteśmy już ze sobą 18 lat.

Modlicie się razem?

– Właściwie nie. Dla mnie modlitwa to bardzo intymna rozmowa z Bogiem, dlatego wolę to robić indywidualnie. Co nie znaczy, że oddzielam mój związek z Magdą od relacji z Bogiem. Przeciwnie, uważam, że moja partnerka to największy dar, jaki od Niego dostałam.

Dar?

– Tak, bo to coś, na co w sumie nie zasłużyłam, a co dla mnie jest namacalnym doświadczeniem dobra, zdecydowanie najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła w życiu. To, że Kościół nie potrafi dostrzec wartości jednopłciowych związków, to jego straszliwa ślepota. Jesteśmy z Magdą bardzo różne. Fakt, że od tylu lat się ze sobą dogadujemy, potrafimy się wzajemnie wspierać we własnym rozwoju i w ogóle w życiu, to prawdziwy cud. Dlatego nie mam wątpliwości, że Bóg nam błogosławi.

Chciałabyś, żeby Kościół też pobłogosławił?

– Ja marzę o ślubie, takim z ceremonią, oprawą, może nawet lekkim patosem. Czekam na to, że będę go kiedyś mogła wziąć w Polsce. Nie chcę tego robić za granicą.

O Magdzie mówisz „żona” czy „partnerka”?

– Myślę „żona”, a mówię „partnerka”. Ze słowem „żona” czekam na moment, gdy polskie państwo pozwoli nam wziąć ślub cywilny.

Na kościelny ślub nie liczysz?

– Aż tak naiwna nie jestem. Nie wierzę, by za mojego życia Kościół rzymskokatolicki zgodził się na religijne małżeństwa osób tej samej płci. Dla mnie jednak związek z Magdą jest sakramentalnym małżeństwem. Wiele lat temu, po kilku miesiącach bycia razem, zdecydowałyśmy się na prywatną, intymną ceremonię. Złożyłyśmy sobie przysięgę

małżeńską, wymieniłyśmy się obrączkami. Później dowiedziałam się, że według nauczania Kościoła sakramentu małżeństwa nie udziela ksiądz, tylko małżonkowie sobie nawzajem. I myśmy właśnie to zrobiły przed sobą i Bogiem. Mam jednak potrzebę, żeby także Kościół uznał dobro, które wspólnie z Magdą tworzymy. Zresztą to się w jakimś sensie wydarzyło.

Co masz na myśli?

– To były jedne z pierwszych rekolekcji Wiary i Tęczy, w których uczestniczyłyśmy. Ksiądz, który je prowadził, zaproponował, by osoby będące w związkach podeszły wspólnie do ołtarza po błogosławieństwo. Nie chodziło o żaden sakrament czy obrzęd, po prostu zwykłe błogosławieństwo, tak jak się błogosławi dzieci, święconki, zwierzęta czy samochody. A mimo to, gdy podeszłam z Magdą do ołtarza, popłakałam się jak bóbr. Jedno z najsilniejszych przeżyć w moim życiu.

Co to dla ciebie znaczyło?

– Bardzo wiele. Wiedziałam, że z punktu widzenia kościelnych przepisów ksiądz w zasadzie nie powinien tego robić. A mimo to fakt, że katolicki duchowny udziela wspólnego błogosławieństwa naszej parze, był namacalnym znakiem włączenia. Dodatkowo poruszyła mnie jego odwaga w wierności swojemu sumieniu.

Cofnijmy się jeszcze trochę. Jak trafiłaś do Wiary i Tęczy?

– Najpierw zobaczyłam WiT na Paradzie Równości, ale wtedy byłam mocno pogniwana na Kościół. To był już czas ostrej nagonki biskupów na osoby LGBT+. Wychodziłam z założenia: „jeśli mnie nie chcecie, to ja się do was na siłę pchać nie będę”.

Straciłaś wiarę?

– Nigdy. Natomiast mocno obraziłam się na Kościół. Nie chodziłam na mszę, postanowiłam sprywatyzować swoją religijność, czytać „Tygodnik Powszechny”, modlić się w domu i żyć zgodnie z duchem Ewangelii. Przez jakiś czas to działało, jednak w końcu poczułam, że czegoś mi brakuje.

Czego najbardziej?

– Zaskoczę cię, ale celebracji. Jestem wielką fanką liturgii, rzymskokatolickiego rytuału religijnego, który jest dla mnie ważnym elementem duchowości.

Konieczność rzymskokatolickiego?

– W znacznej mierze tak. Mogę mieć bardzo dużo pretensji do Kościoła, ale w świątyni katolickiej czuję się jak w domu. Gdy chodzę na nabożeństwa innych wyznań, mam poczucie, że jestem gościem. Serdecznie przyjmowanym, ale jednak gościem. Chyba właśnie z powodu tęsknoty za liturgią zaczęłam więc czasem chadzać na mszę, ale do spowiedzi i komunii już nie. „Nie chcę grać według waszych zasad, ale je szanuję”. Taka sytuacja trwała do 2013 r., kiedy zostałam poproszona o bycie matką chrzestną. I to przez rodzinę mojej Magdy! Żartuję, że Duch Święty ostentacyjnie włożył wtedy palec w moje życie.

Bycie rodzicem chrzestnym wielu sprowadza do rytuału.

– Ja jednak poczułam, że tak nie mogę. Rodzina Magdy powiedziała mi zresztą, że jestem najlepszą, a właściwie to jedyną kandydatką na tę funkcję i że w zasadzie nie mogę odmówić. Przy okazji nasłuchiwałam się całej masy komplementów, że jestem prawa, pobożna i dobra, no po prostu wzór dla nowo narodzonego dziecka. (śmiej) Potraktowałam to bardzo poważnie. Skoro bowiem mam wprowadzić dziecko do Kościoła, to najpierw sama muszę sobie jakoś poukładać relacje z tą instytucją.

Rozumiem, że nie chodziło o sławetną „karteczkę od spowiedzi”?

– Oj nie! Pomyślałam, że muszę wrócić do Kościoła, ale na swoich zasadach. Najpierw poszłam więc do spowiedzi. Nie miałam wątpliwości, że nie powinnam się spowiadać z tego, że jestem w związku z kobietą. Wyznawać trzeba grzechy, a ja wiedziałam, że mój związek z Magdą to nie grzech. Wręcz przeciwnie – jest czymś niezwykle wartościowym. Jednak po spowiedzi musiałam pójść do zakrystii po zaświadczenie niezbędne do tego, żeby być matką chrzestną. Powiedziałam księdzu, jaka jest sytuacja.

Również o tym, że jesteś w związku z Magdą?

– Oczywiście.

Poczekaj, czegoś nie rozumiem. Na spowiedzi tego nie mówisz, a w czasie załatwiania biurokratyczno-administracyjnej formalności, w sumie dość absurdalnej, opowiadasz osobiste rzeczy na temat swojego życia?

– Dla mnie to bardzo spójne. Strasznie nie lubię kłamstw i półprawd. A wtedy dodatkowo miałam silną potrzebę, żeby nie udawać i żeby sprawę mojej tożsamości stawiać najzupełniej jasno.

Jak zareagował ksiądz?

– Strasznie się zakłopotał. Długo z nim rozmawiałam, przekonywałam,

on jednak stwierdził, że raczej mi tego zaświadczenia nie da. Odeszłam przygnębiona. Kilka dni o tym myślałam, dużo się modliłam. Poszłam do niego jeszcze raz. Poprosiłam, żeby zaryzykował, bo będę świetną matką chrzestną. W końcu dał mi ten papierek, a ja miałam poczucie, że zachowałam się wobec Kościoła fair.

Ciekawe, że ta wyśmiewana przez wielu procedura z „karteczką do chrztu” miała dla ciebie tak duże znaczenie.

– Chyba miała, bo mniej więcej rok później poszłam do tego księdza jeszcze raz. Doskonale mnie pamiętał. Powiedziałam, że podjął bardzo dobrą decyzję. Bardzo się ucieszył.

Niedługo po tym przysłaś do Wiary i Tęczy.

– Z tego, co pamiętam, już na pierwszym spotkaniu warszawskiej grupy powiedziałam ci, że będę je z tobą prowadzić. Trochę bezczelnie, jak to ja. (śmiech)

Szczerze mówiąc, przysłaś w samą porę, bo brakowało nam wtedy kobiety liderki.

– To był 2016 r., mniej więcej wtedy trwała akcja „Przekażmy sobie znak pokoju”, którą Wiara i Tęcza robiła z Kampanią Przeciw Homofobii. Wydawało się, że powoli zakopujemy topór wojenny między Kościołem a osobami LGBT+. Tymczasem zaraz potem przyszedł czas obrzydliwej nagonki na naszą społeczność.

Która sprawiła, że osoby homoseksualne, biseksualne i transpłciowe masowo zaczęły odchodzić z Kościoła. Ty nie poszłaś tą drogą.

– Co nie znaczy, że nie widzę problemu. W ostatnich latach w Kościele wydarzyło się bardzo dużo złego, zawiedli mnie nawet ci, którym najbardziej ufałam. Przez lata byłam mocno związana z dominikanami, ale po ujawnieniu nadużyć seksualnych dokonanych przez Pawła M. przez długi czas nie byłam w stanie chodzić do nich na msze. Generalnie mam duże kłopoty z tą instytucją. Powiem szczerze, że moich chrześniaków, a mam ich już w tej chwili dwoje, na mszę już nie zabieram. Gdy słyszę, że młodzież przestaje chodzić do kościoła, to się z tego w pewnym sensie cieszę.

To po co ciągle w tym tkwisz?

– Chcę zmieniać Kościół od środka. Właśnie po to angażuję się w działalność Kongresu Katoliczek i Katolików oraz zainicjowany przez papieża Franciszka ruch synodalny.

Nie boisz się, że to postawa „użytecznego idioty”?

– Poważnie się z tym liczę, zresztą wiele bliskich osób zarzuca mi, że próby reformy Kościoła od wewnątrz to legitymizowanie i utrwalanie jego patologii. Świadomie godzę się z tym ryzykiem. Nabrałam jednak przekonania, że obecny gmach instytucjonalnego Kościoła musi się po prostu zawalić. I że w momencie tej katastrofy chcę być w środku.

To niebezpieczne. Jak coś się wali, to trzeba uciekać.

– Ja jednak wierzę, że na tych gruzach Kościoła powstanie coś dobrego. I że tylko będąc w środku, będę mogła pomóc ocalić w nim to, co najcenniejsze.

Mógłbym jeszcze postawić zarzut, że to syndrom sztokholmski, polegający na tym, że ofiara fascynuje się oprawcą. Nie zrobię jednak tego, bo sam wielokrotnie słyszałem go pod swoim adresem i wiem, że to stwierdzenie mocno nie fair. Spytam więc tylko, czy czujesz się ofiarą Kościoła?

– Może cię zawiodę, ale nie. Ktoś mnie niedawno chciał namówić na publiczną wypowiedź, że wierzące osoby LGBT+ przejawiają symptomy zespołu stresu pourazowego. Ci ludzie mieli dobre intencje, ale odmówiłam takiego komentarza. Wiem o cierpieniach wielu wierzących osób LGBT+, jednak moja historia jest inna. Mam wobec Kościoła swoje żale, ale na rolę ofiary się nie godzę.

Czyli kiedyś, stojąc u bram nieba, raczej nie powiesz Świętemu Piotrowi, że masz żal do jego Szefa?

– Myślę, że podziękuję mu za wszystko, co dostałam od Pana Boga. Lista będzie długa, otworzy ją mój związek z Magdą. Ale będą też na niej inne relacje, zarówno z facetami, jak i z dziewczynami, bo przecież one wszystkie mnie kształtowały. Znajdzie się też miejsce na wszystkie osoby, które poznałam w czasie mojej działalności aktywistycznej. Najmocniej jednak podziękuję za dar biseksualności, dzięki której patrzę na świat szerzej, bo ponad granicami płci. Wiem, co mówię, w końcu przez dwadzieścia parę lat posługiwałam się standardową, heteroseksualną instrukcją obsługi życia i uważam, że była ona o wiele uboższa niż ta późniejsza.

ŚWIĘTA RODZINA TEŻ BYŁA NIENORMATYWNA



Joanna i Magdalena

mamy czteroletniego syna i dwuletniej córki

Joanna – doktor ekonomii, pracowniczka naukowa jednej z warszawskich uczelni, specjalistka od zagadnień polityki społecznej i wykluczenia społecznego, wieloletnia wykładowczyni akademicka na kierunkach społecznych. Przez lata zaangażowana w Ruch Światło-Życie. Gra na perkusji.

Magdalena – filolożka, tłumaczka, ukończyła studia magisterskie i licencjackie na Uniwersytecie Warszawskim oraz podyplomowe na Uniwersytecie SWPS. Przez wiele lat pracowała jako specjalistka od zarządzania projektami. Obecnie IT Project Manager w międzynarodowej korporacji.

W 2015 r. wzięły ślub w Portugalii. Mają czteroletniego syna i dwuletnią córkę. Mieszkają w Warszawie.

Ksiądz z Oazy kazał mi się zgłosić na terapię reparatorną. Miała mnie przygotować do małżeństwa. Były sesje, po których czułam, że jestem beznadziejna.

Gdy przyszedł ksiądz po kolędzie, zdobyłyśmy się na odwagę i powiedziałyśmy mu, że jesteśmy parą. Wezwał mnie później do kancelarii i powiedział, że nie chce, byśmy się angażowały w życie parafii. Po latach zaangażowania w życie Kościoła to był cios.

W trakcie chrztu naszego dziecka ksiądz pozwolił nam stanąć przy ołtarzu we trójkę: my dwie oraz tata. Zastanawiałam się, jak się zachować w momencie, gdy ksiądz poprosi, by rodzice zrobili na czole dziecka znak krzyża. Ksiądz ograł to fantastycznie, bo powiedział: „A teraz rodzice i rodzina zrobią znak krzyża”.

Zgodziłyście się na wywiad pod warunkiem, że nie ujawnię waszych nazwisk. Dlaczego?

– **Joanna:** Chodzi o nasze dzieci. Nie mamy poczucia, że w dzisiejszej Polsce nikt nie wykorzystałby przeciwko nim tego, o czym tu powiemy. Chcemy, żeby nadal spokojnie chodziły do publicznego przedszkola i żłobka. Uznałyśmy też, że nie możemy w ich imieniu dokonywać „coming outu”, informując świat, że mają dwie mamy.

– **Magdalena:** Gdyby chodziło tylko o nas, nie miałybyśmy problemu z ujawnieniem nazwisk.

Na Facebooku nie pokazujecie też zdjęć swoich dzieci.

– **Joanna:** Choć same jesteśmy w mediach społecznościowych dosyć aktywne. Ja, oprócz pracy naukowej, gram na perkusji, więc wrzucam chociażby informacje o moich koncertach. Madzia publikuje posty związane z pracą. O dzieciach konsekwentnie nie piszemy, nie ujawniamy nawet tego, że je mamy.

– **Magdalena:** Wśród przyjaciół i w pracy jesteśmy od dawna wyoutowane. Ale wiedząc, w jakim społeczeństwie żyjemy, musimy chronić dzieci. Ich ojciec robi to samo.

W tym, co mówicie, słyszę sporo lęku.

– **Magdalena:** W sumie nie jest aż tak źle. Zanim nasze dzieci się urodziły, myślałam, że ciągle będę się bała. Wyobrażałam sobie, jak jadę z Joasią metrem, a nasz syn czy córka mówi do jednej i drugiej z nas „mamo”. Jak zareagują pasażerowie? Okazało się, że takie sytuacje w zasadzie nas nie spotykają, ani w publicznej służbie zdrowia, ani w przedszkolu. Wszyscy są życzliwi.

– **Joanna:** No, może z jednym wyjątkiem.

Powiesz jakim?

– **Joanna:** Miałyśmy przykrości w przedszkolu naszego synka. Jedna z wychowawczyń powiedziała nam wprost, że nie akceptuje sytuacji, w której dziecko ma dwie matki.

– **Magdalena:** Chciałam odebrać małego z przedszkola. Nie jestem jego biologiczną mamą, ale mam pisemne upoważnienie do tego, by je odbierać. Zdaje się, że ta informacja do tej pani nie dotarła.

– **Joanna:** Tyle że to nie była tylko kwestia niedoinformowania. Po całym incydencie pani przedszkolanka poprosiła mnie na rozmowę, od progu rzucił mi się w oczy wielki medalik Matki Boskiej na jej piersi. Powiedziała: „Konstytucja mówi wyraźnie, że małżeństwo to mężczyzna i kobieta”. Pytała, co ma powiedzieć innym dzieciom na Dzień Matki, gdy będą rysowały laurki.

– **Magdalena:** To był październik, a Dzień Matki jest 26 maja, więc problem mocno wydumany.

– **Joanna:** Odpowiedziałam trochę złośliwie, że jej strasznie współczuję. Bo skoro pracuje na warszawskiej Pradze, to będzie miała wiele sytuacji, gdy na przykład dziecko ma dwóch albo trzech ojców, z których jeden w dodatku siedzi w więzieniu. Dzień Ojca to dopiero będzie wyzwanie!

– **Magdalena:** Oczywiście nie mamy nic do Pragi. Drugie dziecko chodzi tam do żłobka i fakt, że ma dwie mamy, został tam od razu zaakceptowany.

– **Joanna:** A ja sama pochodzę z Pragi. Po prostu trochę puściły mi nerwy.

Jak się zakończyła ta rozmowa?

– **Joanna:** Powiedziała pani przedszkolance, że skoro jest osobą wierzącą, to proszę, żeby oceniała drzewo po owocach. I zanim nas zaszukadkuje, przyjrzała się naszej rodzinie i dzieciom.

– **Magdalena:** Pożyczyłyśmy jej nawet książkę dla dzieci o różnych modelach rodziny. Po jakimś czasie nasze relacje trochę się ociepliły.

– **Joanna:** Bo to w gruncie rzeczy porządna osoba, tyle że owładnięta katolicką ideologią. Nie wiarą, ale właśnie ideologią. Inni rodzice mieli z nią problem, bo wbrew ich woli opowiadała ich dzieciom o Dobrym Pasterzu. Paradoksalnie akurat to nam specjalnie nie przeszkadzało, bo jesteśmy wierzące.

Do waszego rodzicielstwa jeszcze wrócimy, teraz chciałbym, żebyście opowiedziały trochę o sobie.

– **Magdalena:** Jesteśmy ze sobą już 12 lat. W 2015 r. wzięłyśmy ślub w Portugalii. Asia jest pierwszą kobietą, z którą jestem w związku.

Skąd pochodzisz?

– **Magdalena:** Z konserwatywnego, podlaskiego miasta średniej wielkości. Wychowałam się w mocno religijnej rodzinie.

– **Joanna:** Ja, tak jak mówiłam, wychowałam się na Pradze, czym się szczycę, bo dostałam tam solidną lekcję życia.

Rodzina religijna?

– **Joanna:** Raczej umiarkowanie. Ale w czasie studiów mocno się zaangażowałam w Ruch Światło-Życie. W sumie działałam w nim 16 lat, przeszłam wszystkie szczeble wtajemniczenia, w końcu zostałam liderką, czyli, jak się mówi w Oazie, animatorką.

- **Magdalena:** Wiesz, taką siostrą przełożoną. (śmiejch)
- **Joanna:** Zdarzało się, że podczas jednych wakacji zaliczałam trzy turnusy rekolekcji! Mam wrażenie, że odpokutowałam wtedy nie tylko za grzechy młodości, ale także za część przyszyłych.

Co cię w tym ruchu pociągało?

– **Joanna:** On jest trochę jak harcerstwo. Mówią ci, jakie powinny być twoje wybory życiowe, uczysz się określonych wartości, spotykasz ludzi, którzy zgodnie z nimi żyją. Dostajesz dużo życzliwości i akceptacji. Wszystko świetnie działa, dopóki mocno się trzymasz jasno wytyczonych reguł.

To znaczy?

– **Joanna:** Na przykład zamierzasz założyć tradycyjną rodzinę i mieć gromadkę dzieci. Gorzej, gdy do tej układanki jakoś nie pasujesz. Charakterystyczne, że w Ruchu Światło-Życie właściwie nie ma oferty dla singli, są tylko grupy młodzieżowe i grupy rodzin. Sama pamiętam ponadczterdziestoletnich facetów, na których nie było pomysłu, zadawali się więc z ludźmi o 20 lat młodszymi, tęsknie poszukując upragnionej oazowej żony. Po latach widzę też, że osoby, które przeszły oazową formację, są mało krytyczne w stosunku do autorytetów. Z jednej strony formowano nas do świadomego bycia w Kościele, ale z drugiej – to bycie w Kościele musiało być służbą.

Magdo, a ty byłaś w jakiejś religijnej wspólnotcie?

– **Magdalena:** Nie, ale kilka razy pojechałam do wspólnoty ekumenicznej w Taizé. Tamta duchowość mnie absolutnie zachwyciła i do dziś jest mi bardzo bliska.

A kiedy w waszym życiu pojawiły się tęczowe wątki?

– **Magdalena:** Dla mnie długo nie istniały, było dla mnie oczywiste, że będę miała męża i dzieci, innych wzorców nie znałam. W liceum i na studiach miałam nawet krótkie związki z facetami, ale czułam, że to nie to. Aż poznałam Asię i od razu się zakochałam.

Wcześniej nie miałaś myśli, że jesteś lesbijką?

– **Magdalena:** Nie miałam. Poza tym do dziś identyfikuję się jako osoba biseksualna.

A ty, Joanno?

– **Joanna:** Bardzo wcześnie czułam, że nie odpowiadam wzorcowi typowej dziewczynki. Miałam chyba siedem lat, gdy podrywał mnie

kolega i mówił, że chce zostać moim mężem, a ja płakałam przy piaskownicy, żeby dał mi spokój. (śmiech) Nie chciałam też się bawić lalkami, tylko samochodzikami.

Dziś mówi się o tym „dziecięcy nonkonformizm płciowy”. Niekoniecznie musi się on łączyć z przyszłą orientacją seksualną.

– **Joanna:** Myślę, że u mnie się akurat łączył. Później jednak zachowałam się bardziej konformistycznie. W wieku 21 lat, pod wpływem formacji oazowej, zdecydowałam się na kościelny ślub z przyjacielem. Też z Ruchu Światło-Życie. Wiedział, że czuję pociąg do kobiet, a mimo to chciał ze mną być. Z naszej wspólnoty wynieśliśmy przekonanie, że jeśli weźmiemy sakramentalny ślub, to Jezus uleczy i pobłogosławi.

Nie miałas wrażenia, że go oszukujesz?

– **Joanna:** Zupełnie nie. On o mnie wszystko wiedział, znał nawet koleżanki, w których się podkochiwałam. Ale zgoda, to wszystko opierało się jednak na oszustwie, tyle że zbiorowym, wręcz systemowym. Gdy teraz o tym myślę, to jest mi wstyd, że mogłam być tak naiwna. W tej naiwności utwierdzała mnie pseudoterapia reparatorna, na którą chodziłam do prowadzonego przez Stowarzyszenie Psychologów Chrześcijańskich Ośrodka Pomocy Psychologicznej „Bednarska”.

Jak tam trafiłaś?

– **Joanna:** Ksiądz z Oazy kazał mi się zgłosić. Chodziłam na tę pseudoterapię przez trzy lata i trzy miesiące, kosztowała mnie ona mnóstwo kasy i energii. Miała mnie przygotować do małżeństwa.

Jak wyglądała?

– **Joanna:** Były sesje, po których czułam, że jestem beznadziejna. Od terapeutki ciągle dostawałam instrukcje, jak powinnam się zachowywać i co czuć, żeby być prawdziwą kobietą. A że mi się nie udawało, czułam się gorsza. To było trochę jak tresura, terapeutka dawała mi zadania domowe, które miały wyćwiczyć moją kobiecość. Mówiła mi nawet, w co się mam ubierać. Chodziłam więc na organizowane przez Oazę bale sylwestrowe, na które zakładałam jakieś straszliwe suknie z tafty. Czułam się jak przebieraniec. Kiedyś na ślub koleżanki, też z Oazy, poszłam w falbaniastej, długiej kiecce, a że nie umiałam chodzić na szpilkach, to niechcący nadepnęłam na spód sukienki i go porwałam. Pamiętam, jak nożyczkami do paznokci odcinałam w toalecie jakieś koronki czy falbanki. I śmieszno, i straszno. Dziś myślę, że jedyny efekt mojej terapii to dziwne ubrania i obcasy, które jeszcze przez kilka lat zalegały

mi w szafie, oraz ogromne poczucie winy, które zostało ze mną jeszcze dłużej.

Coraz więcej krajów zakazuje dziś terapii reparatywnej. Co o tym myślisz?

– **Joanna:** Absolutnie taki zakaz popieram. Ja byłam już dorosłą kobietą, a mimo to uległam tej manipulacji. Ostatecznie przecież, pod wpływem terapeutki, zdecydowałam się na małżeństwo. Tymczasem takiej pseudoterapii poddawani są nawet nastolatki i nastolatki. Jakie to spustoszenie musi wywoływać w ich głowie? Zgroza!

Ta terapeutka jeszcze pracuje?

– **Joanna:** Niestety tak. Publikuje nawet psychologiczne teksty w katolickich mediach.

Ile lat trwało twoje małżeństwo?

– **Joanna:** Cztery. Ostatni rok był już bardzo trudny, bo czuliśmy, że nasz związek to fikcja. Ale ciągle wmawialiśmy sobie, że jest inaczej. Pocieszałyśmy się, że tworzymy wyjątkową relację, bo przecież wielu średniowiecznych świętych decydowało się na białe związki. Podczas rekolekcji prowadziliśmy z mężem religijne warsztaty jako para. Wiem, że brzmi to jak totalna hipokryzja, ale myśmy nie byli hipokrytami. Po prostu w tej sferze Kościół zrobił nam wodę z móżgu.

– **Magdalena:** Ciekawe, jak wiele jest podobnych oazowych par.

– **Joanna:** Obawiam się, że całkiem sporo. Problem w tym, że za każdą z takich historii kryje się tragedia. Dodam, że gdy rozstawaliśmy się z mężem, przeszliśmy procedurę kościelnego unieważnienia ślubu. Orzeczone, że wina była po mojej stronie. Jako dowód posłużył między innymi fakt, że... przeszłam terapię reparatywną. Rozumiesz? Kościół pcha mnie na pseudoterapię, pod jej presją decyduję się na małżeństwo. A potem ta terapia jest dowodem, że nasze małżeństwo jest od początku nieważne. Tak czy siak ostatecznie okazało się, że w myśl prawa kanonicznego nigdy nie byłam żoną.

A wy w jakich okolicznościach się poznałyście?

– **Joanna:** Pod koniec mojego małżeństwa, którego nie było.

– **Magdalena:** Studiowałam wtedy jako drugi kierunek etnografię i w ramach pracy licencjackiej badałam nieistniejący już dziś warszawski klub LGBT Rasko.

Skąd taki pomysł?

– **Magdalena:** Namówili mnie na to przyjaciele geje, ale dziś myślę, że

miałam dodatkowe, ukryte motywacje, z których wtedy nie zdawałam sobie sprawy. W ramach zbierania materiału robiłam wywiady z pracownikami klubu, ale też gośćmi. Chodziłam tam co najmniej dwa razy w tygodniu. Pewnego dnia spotkałam Asię.

Serio? Aśka! Co, będąc oazową żoną, robiłaś w gejowsko-lesbijnym klubie?!

– **Joanna:** Nic strasznego, umawiałam się tam z kolegą organistą. Oczywiście gejem i oczywiście też z Oazy. Nie mówiliśmy sobie wprost, że jesteście homoseksualni. To się rozumiało między wierszami, ale oficjalnie szło się po prostu do fajnego klubu. Najwyraźniej jednak, będąc w takich miejscach, spełnialiśmy swoje ukryte potrzeby, marzenia.

Poczekaj, bo jednak nie rozumiem. Oazowi przyjaciele chodzą do klubu LGBT, ale udają, że ten klub wcale nie jest tęczyowy?

– **Joanna:** Możesz nie rozumieć, ale właśnie tak było. To była taka zaszyfrowana część życia. Pamiętam pewnego księdza, zresztą bardzo sympatycznego, który chłopakom z Oazy, na szczęście już dorosłym, rzucił: „Chodźcie na Koźlą, tam są fajne lokale”.

W latach 90. na Koźłej był słynny gejowski pub.

– **Joanna:** I wszyscy podobno o tym wiedzieli. Ja nie wiedziałam. Dziś rozumiem, że to był ukryty test, na zasadzie „kto ma wiedzieć, ten wie”. Ten ksiądz został zresztą niespodziewanie przeniesiony na inną parafię. Na jego miejsce przysłano innego, z bardzo ortodoksyjnym podejściem do życia. Kiedyś w czasie spowiedzi powiedziałam mu o swojej homoseksualności. Odpowiedział, że pod żadnym pozorem nie mogę o niej nikomu powiedzieć. No i długo nie mówiłam.

A ty, Magdo?

– **Magdalena:** Jak już mówiłam, z Joasią miałam zrobić wywiad do studenckiej pracy, tymczasem po uszy się w niej zakochałam. To uczucie to był prawdziwy „game changer”. Wcześniej nie określałam się jako osoba nieheteronormatywna, aż tu nagle miałam ochotę opowiedzieć wszystkim o Asi i o tym, co do niej czuję.

Mówiłaś wszystkim?

– **Magdalena:** Testowałam bezpieczeństwo comingoutu na przyjaciółkach. Przyjęli to dobrze. Gorzej z rodziną.

Twoi bliscy nie zaakceptowali Asi?

– **Magdalena:** Mama ją poznała jako przyjaciółkę i nawet bardzo ją

polubiła. Mniej więcej po dwóch latach naszego związku powiedziałam, że to moja partnerka. Mama zareagowała bardzo źle. Powiedziała, że się domyślała, ale że w tej sytuacji nie chce mnie więcej widzieć ani słyszeć. Brutalnie mnie odtrąciła i to odtrącenie trwa do dziś.

Musi być ci ciężko.

– **Magdalena:** Jest. Spotkałam się z nią niedawno, po wielu latach, z mojej inicjatywy. Pomyślałam, że skoro urodziłam jej wnuczkę, to może zmieni zdanie. Zetknęłam się z totalną ścianą. Usłyszałam od niej, że w mojej sprawie nigdy nie zmieni zdania i że jej decyzja jest ostateczna.

Co czułaś po tej rozmowie?

– **Joanna:** Mimo wszystko jakiś rodzaj ulgi. Mam poczucie, że zrobiłam wszystko, co mogłam, domknęłam rozdział. Na szczęście jestem w świetnych relacjach z przyrodnim rodzeństwem. Mam też kuzyrność, mniej więcej w wieku naszych rodziców, które samo z siebie zaproponowało, żeby nasze dzieci zwracały się do nich „babciu” i „dziadku”.

Joasiu, a jak było u ciebie w domu?

– **Joanna:** Przez pół roku też nie miałam z mamą kontaktu. Jej sprzeciw dotyczył mojego rozwodu, no bo jak to możliwe, że chcę zniszczyć tak fantastyczne małżeństwo. Później zapisała mnie i siebie do psychologa. Poszliśmy razem. Rozumiesz? Ja, trzydziestoletnia kobieta, w gabinecie psychologa z własną matką!

Zgodziłaś się pójść?

– **Joanna:** Zgodziłam się i paradoksalnie na dobre mi to wyszło. Pamiętam, że psycholożka najpierw poprosiła mnie, a później ją. Matka wyszła z gabinetu w szoku. „Wiesz, ta pani strasznie mnie opieprzyła, powiedziała mi, że bym ci dała żyć”. „I co, teraz dasz?”, zapytałam. „No, teraz już tak”.

W sumie dobry efekt.

– **Joanna:** W sumie tak.

– **Magdalena:** Ale to jeszcze nie był jej ostateczny coming out. Asia przez jakiś czas dbała, żeby jej mama nie wiązała rozstania z mężem i znajomości ze mną. Długo byłam więc po prostu przyjaciółką.

– **Joanna:** Później jednak wygadałam jej, że Magda nie ma kontaktu ze swoją matką. Moja mama bardzo się dziwiła, jak to, w końcu Madzia taka złota dziewczyna! Pytała, dlaczego tak się stało. „Bo jest lesbijką”, odpowiedziałam.

– **Magdalena:** Na co ona zapytała: „Rozumiem, córko, że ty też”. Tak wyglądał coming out mojej żony.

– **Joanna:** Pełna akceptacja zajęła mamie jeszcze trochę czasu. Dość powiedzieć, że nie przyjechała na nasz ślub. Ale już po nim, a zwłaszcza po tym, gdy się urodziło nasze pierwsze dziecko, uznała Magdę za pełnoprawnego członka rodziny.

– **Magdalena:** Powiedziała nawet, że jeśli chcę, mogę do niej mówić „mamo”. Było to dla mnie strasznie ważne.

– **Joanna:** Dziś mama mówi o Magdzie „córka”. Dodaje czasem, że najporządniejsza, jaką ma.

– **Magdalena:** Serio? Nie wiedziałam!

– **Joanna:** No tak, ja i moja siostra zawsze trochę rozrabiałyśmy, tymczasem ty jesteś taka spokojna. Mama musiała jednak do tego dojrzeć. Myślę, że gdyby nie mój wcześniejszy ślub, wszystko poszłoby łatwiej i szybciej.

A jak dojrzewałyście do decyzji o tęczowym macierzyństwie?

– **Magdalena:** Jak już mówiłam, zawsze chciałam mieć dzieci, i gdy spotkałam Asię, nic się pod tym względem nie zmieniło. Po tym, gdy się poznałyśmy, wyjechałam za granicę na półroczny unijny program. Traf chciał, że na tym wyjeździe poznałam Słowenkę, która pisała pracę magisterską na temat lesbijskiego macierzyństwa. Udostępniła mi materiały na ten temat, co dla mnie, dziewczyny z Polski, było sporą nowością. Strasznie się podjarałam, że my też możemy mieć dzieci. Długo rozmawiałam o tym z Asią.

– **Joanna:** Przyznam, że początkowo byłam sceptyczna. Zastanawiałam się, czy w społeczeństwie, w jakim żyjemy, to w ogóle możliwe. Bardzo pomogło nam poznanie w Wierze i Tęczy pary dziewczyn, które zdecydowały się na macierzyństwo. Były dla nas przewodniczkami.

– **Magdalena:** I tak w roku 2018 urodził się nam syn, a dwa lata później córka.

Tęczowe macierzyństwo to w Polsce dla wielu ciągle nowość, momentami nawet sensacja. Opowiecie trochę o nim?

– **Magdalena:** Pary jednopłciowe, które się decydują na dziecko, mają w Polsce kilka możliwości, oczywiście wszystkie są nieformalne. Najmniej kontrowersji budzi sytuacja, gdy dwie matki wychowują biologiczne dziecko z małżeństwa jednej z nich. Inny model to adopcja, której dokonuje jedna z będących w jednopłciowym związku osób, oficjalnie występując jako singiel lub singielka. W praktyce jest ona trudna do przeprowadzenia.

– **Joanna:** Można też wyjechać za granicę, np. do Niemiec albo Czech, i skorzystać z banku spermy. Oczywiście zdarzają się też sytuacje, że ktoś, całkowicie poza systemem, kupuje materiał genetyczny w internecie. Wszystkie te rozwiązania mają jednak dużo wad.

– **Magdalena:** Nam bardzo zależało, by dzieci znały tatę. Obie miałyśmy fantastycznych ojców i nie chciałyśmy podobnego doświadczenia pozbawiać naszych dzieci.

– **Joanna:** Nie ma co też ukrywać, że myślałyśmy też o sprawach praktycznych. Co będzie, jeśli dziecko kiedyś zachoruje i trzeba będzie zrobić ojcu test genetyczny? Albo szukać dawcy nerki? Trzeba też wziąć pod uwagę scenariusz, co zrobić, gdy biologiczna matka nie daj Boże umrze. Druga matka, tak zwana społeczna, staje się wtedy dla dziecka zupełnie obcą osobą!

– **Magdalena:** Dzięki temu, że ojciec naszych dzieci uczestniczy w ich życiu, mogłyśmy zawrzeć z nim układ, że w razie takiej sytuacji on weźmie ślub cywilny z matką społeczną i w ten sposób dziecko będzie miało zapewnioną opiekę.

Rozumiem, że wasze dzieci znają ojca.

– **Magdalena:** Nawet noszą jego nazwisko. Ich ojciec jest gejem, który, podobnie jak my, chciał mieć dzieci. Utrzymuje z nami bliski kontakt, jego mama jest dla dzieci babcią. Zarówno syn, którego urodziła Joasia, jak i córka, którą urodziłam ja, mają wspólnego tatę, czyli są biologicznym rodzeństwem.

– **Joanna:** Dla osób nieznających tęczącej rzeczywistości to wszystko może się wydawać nieco dziwne. Tymczasem dla nas to odpowiedź na podstawowe dylematy związane z troską o przyszłość dzieci. Dużą część z nich rozwiązałyby możliwość adopcji przez pary jedнопłciowe. W Polsce nie ma jednak na to zgody.

Rzekomo zresztą w imię dobra dzieci.

– **Magdalena:** Tymczasem w rzeczywistości państwo krzywdzi nasze dzieci, nie zapewniając im podstawowych praw.

Chcę wam zadać pytanie, ale się boję, że nie powinienem. Skoro jednak rozmawiamy szczerze, to się odważę. Czy ma dla was znaczenie, które dziecko jest biologiczne, a które społeczne?

– **Magdalena:** Absolutnie nie. Oboje są po prostu naszymi dziećmi.

– **Joanna:** Wydaje nam się jednak, że dziecko jakoś wyczuwa, która mama je urodziła. Może w jakiś nieuświadomiony sposób pamięta, która z nas je karmiła piersią? Albo z nim spała, gdy było malutkie?

– **Magdalena:** Inna sprawa, że naszym dzieciom mówimy wprost, że jedno było w brzuszku mamy Asi, a drugie w brzuszku mamy Magdy.

Czy macierzyństwo zmieniło wasz związek?

– **Magdalena:** Jesteśmy szczęśliwe, choć czasem bardzo zmęczone. Wychowanie dzieci, między którymi jest mała różnica wieku, bywa trudne. Zwłaszcza że nasze są wyjątkowo energiczne.

– **Joanna:** Podam przykład. Odbieram je kilka dni temu ze żłobka i przedszkola, a one, wsiadając do samochodu, mówią do siebie: „To co, bijemy się?”.

– **Magdalena:** Przy czym nie robią tego w złości, chcą się po prostu bić dla sportu.

Myślę, że podobne problemy ma wielu rodziców.

– **Magdalena:** No oczywiście! Wiesz, odkąd są dzieci, mamy więcej wspólnych tematów z innymi rodzicami niż z osobami LGBT+. Nawet w internecie wchodzi częściej na grupy o wychowaniu dzieci niż na fora tęczowe.

– **Joanna:** Czujemy się jak wszyscy rodzice. To, że jesteśmy dwiema matkami, zeszło na dalszy plan.

Ochrzciliście swoje dzieci?

– **Joanna:** Jesteśmy wierzące. Dlaczego miałyśmy nie ochrzcić?

Choćby dlatego, że niejeden ksiądz mógłby wam odmówić sakramentu.

– **Magdalena:** Na szczęście znalazłyśmy superksiędza w przyjaznym kościele, który nie należy do żadnej parafii.

Nie robił problemów?

– **Magdalena:** Nie robił. W trakcie ceremonii pozwolił nam stanąć przy ołtarzu we trójkę: my dwie oraz tata. Zastanawiałam się, jak się zachować w momencie, gdy ksiądz poprosi, by rodzice zrobili na czołe dziecka znak krzyża. Ksiądz ograł to fantastycznie, bo powiedział: „A teraz rodzice i rodzina zrobią znak krzyża”.

Chrzest w parafii nie wchodził w grę?

– **Magdalena:** Nie wchodził. Zwłaszcza że miałyśmy z proboszczem trudne doświadczenie. Byłyśmy zaangażowane w życie parafii, zorganizowałyśmy nawet przy kościele jarmark dobroczynny. Miałyśmy wrażenie, że ksiądz nas ceni i lubi. Gdy przyszedł po kołędzie, zdobyłyśmy się na odwagę i powiedziałyśmy mu, że jesteśmy parą.

Jak zareagował?

– **Joanna:** Spalił buraka i właściwie nic nie powiedział. Po jakimś miesiącu wezwał mnie jednak do kancelarii. W trakcie rozmowy powiedział wprost, że nie chce, byśmy się więcej w cokolwiek u niego angażowały.

Bo?

– **Joanna:** Siejemy publiczne zgorszenie wśród parafian.

Jak się poczułaś?

– **Joanna:** To był cios. Po wszystkich latach zaangażowania w życie Kościoła poczułam się bardzo zraniona.

– **Magdalena:** Obie to przeżyłyśmy. Dlatego dziś, gdy mówię „Kościół”, myślę o Wierze i Tęczy, w której odnalazłyśmy wspólnotę, oraz o tym uroczym miejscu, gdzie ochrzciłyśmy dzieci i do którego teraz chodzimy na niedzielne msze. Innych kościołów unikamy. Nie chcemy się narażać na zranienie.

Rozumiem, że dzieci wychowujecie po katolicku.

– **Magdalena:** Oczywiście, choć one rozumieją wiarę na swój dziecięcy sposób. Niedawno, gdy przechodziłam z synem obok ulicznego krzyża, rzucił Jezusowi tekst: „Miłego weekendu!”. Od kilku tygodni w każdą niedzielę czytam mu Biblię dla dzieci. Wczoraj powiedział: „Tylko już nie mów o tym, jak Pan Jezus umarł!”. Ostatnio powiesiłyśmy też w ich w pokoju obrazek z Matką Boską i małym Jezuskiem. Syn wypytywał, kto to jest, w końcu zapytał: „A jak się nazywa tata Jezusa?”. „Pan Bóg!”, odpowiedziałam. Strasznie się zdziwił.

Mogłaś jeszcze dodać, że Jezus ma też drugiego ojca, Józefa.

– **Magdalena:** Rzeczywiście. Kurczę, nie pomyślałam, że Święta Rodzina też była nienormalna!

PRZEWAŻYŁ ARGUMENT MIŁOŚCI



Izabella i Marcin

rodzice transpłciowego syna

Izabella – psycholożka, seksuolożka w trakcie certyfikacji, certyfikowana psychoterapeutka Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Studiowała na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pracowała także jako psycholog szkolny i nauczyciel. Współpracowała z organizacjami pozarządowymi, prowadząc warsztaty i treningi oraz konsultacje indywidualne. Zajmuje się m.in. diagnozą transpłciowości.

Marcin – lekarz ginekolog-położnik, absolwent Akademii Medycznej w Lublinie. Działacz Fundacji Wiara i Tęcza, członek Kongresu Katoliczek i Katolików, gdzie m.in. pracuje w grupie roboczej „Spojrzenie na małżeństwo i związki partnerskie”. Jest współautorem raportu „LGBT + Kościół. Analiza sytuacji osób LGBT+ w Kościele rzymskokatolickim w Polsce i wynikające z nich proponowane rozwiązania”.

Mają dwoje dzieci. 17-letniego Maxa i 10-letnią Nadię.

Nastolatek LGBT+, który widzi, że rodzice stoją za nim murem, czuje się bezpieczniej, więc zyskuje pewność siebie i łatwiej wchodzi w relacje rówieśnicze. Dzięki temu może przerwać błędne koło wykluczenia i samowykluczenia.

Max nie mógł przystąpić do bierzmowania, bo nie pozwolono mu stanąć razem z chłopcami i wybrać męskiego imienia.

Nauczanie Kościoła nie może być sprzeczne z nauką Jezusa. A on głosił miłość. Nie można wymachiwać sztandarem miłosierdzia, waląc nim ludzi po głowach tylko dlatego, że Pan Bóg stworzył ich inaczej niż nas.

Kiedy się dowiedzieliście, że macie syna?

– **Iza:** Max powiedział nam, że jest chłopcem, gdy szedł do czwartej klasy.

Wcześniej zero podejrzeń? Żadnych sygnałów?

– **Iza:** Patrząc z perspektywy czasu, uświadamiamy sobie, że subtelne sygnały były już wcześniej, ale ich nie zauważaliśmy. W wieku 10 lat Max zaczął pewne potrzeby komunikować wprost. Na wczasach w górach spytał nas, czy może chodzić bez koszulki. Dziewczynki w jego wieku już się raczej tego wstydziły, ale ponieważ jego ciało nie przejawiało jeszcze oznak dojrzewania, nie robiliśmy problemów. Trochę nas jedynie zaskoczył poziom satysfakcji, jaki mu to sprawiło.

– **Marcin:** Tymczasem on wiedział, że chłopcy mogą chodzić bez koszulki i chciał robić tak samo.

– **Iza:** Po powrocie z wakacji poszliśmy z nim do sklepu na zakupy ubraniowe przed nowym rokiem szkolnym. Poprosił, żeby mu kupić ciuchy w dziale chłopięcym. „Bo ja taka chłopczyca jestem”, tłumaczył ekspedientkom. Znow się zgodziliśmy.

– **Marcin:** Dziś myślę, że w ten sposób nas testował, badał reakcję. Gdy zobaczył, że akceptujemy jego potrzeby, zaczął zmieniać zaimki na męskie. Później poszło błyskawicznie: zrezygnował z żeńskiego imienia i powiedział nam, że się czuje chłopakiem.

– **Iza:** Po latach przypomniawszy nam się jeszcze jedno zdarzenie. Gdy miał przystąpić do pierwszej komunii, pytał, czy musi iść do kościoła w sukience. Nie było innej możliwości, więc w niej poszedł. Nie zwróciliśmy wówczas na to specjalnej uwagi, zwłaszcza że jego opór nie był intensywny.

Jak zareagowaliście, kiedy postawił kropkę nad i, robiąc coming out?

– **Marcin:** Nie byliśmy do końca na to przygotowani. Nie znaleźmy nikogo ze społeczności LGBT+, o transpłciowości też mało wiedzieliśmy. Zaczęliśmy studiować temat, pytać specjalistów, czytać książki. Było nam łatwiej, bo ja jestem lekarzem, a Iza psychologiem. Wiedzieliśmy, że powinniśmy się oprzeć na wiedzy naukowej, a nie ideologicznych uprzedzeniach.

– **Iza:** Ale nie myśl, że było łatwo. Na początku dużo przeplakałam, bałam się, czy jako matka sobie z tym poradzę. Miałam też lęk, że syn będzie w życiu nieszczęśliwy. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że żadna tożsamość płciowa nie determinuje poczucia szczęścia czy nieszczęścia.

– **Marcin:** Max ma taki charakter, że działa błyskawicznie.

– Tłumaczyliśmy synowi, że potrzebujemy czasu na tę całą zmianę, że możemy się jeszcze mylić, używając żeńskich zaimków czy starego imienia.

Nie mieliście wątpliwości, jak się zachować?

– **Marcin:** Od początku byliśmy akceptujący. Iza jako psycholożka powiedziała, że w takich przypadkach należy podążać za dzieckiem. Nie negować jego tożsamości i towarzyszyć mu w jej eksploracji. Od specjalistów dowiedzieliśmy się, że należy też akceptować potrzeby dziecka, takie jak „chłopięce” zabawy, strój czy używane zaimki.

– **Iza:** Później trzeba też delikatnie wprowadzać temat konsekwencji decyzji o tranzycji. Nie po to, żeby przestraszyć, ale uświadomić. Rozmawialiśmy więc zarówno o korzystnych zmianach, ale też przygotowaliśmy na trudności. Ważne jest też wsparcie psychoterapeutyczne. Wiedzieliśmy, że nasz syn jest młody i że się rozwija, a część literatury naukowej twierdzi, że dysforia płciowa⁴⁴ z okresu nastoletniego czasem się cofa. Byliśmy więc otwarci na to, co się stanie w jego przypadku.

Powiedzcie szczerze – nie mieliście trochę „nadziei”, że transpłciowość zniknie?

– **Iza:** Ja na początku miałam, ale dość szybko mi przeszło. Gdy widziałam cierpienie Maksa, moje myślenie się zmieniło. Już nie zależało mi, żeby koniecznie mieć córkę, ale żeby moje dziecko było szczęśliwe. Widziałam, ile bólu rodzi u niego lęk przed nieakceptacją ze strony otoczenia, a jednocześnie ile radości i szczęścia przynoszą mu sytuacje, gdy inni uznają jego tożsamość. Zrozumiałam, że nie mogę chcieć dla niego mojej wizji „dobra”, które jest źródłem cierpienia.

– **Marcin:** U syna dysforia była zresztą tak silna, że dość szybko pozbyliśmy się złudzeń, że kiedyś poczuje się dziewczynką.

Niektórzy mówią, że rodzice transpłciowego dziecka muszą przeżyć fantomową żałobę po „synu”, który okazuje się córką, lub odwrotnie.

– **Iza:** My tego etapu nie przechodziliśmy. Może dlatego, że Max w zasadzie nie funkcjonował jako kobieta, gdy nam się ujawnił, widzieliśmy w nim jeszcze po prostu dziecko. Ale pewien rodzaj straty chyba odczuwaliśmy, pamiętam, że dla Marcina trudnym momentem było ścięcie przez Maksa włosów na krótko. Jednak nie było tego dużo, znacznie więcej czuliśmy lęku o to, jak syn sobie poradzi w nieprzyjaznym

⁴⁴ Dysforia płciowa – cierpienie czy dyskomfort związane z rozbieżnością między płcią przypisaną a odczuwaną tożsamością płciową.

świecie. Zastanawialiśmy się, w jakie narzędzia go wyposażyć, żeby mógł iść bezpiecznie przez życie. Oczywiście pojawiała się pokusa, by wziąć go pod klosz i jak najdłużej pod nim chronić. Ale taka nadmierna troska odbiera siłę i sprawczość, a tego nie chcieliśmy.

– **Marcin:** Dość wcześnie zdecydowaliśmy, że powinniśmy skorzystać z porad specjalistów. Pojechalśmy do psychiatry, seksuolożki, psychologa. Świadomie wybieraliśmy osoby, które są otwarte na temat transpłciowości i mają w tej dziedzinie rzetelną wiedzę.

– **Iza:** Miałam dużo łatwiej niż inni rodzice, bo akurat byłam w trakcie kursu seksuologicznego. Odbywa się tam diagnoza osób transpłciowych, więc miałam bezpośredni dostęp do dobrych specjalistów.

– **Marcin:** Ze względu na to, że Max ujawnił się wcześniej, kwestia transpłciowości nałożyła się u niego czasowo na proces dojrzewania, który sam w sobie jest burzliwy. Impulsywność, bunt, czasem agresja – to reakcje, które się pojawiają u większości nastolatków. U nas te trudności były spotęgowane.

– **Iza:** Po prostu mieliśmy w domu takie kombo.

Jak sobie z nim radziliście?

– **Iza:** Miałam pewien kłopot z tym, że moja wiedza fachowa nakładała mi się na kompetencje rodzicielskie. Czulałam, że jako psycholożka powinnam ze wszystkimi tymi emocjami i trudnościami poradzić sobie sama. W dodatku chciałam znać na wszystko odpowiedź. Specjaliści pomogli mi to porozdzielać. Ja dla Maksa jestem przede wszystkim mamą. Zrozumiałam, że mam prawo do rodzicielskich emocji i słabości. Nie mogę na siebie brać zbyt dużo, bo to zbyt trudne i obciążające. Trzeba korzystać z profesjonalnej pomocy osób, które w takich sytuacjach mają większy dystans.

Myślę sobie, że wasz syn miał megaszczęście, że jego rodzice to lekarz i psycholożka. Opowiecie, jak się poznaliście?

– **Marcin:** To było jeszcze w czasie studiów w Lublinie. Ja studiowałem medycynę, a Iza psychologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pierwszy raz spotkaliśmy się na pieszej pielgrzymce do Częstochowy w 1994 r. To była moja pierwsza pielgrzymka.

– **Iza:** Moja już chyba piąta. Pobraliśmy się kilka lat później, też na pielgrzymce. Bardzo symboliczne to było.

Jak taki ślub na pielgrzymce wyglądał?

– **Marcin:** Na ceremonię wybraliśmy stałe miejsce Eucharystii na trasie, w lesie pod Włoszczową. Ślub był z samego rana, we mszy brało udział około 2 tys. pielgrzymów.

– **Iza:** Było magicznie. Wyobraź sobie ołtarz w plenerze ozdobiony polnymi kwiatami, dywan z mchu i liści. Brzozy przypominały mi najpiękniejsze kolumny, do tego zapach lasu i setki świadków.

– **Marcin:** Dziś już tego lasu nie ma...

Rodzina przyjechała?

– **Marcin:** Tak, autokarem. Żeby zdążyć, musieli wyjechać o trzeciej rano, potem zostali jeszcze z nami chwilę na krótkim pikniku. Wesele dla rodziny i znajomych zrobiliśmy po powrocie do domu. Mnie i Izę od początku mocno łączyło zaangażowanie religijne. Należeliśmy do charyzmatycznej wspólnoty studenckiej, potem też do innych wspólnot i grup modlitewnych. Obecnie kontynuujemy nasze zaangażowanie w Kościele we wspólnocie parafialnej. Prowadzimy modlitwy uwielbienia, posługujemy muzycznie. Jesteśmy jednymi z liderów tej grupy.

Wróćmy na chwilę do waszych studiów. Czego was na nich uczyli o osobach LGBT+?

– **Marcin:** Niczego.

Jak to?

– **Marcin:** To była druga połowa lat 90. Wprawdzie w USA homoseksualność wykreślono z listy chorób w 1973 r., ale Światowa Organizacja Zdrowia zrobiła to dopiero w 1990 r. Z kolei transpłciowość w najnowszej klasyfikacji medycznej ICD-11⁴⁵ nie jest już traktowana jako zaburzenie psychiczne. Gdy się to wszystko weźmie pod uwagę, trudno się dziwić, że 30 lat temu temat homoseksualności czy transpłciowości traktowany był na naszych uczelniach marginalnie.

Homofobicznych treści też nie pamiętacie?

– **Iza:** Zupełnie nie. Mam wrażenie, że na KUL-u unikano tematu.

To duża różnica w stosunku do tego, co ma miejsce dziś, gdy KUL często prezentuje homofobiczne postawy.

– **Iza:** Rzeczywiście, w moich czasach uczelnia była zdecydowanie bardziej otwarta. Co nie zmienia faktu, że o osobach LGBT+ niczego mnie tam nie nauczono.

Po studiach przeprowadzacie się w okolice Puław. Kiedy rodzi się Max?

⁴⁵ Amerykańska klasyfikacja chorób DSM-5 zrobiła to w 2013 r. Warto dodać, że formalnie ICD-11 weszła w życie 1 stycznia 2022 r., jednak Polska (podobnie jak wiele innych krajów) korzysta z prawa do jej wdrożenia w ciągu pięciu lat.

– **Iza:** Siedem lat po ślubie, dziś ma więc prawie 17, a córka, Nadia, 10 lat.

– **Marcin:** Gdy syn się ujawnił, Nadia miała cztery lata. Nigdy nie mieliśmy z nią tak zwanej poważnej rozmowy na temat jego tożsamości. Ona po prostu wzrastała z bratem, który był transpłciowy. Przyjęła to bardzo normalnie.

– **Iza:** Bo równocześnie od niczego jej sztucznie nie izolowaliśmy, wchodziła w temat naturalnie, choćby słysząc nasze rozmowy o Maksie z babcią czy przyjaciółmi. O tym, jak postrzega sytuację Makska, przekonaliśmy się przypadkiem. W wieku pięciu lat Nadia trafiła do szpitala, gdzie przechodziła zabieg. Pani doktor z zyczliwości zadała jej standardowe pytanie, czy ma siostrzyczkę albo braciszka. Nasza kilkuletnia córka odpowiedziała jej, że w zasadzie to ma brata, chociaż ktoś mógłby błędnie pomyśleć, że to siostrzyczka. Po czym zrobiła jej niemal profesjonalny wykład na temat transpłciowości. Lekarka przecierała oczy ze zdumienia, ja zresztą też. Tymczasem Nadia w zupełnie naturalny sposób przeszła do opowiadania, że Max jest czasem całkiem fajny, a innym razem bywa wkurzający. Bardzo się wtedy wzruszyłam.

Dzieci są z natury otwarte?

– **Iza:** Owszem, tego w zasadzie nie musimy ich uczyć. Problem w tym, że często uczymy je uprzedzeń.

Dopytam jeszcze o coming out syna.

– **Marcin:** Gdy miał 10 lat, po wakacjach chciał iść do szkoły już jako chłopak. Uznaliśmy, że powinniśmy oswoić z tematem rodzinę, szkołę i jego rówieśników.

– **Iza:** Znajomi pytali, czy akceptując tożsamość Makska, nie robimy mu krzywdy. Czy nie wzmacniamy jego niewłaściwych odczuć? A może lepiej przeczekać, bo dziecko po prostu podąża za modą?

Co odpowiadaliście?

– **Iza:** Tłumaczyliśmy spokojnie, co na ten temat mówi aktualna wiedza naukowa. Po pierwsze, nie ma szans, żeby zewnętrznym zachowaniem wywołać lub wzmocnić u kogoś transpłciowość. A co do mody? Transpłciowość niesie ze sobą tak duże ryzyko wykluczenia, że nastolatkom, którym szczególnie zależy na akceptacji grupy rówieśniczej, zwyczajnie się to nie kalkuluje. Nikt by się na to nie narażał, a jeśli nawet, to nie wytrwałby w tym zbyt długo. Straty byłyby zbyt duże i bolesne.

– **Marcin:** Gdy to sami zrozumieliśmy, było nam z tym łatwiej wyjść do innych. Mówiliśmy z przekonaniem, że nasze dziecko jest chłopcem

i że prosimy o używanie odpowiedniego imienia czy właściwych zaimek. Podpieraliśmy się fachową wiedzą, przytaczaliśmy stanowiska towarzystw psychologicznych. Ale chyba najwięcej wygrywaliśmy naszą naturalnością i spokojem. No bo skoro my, jako rodzice, nie robimy z tego wielkiego halo, to dlaczego mają to robić inni?

– **Iza:** Najbardziej baliśmy się o dziadków, zastanawialiśmy się, czy jako przedstawiciele starszego pokolenia rozumieją to i zaakceptują. W ich przypadku mniejsze znaczenie miały jednak argumenty racjonalne, bo przeważał jeden argument, czyli miłość do wnuka.

Ktoś z bliskich zareagował negatywnie?

– **Iza:** W zasadzie nie. Pamiętam, że ktoś z dalszej rodziny mówił coś o fanaberii i kaprysie, ale z czasem to stanowisko zaczęło się zmieniać.

A jak się zachowali rówieśnicy?

– **Marcin:** Syn w znacznej mierze sam wprowadzał ich w temat. Okazało się, że dzieci nie mają z tym problemu, wszystko przyjmują bardzo naturalnie.

– **Iza:** Uznaliśmy jednak, że szkołę musimy przygotować bardziej profesjonalnie niż tylko przez prywatne rozmowy. Przecieraliśmy szlaki, ale było nam łatwiej, bo wcześniej pracowałam w tej szkole jako psycholożka. W związku z tym nauczyciele mi ufali.

– **Marcin:** Postanowiliśmy zorganizować w szkole trzy spotkania, na które zaprosiliśmy psycholożkę i seksuolożkę, specjalistkę w tym temacie.

Dlaczego trzy?

– **Iza:** Jedno dla klasy Maksa, drugie dla nauczycieli, a trzecie dla rodziców. Na to ostatnie nikt nie przyszedł.

A na pozostałe?

– **Marcin:** Szczegółów tych spotkań nie znamy, bo zdecydowaliśmy, że ani syn, ani my nie będziemy w nich uczestniczyć. Uznaliśmy, że dzięki temu rozmowa będzie dużo swobodniejsza.

– **Iza:** Jedną z nielicznych informacji zwrotnych, jaką dostaliśmy, była taka, że uczniowie przyjęli wszystko najbardziej naturalnie. Jednocześnie to spotkanie było im bardzo potrzebne. Syn był wtedy mocno wycofany, a zarazem drażliwy, a bywało, że agresywny. Koleżanki i koleżdy z klasy nie do końca wiedzieli, dlaczego tak się dzieje. Po spotkaniu lepiej go zrozumieli. Zresztą informacja, że Max bywa trudny, nam też pomogła. To bardzo ważne, bo w tym wieku dziecko wyjątkowo mocno

potrzebuje akceptacji ze strony rówieśników. Chce się czuć członkiem stada, a kiedy to stado je odrzuca, bardzo cierpi. Stres mniejszościowy związany z orientacją seksualną lub tożsamością płciową może powodować niepewność siebie i wzmacniać lęk utrudniający wejście w relacje rówieśnicze. To działa jak samospełniająca się przepowiednia – dziecko myśląc, że jest inne i grupa go nie chce, unika kontaktów. Grupa to widzi i w związku z tym też się dystansuje lub odrzuca, a ono, w związku z tym, jeszcze bardziej się zamyka na kontakty poprzez wycofanie i drażliwość. Wiadomo, że tam gdzie jest lęk, często pojawia się agresja. W efekcie mamy do czynienia z błędnym kołem. Dlatego na tym etapie tak ważne są wsparcie i akceptacja ze strony najbliższych. Nastolatek LGBT+, który wie, że rodzice stoją za nim murem, czuje się bezpieczniej, więc zyskuje pewność siebie i łatwiej wchodzi w relacje rówieśnicze. Dzięki temu może przerwać to wspomniane błędne koło wykluczenia i samowykluczenia.

A jak spotkanie ze specjalistką przyjęło grono pedagogiczne?

– Tak jak mówiłam, o szczegóły nie wypytywaliśmy. Wiemy jednak, że potem wszyscy nauczyciele Maksa zwracali się do niego w rodzaju męskim. Jedynym wyjątkiem był ksiądz katecheta.

– **Rozmawialiście z nim?**

Tak. Prosimy, by przynajmniej używał form bezosobowych. To było o tyle ważne, że syn był wtedy bardzo zaangażowany religijnie, przeżywał swoją wiarę, dużo się modlił.

Ksiądz postuchał?

– Nie zdążył, bo przyszła pandemia i lekcje religii odbywały się zdalnie lub w ogóle. Ale to właśnie wtedy, gdy zaczęły się problemy z katechetą, zauważyliśmy, że Maksowi coś w relacjach z Kościołem zaczyna zgrzytać. Drugi taki moment nastąpił, gdy nie mógł przystąpić do bierzmowania.

Jak to nie mógł?

– **Iza:** Nie pozwolono mu stanąć razem z chłopcami i wybrać męskiego imienia.

– **Marcin:** Przykra historia. Poszedłem w tej sprawie do proboszcza, którego dobrze znałem ze względu na nasze zaangażowanie w życie parafialne. Ksiądz potraktował mnie życzliwie, wysłuchał z uwagą, ale widać było, że jest rozdarty i nie wie, jak ma się zachować. Po jakimś czasie wróciliśmy z nim do tematu i ustaliliśmy pewien kompromis. Otóż

Max miał nie przybierać nowego imienia, ani żeńskiego, ani męskiego, lecz pozostać przy imieniu chrzcielnym. Mógł też stanąć po stronie chłopaków. Syn po namyśle taki układ zaakceptował, przekonaliśmy go, że imię, które dostał na chrzcie, wiąże go z jego patronką. Proboszcz zapowiedział, że o tym naszym ustaleniu porozmawia jeszcze w kurii.

I jak znam życie, wtedy zaczęły się schody.

– **Marcin:** Owszem. Powołując się na przełożonych, zaczął się z tych ustaleń wycofywać. Zasugerował, że cała sytuacja może wprowadzić zamęt wśród parafian.

Powiedziałeś o tym Maksowi?

– **Marcin:** Musiałem. Gdy się dowiedział, że z kompromisu nici, zrezygnował z bierzmowania. Uznałem, że ma prawo do takiej decyzji, nie naciskałem.

A proboszcz?

– Chyba odetchnął z ulgą.

Poczekajcie, bo coś mi tu nie gra. Nastolatek chce przystąpić do bierzmowania, problemem jest to, jakiego patrona wybierze w czasie sakramentu i w którym miejscu kościoła będzie stał. To są sprawy w najlepszym razie czwartorzędne. I gdy się okazuje, że tych kłopotów nie da się ominąć, proboszcz się cieszy, że młody parafianin zrezygnował z sakramentu?

– **Marcin:** Nie wiem, czy się cieszył, raczej było mu trochę na rękę, że problem zniknął. Przy okazji dał nam kontakt do ośrodka w Lublinie prowadzącego tzw. terapię reparatywną⁴⁶.

– **Iza:** Ksiądz życzliwie nas wysłuchał, ale swego stanowiska nie zmienił, Oczywiście z otrzymanego adresu nigdy nie skorzystaliśmy i nie skorzystamy.

– **Marcin:** Całej sytuacji nie uznaliśmy za dramat. Uważam, że większość młodych ludzi przyjmuje sakrament bierzmowania bezrefleksyjnie. Może czasem lepiej z tym poczekać i ewentualnie kiedyś przystąpić do bierzmowania bardziej świadomie.

– **Iza:** Ja w tej sprawie mam w sobie więcej goryczy niż Marcin. Uważam, że gdy ktoś chce przystąpić do bierzmowania, trzeba zrobić

⁴⁶ „Terapia reparatywna” – pseudoterapia, której celem ma być zmiana orientacji psychoseksualnej lub tożsamości płciowej. Specjaliści nie mają wątpliwości, że jej założenia są sprzeczne z wiedzą naukową, jest nieskuteczna i przynosi szkody psychologiczne. W Polsce psychologowie prowadzący tę pseudoterapię związani są głównie z Kościołem rzymskokatolickim.

wszystko, by mu to umożliwić. Niestety po tym całym wydarzeniu Max poczuł duży dysonans, przestał się modlić, odwrócił się od wiary. Dziś twierdzi, że jest niewierzący.

Co wy na to jako rodzice?

– **Iza:** Uznaliśmy, że to przejaw jego dojrzałości, który powinniśmy uszanować.

To ciekawe, bo bierzmowanie nazywane jest właśnie sakramentem dojrzałości.

– **Iza:** Myślę, że w jego przypadku dojrzałością była rezygnacja z bierzmowania. Nie cieszy nas fakt, że nasz syn nie przyjął sakramentu. Ale to, że zaczął krytycznie przeżywać swoją wiarę, uważam za przejaw świadomego dorastania i poszukiwania siebie. Jeśli wiara ma być zintegrowana, to niezbędne jest krytyczne myślenie i nieprzyjmowanie wszystkiego, co inni narzucają i uznają za słuszne. To ma być świadomy i dobrowolny wybór. Nam nie zależy na tym, żeby Max za wszelką cenę przyjął sakrament. Zależy nam, by on i inne osoby LGBT+ miały poczucie, że są w Kościele akceptowane i mają w nim takie same prawa jak wszyscy.

Czy po tym wszystkim ksiądz zmienił swój stosunek do was?

– **Marcin:** Chyba nie. Nadal jesteśmy w Kościele, współprowadzimy parafialną grupę uwielbienia, angażujemy się w liturgię.

– **Iza:** Przy okazji dając świadectwo, czasem w dość nietypowy sposób. W pandemii Marcin zaczął chodzić w tęczowej maseczce. Ksiądz dyskretnie poprosił, żeby jej w kościele nie używał, bo parafianie się gorszą.

Powiedział kto konkretnie?

– **Marcin:** Nie powiedział. Ale mu wierzę, że rzeczywiście mogli być komentarze.

Z tęczowej maseczki w końcu zrezygnowałeś?

– **Marcin:** Wydaje mi się, że poszliśmy na nieformalny układ. Ja powiedziałem, że mogę jej do kościoła nie zakładać, ale jednocześnie poprosiłem, żeby on w swoich homiliach nie wyrażał negatywnych sformułowań dotyczących osób LGBT+. Choćby dlatego, że w Kościele są też tacy wierni i ich bliscy.

Posłuchał?

– **Marcin:** Chyba tak. Od tego czasu niczego negatywnego pod adresem osób LGBT+ w jego kazaniach nie słyszałem.

– **Iza:** Wiesz, to są takie nasze małe świadectwa. Wierzymy, że one też mają znaczenie. Dla wielu ludzi wierzących połączenie naszych poglądów z zaangażowaniem religijnym jest trudne do pomieszczenia. Pokazujemy im, że w Kościele powinno być miejsce na różnorodność.

– **Marcin:** Przed swoją wspólnotą parafialną nie ukrywam, że angażuję się w działalność Wiary i Tęczy, a także Kongresu Katoliczek i Katolików⁴⁷. Trochę im komplikujemy świat, ale uważam, że to dobrze. Zresztą wielu wierzących chciałoby zmian w Kościele. Ale skoro nie znają nikogo, kto myśli tak jak oni, to siedzą cicho.

Czy doświadczenie z Maksem zmieniło wasze podejście do Kościoła?

– **Marcin:** U mnie wzmocniło potrzebę zmieniania go od wewnątrz.

– **Iza:** Ja z kolei próbuję ułożyć sobie moją obecność w Kościele na nowo. Coraz częściej się zastanawiam, czy chcę być w miejscu, w którym jestem. Jednak na razie szukam odpowiedzi na moje dylematy, będąc w środku. Czasem pozostawanie w Kościele wydaje się trudne, ale odejście wcale nie jest łatwiejsze. Wzrastałam w tej wierze od dziecka, to w Kościele katolickim doświadczyłam osobowej relacji z Bogiem. Nie chcę z tego rezygnować.

– **Marcin:** Mimo obecnych trudności mamy bardzo wiele dobrych doświadczeń z Kościoła. Poznaliśmy mądrych księży, doświadczyliśmy wspólnoty, czujemy, że ona nas wzbogacała duchowo. Choć to, co najlepsze, spotkało nas w czasach, gdy spory światopoglądowe nie wykluczały z Kościoła inaczej myślących w takim stopniu jak dziś.

A może Kościół zawsze wykluczał, tylko wy, nie mając jeszcze transpłciowego dziecka, tego nie widzieliście?

– **Iza:** Na pewno mniej to nas dotykało emocjonalnie. Pamiętam jednak, że już w czasach studenckich nasze poglądy były inne niż większości zaangażowanych religijnie znajomych. Na przykład nigdy nie przekonywało nas nauczanie Kościoła o antykoncepcji.

– **Marcin:** To nawet nie jest kwestia poglądów. Jako osoby zawodowo zajmujące się medycyną i psychologią wiemy, że stanowisko Kościoła w sprawie etyki seksualnej nie jest oparte na przesłankach naukowych. A przecież wiara nie może się kłócić z rozumem.

Współczesna nauka w coraz większym stopniu demedykalizuje i depatologizuje transpłciowość, usunięto ją z listy zaburzeń psychicznych.

⁴⁷ Kongres Katoliczek i Katolików – oddolna inicjatywa wiernych w Polsce, którzy postulują reformę Kościoła w duchu pontyfikatu papieża Franciszka. Jednym z jego postulatów jest zmiana podejścia do osób LGBT+.

Tymczasem polscy biskupi w kuriozalnym dokumencie „Stanowisko Konferencji Episkopatu Polski w kwestii LGBT+” piszą o „skłonnościach do transseksualizmu”, „transseksualnych czynach” oraz „obsesji transseksualnej” (pkt 40, 74). Nie mniej absurdalne jest wezwanie osób transseksualnych do „czystości” (pkt 41), świadczące o niezrozumieniu podstawowych terminów.

– **Marcin:** Tymczasem to, co głosi Kościół, nie może być sprzeczne z naukami przyrodniczymi i społecznymi, a także po prostu z obserwacją stworzonego przez Boga świata. Kościół musi to zrozumieć i wyciągnąć wnioski. W przeszłości zrobił to odnośnie do kosmologii czy teorii ewolucji, dziś ten sam proces powinien się dokonać w sprawie homoseksualności czy transpłciowości.

– **Iza:** Ja bym jeszcze dodała, że nauczanie Kościoła nie może być sprzeczne z nauką Jezusa. A On głosił miłość. Nie można wymachiwać sztandarem miłosierdzia i jednocześnie walić nim po głowach ludzi, którzy nie mieszczą się w jakichś sztucznych ramach tylko dlatego, że Pan Bóg stworzył ich inaczej niż większość. Nie mam na to zgody.

– **Marcin:** Mimo wszystko wierzę, że Kościół kiedyś zmieni w tych sprawach zdanie, choć zapewne presja musi przyjść z dołu, od świeckich.

– **Iza:** Często jest tak, że najpierw ludzie na dziko wydeptują w trawie dróżkę, a dopiero później ktoś robi w tym miejscu ładną alejkę. My jesteśmy od wydeptywania ścieżek.

Co powiedzielibyście rodzicom, którzy się dowiadują, że mają transpłciowe dziecko?

– **Marcin:** Żeby się nie bali na ten temat czytać, zdobywać wiedzy i zasięgać wiedzy u specjalistów.

– **Iza:** Ja poradziłabym jeszcze, żeby w tym szczególnym momencie dla rodziny mniej myśleli o sobie, a więcej o dziecku. To, że w takich chwilach odczuwamy różne lęki, jest czymś zupełnie naturalnym. Boimy się, czy nasze dziecko poradzi sobie w życiu, zastanawiamy się też, jak my sobie z tym wszystkim damy radę albo chociażby „co ludzie powiedzą”. Mamy do takich myśli prawo, ale zbytne skupienie się na swoim lęku działa paraliżująco i odwraca uwagę od osoby, która najbardziej potrzebuje wsparcia i zrozumienia. Gdy udaje nam się wspiąć na poziom myślenia o dobru dziecka, wszystko powoli zaczyna się układać.

– **Marcin:** Nam się ułożyło. Dziś jestem dumny z tego, że mam transpłciowego syna.

– **Iza:** W pewnym sensie widzę w nim bohatera. Wzrusza mnie jego determinacja i odwaga w walce o samego siebie. Trzeba mieć ogromne pokłady siły, żeby powiedzieć ludziom i światu: „Jestem inny i chcę,

żebyście to uznali”. Jednocześnie jest to doświadczenie tak eksploatujące, że mimo naszego wsparcia i profesjonalnego zaopiekowania przepłacił to depresją.

– **Marcin:** Od niedawna ta duma ma chyba wektor dwukierunkowy. Już kilka razy Max powiedział nam, że docenia nasze wsparcie. Wcześniej było ono dla niego tak naturalne jak powietrze. Jednak ostatnio, dzieląc się swoimi doświadczeniami na grupie społecznościowej dla osób transpłciowych, usłyszał, że „ma superrodziców”. Wcześniej o tym tak nie myślał.

Sytuacja prawna w Polsce jest dla osób transpłciowych wyjątkowo wroga. Wymaga na przykład, by ludzie chcący dokonać prawnego uzgodnienia płci⁴⁸ pozywali swoich rodziców do sądu, „zarzucając” im błędne oznaczenie płci po urodzeniu. Co o tym myślicie?

– **Iza:** Przyjmujemy to jako kompletny absurd prawny, nad którym musimy przejść do porządku dziennego. Niestety dla wielu osób transpłciowych cała ta sytuacja jest okrucieństwem. Gdy rodzice nie akceptują tożsamości dziecka, przed sądem dochodzi do bolesnych sporów. Pomijając fakt, że samo złożenie pozwu przeciwko najbliższym wiąże się z reguły z dużym dyskomfortem.

– **Marcin:** Na szczęście nieco łatwiej jest z imieniem, które już w wieku nastoletnim można zmienić na neutralne płciowo w Urzędzie Stanu Cywilnego. Nam udało się to zrobić, gdy syn szedł do szkoły średniej. Bardzo mu to pomogło, bo pozbył się z papierów swojego deadname’u⁴⁹, w związku z czym nauczyciele nie mieli dylematu, jak go wyczytywać z dziennika.

Zapytam jeszcze, czy doświadczenie transpłciowości dziecka zmieniło waszą rodzinę?

– **Marcin:** Mam kłopot z tak sformułowanym pytaniem. Zakłada ono, że istnieją dwie rodziny, jedna przed ujawnieniem transpłciowości dziecka, druga po. Tymczasem transpłciowość Maksa jest nierozłącznym elementem naszej rodziny. Innej nie mieliśmy, nie mamy i nie chcemy mieć.

– **Iza:** Pewnie dlatego nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy. Ale skoro pytasz... Na pewno staliśmy się na siebie bardziej uważni.

– **Marcin:** Syn nauczył nas większej otwartości. Zaangażowaliśmy się

⁴⁸ Czyli zmiany oznaczenia płci w dokumentach z męskiej na kobiecą lub odwrotnie.

⁴⁹ Deadname (nekronim) – imię nadane osobie transpłciowej po urodzeniu. Nie należy go w stosunku do zainteresowanej osoby używać ani nawet o nie pytać.

też we wsparcie osób LGBT+ i ich bliskich, a Iza, jako specjalistka, prowadzi diagnostykę osób transpłciowych.

Awasz relacje ze znajomymi?

– **Iza:** Na ogół się nie zmieniły. Z otwartą wrogością nie spotkaliśmy się nigdy, choć niektórzy wierzący przyjaciele tematu Maksa z nami nie podejmują. Dla nas to bywa trudne. Uparte milczenie na ważny temat potrafi psuć relacje między ludźmi prawie tak jak wrogie słowa.

Na koniec zadam wam jeszcze bardzo osobiste pytanie. Gdy kiedyś staniecie przed Świętym Piotrem, a on was zapyta, jaką rolę w waszym życiu odegrało to, że jesteście rodzicami transpłciowego dziecka, to co odpowiecie?

– **Iza:** Że skoro trafiło na nas, to zapewne nieprzypadkowo. Dzięki temu w Kościele mogliśmy zasiewać maleńkie ziarenko dobrych zmian.

– **Marcin:** A nawet jeśli to tylko przypadek, to wierzymy, że Bóg potrafił go dobrze wykorzystać. I ten dar jest dla nas tak normalny i naturalny jak nasza córka Nadia, cispłciowa dziewczynka. Przynajmniej na razie się nam wydaje, że cispłciowa. (śmiech)

– **Iza:** Pamiętam, że zanim Max się nam ujawnił, mieliśmy z Marcinem taką rozmowę: „Mamy fajne dzieci, dobre zawody, niezły status materialny, zbudowaliśmy dom. Co nas jeszcze w życiu ważnego spotka i co dobrego moglibyśmy jeszcze zrobić?”. Czasem myślę, że transpłciowość Maksa jest odpowiedzią Boga na tamte dylematy.

BÓG JEST OPTYMISTĄ, WIĘC JA TEŻ MUSZĘ BYĆ



Jarosław Strzeszewski

działacz opozycji demokratycznej w PRL

Studiował naukę społeczną Kościoła na ATK oraz filozofię na KUL. Po 1989 r. współzałożyciel stowarzyszenia na rzecz osób LGBT Lambda Warszawa, członek zarządu Stowarzyszenia ATD Czwarty Świat.

Od stycznia do grudnia 1981 r. był nieformalnym przywódcą antykomunistycznego Niezależnego Związku Młodzieży „Kraj”. W 1981 r. redaktor pisma „Sumienie” wydawanego przez Regionalny Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. Jako dziennikarz uczestniczył w I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Po wybuchu stanu wojennego poszukiwany przez MO, ukrywał się przez osiem miesięcy. Zatrzymany w sierpniu 1982 r. W lipcu 2016 r. Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych przyznał mu status działacza opozycji demokratycznej.

W PRL-u prześladowano wiele grup społecznych, np. ludzi wierzących. Jednak o tym wykluczeniu można było mówić – w środowisku rodzinnym, w przestrzeni towarzyskiej czy w Kościele. Osoby LGBT+ o swoim wykluczeniu nie mogły w zasadzie powiedzieć nikomu.

W dawnych wiekach osoby chore na schizofrenię traktowane były w okrutny sposób i coś z tego okrucieństwa zostało społeczeństwu do dziś. Doświadczyłem tego na własnej skórze.

Gdybym miał spiąć wspólną klamrą moją działalność, to byłaby to walka z wykluczeniem. Wiem, co to jest, zarówno jako osoba homoseksualna, jak i zmagająca się z chorobą. Doświadczyłem też kryzysu bezdomności. Wierzę, że to wszystko czemuś służyło.

Ten wywiad to będzie twój podwójny coming out, tak?

– W pewnym sensie. Chociaż tego, że jestem gejem, od lat nie ukrywam, więc powiedzenie o tym w naszej rozmowie będzie trochę jak kropka nad „i”. Natomiast chcę pierwszy raz publicznie powiedzieć o tym, że od lat zmagam się z chorobą psychiczną, jaką jest schizofrenia.

Na pewno chcesz o tym mówić?

– Tak. Jestem pewien, że Pan Bóg nie stwarza niczego i nikogo bez sensu. Każdy z nas jest istotny i ma w życiu do wypełnienia jakieś zadanie. Mnie choroba dopadła w 1986 r., gdy studiowałem filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Może moją misją jest opowiedzenie ludziom, czym jest schizofrenia?

A czym jest?

– Po pierwsze, chorobą, którą trzeba traktować bardzo poważnie. Należy regularnie brać leki i minimalizować liczbę epizodów schizofrenii, bo każdy epizod na stałe pogarsza stan zdrowia. Po drugie, jest chorobą, z którą można żyć, czego jestem przykładem. Po trzecie, jest czymś więcej niż chorobą.

Jak to rozumiesz?

– To nie ja wymyśliłem. Kilka lat temu członkowie Światowego Stowarzyszenia Psychiatrycznego opracowali 10 tez o schizofrenii. Punkt trzeci mówi: „Schizofrenia jest nie tylko chorobą”, a dziesiąty: „Schizofrenia rzuca światło na pytania egzystencjalne wspólne chorym i zdrowym”. Bardzo się z tym zgadzam. Czasem czuję, że dzięki chorobie nie jestem – jak większość zdrowych ludzi – niewolnikiem arystotelesowskiej zasady niesprzeczności. Tak jakbym miał w sobie furtkę do jakiejś głębszej rzeczywistości, w której kryteria prawdy czy sensu życia są nieco inne. Jednocześnie bynajmniej nie patrzę na schizofrenię przez różowe okulary, bo na własnej skórze doświadczyłem, jak potrafi degradować człowieka.

Zacznijmy jednak od twojego dzieciństwa.

– Pozwól, że cofnę się jeszcze bardziej. Urodziłem się w maju 1960 r., tymczasem kilka miesięcy wcześniej w mojej obecnej parafii Świętego Augustyna z Hippony na Nowolipkach miały miejsce słynne objawienia Matki Boskiej⁵⁰. Nie wiem, czy będąc w ciąży, moja mama chodziła

⁵⁰ W październiku 1959 r. w kościele Świętego Augustyna w Warszawie na wieży kościoła miała się wieczorami ukazywać Maryja. Mimo komunikatu kurii że zjawisko jest wynikiem naturalnego odbijania się ulicznych świateł, wydarzenie ścierało codziennie

je oglądać, niestety już nie żyje, więc jej nie dopytam. Wiem natomiast, że na miejsce objawień chodziła babcia.

Wierzysz w takie objawienia?

– Jak najbardziej. To warszawskie było wyjątkowe, bo zazwyczaj Matka Boska ukazuje się na wsi albo w lesie, nawołując prostych ludzi do nawrócenia i modlitwy. Tym razem objawienie miało miejsce w samym centrum stolicy, tak jakby Bóg chciał ludziom powiedzieć, żeby się nie dali gomulkowskiej małej stabilizacji, zubożeniu i tumiwisizmowi. W jakimś sensie czuję się spadkobiercą tych objawień. Dzieciństwo spędziłem na Nowolipkach, gdzie zresztą mieszkam do dziś. Rodzice wprowadzili się do nowych bloków zbudowanych na gruzach warszawskiego getta. Bawiąc się na podwórku, znajdowałem fragmenty czerwonych cegieł ze zburzonych domów.

Jakie to było dzieciństwo?

– Mocno szare, jak ówczesne czasy, a z drugiej strony pełne bliskości i troski rodziców. Jestem przekonany, że we wczesnych latach dziecko powinno być nabuzowane miłością. Potem z tą miłością bywa w życiu różnie, więc potrzebny jest jakiś kontener, z którego można czerpać. Od dzieciństwa bardzo mocno pociągał mnie Kościół. Rodzice nie byli nadzwyczajnie religijni, więc nawet się bali, że przesadzam. Wychowywano mnie też w kulcie powstania warszawskiego, w którym walczył mój wujek. W wojenną konspirację była też zaangażowana mieszkająca na Starówce babcia Eugenia, która sprzedając papierosy pod kościołem Świętej Anny, była skrytką informacyjną podziemia. Gdy w 1979 r. uczestniczyłem w słynnej mszy Jana Pawła II na pl. Zwycięstwa, największe wrażenie zrobił na mnie fragment homilii mówiący o Warszawie „która została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami”.

Maturę zdałeś w którym roku?

– W 1980 r., tuż przed wybuchem rewolucji Solidarności. Niestety dyrektorka szkoły powiedziała mi, że w tym roku nie mogę próbować się dostać na studia, bo nie zdawałem na maturze ustnej biologii i chemii. Tymczasem byłem w klasie o profilu biologiczno-chemicznym.

tłumy, w szczytowym okresie szacowane nawet na 35 tys. osób. Na miejscu pojawiały się też zastępy milicjantów i funkcjonariuszy SB. Zgromadzenia zaczęły się przeradzać w antysocjalistyczne manifestacje religijne, podczas których śpiewano m.in. „My chcemy Boga”. Według danych milicyjnych w czasie objawień zatrzymano ponad 700 osób.

Dlaczego?

– Miałem słabe oceny z przedmiotów ścisłych, a to były takie czasy, kiedy wielu nauczycieli podcinało uczniom skrzydła. Zdecydowałem się pójść do policealnej szkoły biurowości i administracji, która okazała się stratą czasu. Jedyna dobra rzecz, jaka się w tej nieszczęsnej szkole wydarzyła, to początek mojej działalności opozycyjnej.

Opowiesz?

– Jeszcze w 1979 r. z Wolnej Europy dowiedziałem się, że 1 sierpnia na Powązkach Wojskowych członkowie nielegalnej Konfederacji Polski Niepodległej będą składać kwiaty. Poszedłem i z pewnej odległości obserwowałem tę akcję. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie, pamiętam, że pierwszy raz zobaczyłem Leszka Moczulskiego⁵¹. Później bardzo przeżywałem strajk w Stoczni Gdańskiej i podpisanie porozumień sierpniowych.

To był koniec wakacji, chwilę później poszedłeś do swojej nowej szkoły policealnej.

– W której uczono nas m.in. „stenotypii w systemie radzieckim”. Rozumiesz? Za oknami dzieje się rewolucja, czuję niesamowity entuzjazm i podniecenie, bo wolność uderzyła nam wtedy do głowy jak mocna wódka na pusty żołądek. Miałem potrzebę działania, tymczasem w tej naszej szkółce traktowano nas jak infantylnych uczniów, zwracano się na ty i kazano grzecznie odrabiać lekcje. W tym samym czasie znajomi na studiach cieszyli się szacunkiem i prestiżem, w dodatku, żeby walczyć z komuną, zakładali Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Zazdrościłeś?

– Jeszcze jak! Na początku października w Warszawie przy Szpitalnej zaczęto tworzyć Region Mazowsze „Solidarności”. Natychmiast tam pobiegłem, żeby się zapisać. Okazało się jednak, że nie mogę, bo jestem uczniem i nie pracuję. Po prostu rozpacz. Mniej więcej w tym samym czasie, jadąc do szkoły w Warszawie, trafiłem na strajk ostrzegawczy komunikacji miejskiej. Stały wszystkie autobusy i tramwaje, spóźniłem się przez to do szkoły. Pamiętam do dziś, jak wbiegam na lekcję i krzyczę podniecony, że jest strajk. A tu zero entuzjazmu, nauczyciel kazał mi usiąść w ławce i się uczyć maszynopisania.

⁵¹ Leszek Moczulski – ur. w 1930 r., dziennikarz i historyk. Działacz opozycji w okresie PRL, wielokrotnie aresztowany, łącznie przez około sześć lat więziony z przyczyn politycznych. Współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciel i wieloletni przywódca Konfederacji Polski Niepodległej.

Rozumiem, że chciałeś działać.

– Nawet próbowałem to robić. 11 listopada brałem udział w manifestacji pod Grobem Nieznanego Żołnierza, zorganizowanej przez Wojciecha Ziemińskiego⁵². W tłumie zobaczyłem chłopaka z naszej szkoły. Pomyślałem, że może nie jest tak źle? Poszedłem do tworzącego się Niezależnego Zrzeszenia Studentów i namawiałem ich, żeby się otworzyli na uczniów szkół policealnych, ale oni nie byli tym specjalnie zainteresowani. Zaczęliśmy więc organizować Niezależny Związek Uczniów Szkół Policealnych. Dziś wiem, że nie mieliśmy szans, PRL-owskie przepisy na taką działalność nie pozwalały. W dodatku nauczyciele patrzyli na nas jak na dziwadła, które, zamiast uczyć się biurowości, bawią się w politykę. Wiosną 1981 r. rzuciłem naukę, bo uznałem, że chcę się na poważnie zaangażować w Solidarność. Gdy opuszczałem szkołę, jeden z nauczycieli powiedział mi po cichu: „Bardzo cię podziwiam za odwagę i poglądy!”.

Udało ci się w końcu zapisać do związku?

– Wtedy już tak, bo znajomy załatwił mi pracę salowego w szpitalu na Koszykach. Przez jakiś czas byłem członkiem tamtejszej komisji zakładowej NSZZ „Solidarność”.

Gdy otrzymywałeś status osoby pokrzywdzonej przez PRL, IPN zbadał dokumenty zgromadzone w archiwach bezpieki na twój temat. Pozwól, że cię przepytam z informacji na twój temat opracowanych przez instytut.

– Przepytuj, może coś sobie przypomnę? (śmiech)

„Jarosław Strzeszewski od stycznia do grudnia 1981 r. był aktywnym nieformalnym przywódcą Niezależnego Związku Młodzieży «Kraj»”.

– Zaczęło się od tego, że w listopadzie 1980 r. zobaczyłem naklejone na szybie autobusu miejskiego ogłoszenie. Napisano flamastrem, że powstaje niezależny związek młodzieży. Pomyślałem, że to coś dla mnie.

Były jakieś szczegóły?

– Tylko adres prywatnego mieszkania na Sadach Żoliborskich, gdzie miało się odbyć zebranie. Jechałem tam mocno podekscytowany, pamiętam, że padał śnieg, przyszło kilkanaście osób, w tym dziennikarz z oficjalnej prasy, chyba z „Zielonego Sztandaru”. Spotkanie trwało parę godzin, zorientowałem się, że ta nowa organizacja to coś dla mnie.

⁵² Wojciech Ziemiński (1925–2001) – żołnierz Polskich Sił Zbrojnych, uczestnik opozycji antykomunistycznej i więzień polityczny w okresie PRL. Jeden z inicjatorów powstania Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Pamiętasz, kto zorganizował to spotkanie?

– Nazwiska, niestety, nie zapamiętałem. Wiem, że był to współpracownik KOR-u, pewnie ze trzydziestoletni, a zebranie odbywało się u niego w mieszkaniu. Później było jeszcze kilka spotkań organizacyjnych, w międzyczasie przystąpił do nas student socjologii Janusz Poskrobko⁵³, z którym w stanie wojennym się ukrywałem i z którym przyjaźnię się do dziś. Deklarację programową wypracowaliśmy w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia.

Wszyscy na zabawach sylwestrowych, a wy robiliście politykę?

– A kto powiedział, że myśmy się nie bawili? Zebranie założycielskie połączyliśmy z imprezą, w końcu byliśmy ruchem młodzieżowym. Przez pół Warszawy wiozłem magnetofon szpulowy rodziców, dzięki czemu mieliśmy zapewnioną porządną muzykę. Żeby nie było skojarzeń z noworoczną zabawą, deklarację programową podpisaliśmy nie 1, lecz 2 stycznia. Nosiła tytuł: „Wolność, Równość, Solidarność”. Organizację nazwaliśmy Niezależny Związek Młodzieży „Kraj”.

Jak zostałeś przywódcą tego ruchu?

– Po prostu mocno się angażowałem i tak wyszło. Formalnego przywódcy nigdy nie mieliśmy, trochę na wzór KOR-u, ale pracami organizacji kierowałem ja i Janusz. Byliśmy w stałym kontakcie z działaczami Niezależnego Zrzeszenia Studentów, był z nami m.in. Piotr Niemczyk⁵⁴, który działał w Federacji Młodzieży Szkolnej, a także Wojciech Borowik⁵⁵, który współtworzył NZS. Na jednym z zebrań pojawił się też Jacek Czaputowicz⁵⁶, późniejszy minister spraw zagranicznych.

Współpracowaliście z Solidarnością?

– Dla dziesięciomilionowego związku byliśmy malutką i niezbyt

⁵³ Jan Eugeniusz Poskrobko (używał imienia Janusz) za działalność w ruchu solidarnościowym został w 2015 r. odznaczony przez prezydenta Krzyżem Wolności i Solidarności.

⁵⁴ Piotr Niemczyk – ur. w 1962 r., działacz opozycji demokratycznej PRL, jeden z założycieli Ruchu Wolność i Pokój, po 1989 r. współtwórca Urzędu Ochrony Państwa, w latach 1992–1993 zastępca dyrektora Zarządu Wywiadu UOP, w 2001 r. wiceminister gospodarki.

⁵⁵ Wojciech Borowik (1956–2020) – działacz opozycji w okresie PRL, internowany w stanie wojennym. Po 1989 r. poseł na Sejm oraz prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

⁵⁶ Jacek Czaputowicz – ur. w 1956 r. Działacz opozycji demokratycznej w PRL, jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów oraz Ruchu Wolność i Pokój. W latach 2018–2020 minister spraw zagranicznych.

znaczącą organizacją. Pamiętam jednak, że różni starsi działacze życzliwie się nam przyglądali. W listopadzie 1981 r. spotkałem się z Sewerynem Jaworskim, wiceprzewodniczącym NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Opowiadałem mu, kim jesteśmy, rozmowy miały doprowadzić do jakiegoś zagospodarowania naszej grupy przez związek. Niestety kilka tygodni później wybuchł stan wojenny. Moim największym mentorem był wtedy Wojciech Ziemiński, współzałożyciel KOR-u, a potem jeden z inicjatorów ROPCiO. Ziemiński, rocznik 1925, bardzo nas, młodych, hołubił i wspierał. Co roku 11 listopada organizował nielegalne manifestacje pod Grobem Nieznanego Żołnierza, w 1980 r. został za to nawet skazany na trzy miesiące aresztu. W 1981 r. pierwszy raz manifestacja mogła się odbyć legalnie, przyszło na nią podobno 100 tys. ludzi. Przemawiał Ziemiński, Seweryn Jaworski, a potem liderzy różnych antykomunistycznych środowisk. Na koniec głos zabrałem ja jako przedstawiciel NZM „Kraj”.

Przemawiałeś do stutysięcznego tłumu?

– Owszem! Wyobrażasz sobie, jaka to była dla mnie nobilitacja? Napisałem sobie wcześniej pięciostronicowe przemówienie, było w nim sporo odwołań do Piłsudskiego, ale szczegółów nie pamiętam. Cholernie się denerwowałem, modliłem się, żeby jakoś dać radę. Podobno wypadłem naprawdę dobrze, kilka osób mi mówiło, że o moim przemówieniu wspominał w Wolnej Europie Jan Nowak-Jeziorański⁵⁷. W chwilach chandry, która czasem mnie dopada, z dumą przypominam sobie to moje wystąpienie.

A jak trafiłeś do redakcji „Sumienia”?

– Na mocy porozumień sierpniowych władze zobowiązały się zwolnić wszystkich więźniów politycznych. Mimo to już we wrześniu 1980 r. aresztowano Leszka Moczulskiego, a później kolejnych działaczy KPN. Na przełomie 1980 i 1981 r. przy Solidarności zaczęły powstawać Komitety Obrony Więzionych za Przekonania. Zacząłem chodzić na zebrania komitetu działającego przy Regionie Mazowsze „Solidarności”. W maju 1981 r. powstało przy nim pismo „Sumienie”. Zostałem członkiem redakcji, pisałem artykuły o uwięzionym Leszku Moczulskim. Ponieważ redakcja mieściła się w siedzibie Regionu Mazowsze, nagle znalazłem się w centrum wydarzeń, ocierając się o najważniejszych liderów Solidarności.

⁵⁷ Jan Nowak-Jeziorański (1914–2005) – w czasie II wojny światowej kurier i emisariusz Komendy Głównej Armii Krajowej i Rządu RP w Londynie, później wieloletni dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Kawaler Orderu Orła Białego.

Pracowałeś tam zawodowo?

– „Sumienie” było gazetą półamatorską, więc nie zarabiałem, ale do redakcji przychodziłem codziennie, było to wtedy moje główne zajęcie. Podobno dobrze się zapowiadałem, chciano mnie nawet wysłać na studia dziennikarskie. Pod koniec 1981 r. podjęto decyzję, że gazeta się sprofesjonalizuje i będzie opłacana ze składek członków Solidarności. Miałem dostać etat, niestety stan wojenny wszystkie te plany przekreślił.

Jako korespondent „Sumienia” trafiłeś na legendarny I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”.

– To była cała historia, bo redakcja nie miała pieniędzy, żeby mnie tam wysłać. Pojechałem więc na własną rękę i przez trzy dni chodziłem wokół Hali Olivii jak wilk wypatrujący ofiary i zastanawiałem się, jak się dostać do środka.

Udało się?

– Dzięki Bogu pod halą spotkałem znajomych działaczy opozycji, którzy zatłwili mi oficjalną akredytację. Byłem cały szczęśliwy, obracałem się wśród najważniejszych ludzi Solidarności, razem z nimi na stołówce jadłem obiady. Byłem nawet wstępnie umówiony na rozmowę z Lechem Wałęsą, ale ostatecznie nie miał czasu. Pamiętam kabiny telefoniczne dla dziennikarzy, z których swoje relacje w różnych językach nadawali korespondenci „New York Timesa”, „Allgemeine Zeitung” i „Le Monde”. A obok nich siedziałem ja, 21-letni gówniarz, i dzwoniłem do redakcji „Sumienia”! Nosilem na szyi zafo-liowaną na niebiesko akredytację i szpanowałem na ulicach Gdańska. Raz się położyłem na jakimś trawniku, podjechała milicja, chcieli dać reprimendę, ale gdy zobaczyli identyfikator zjazdu, bez słowa odjechali.

Co szczególnie zapamiętałeś ze zjazdu?

– Chłonałem dosłownie wszystko, bo czułem, że jestem świadkiem rewolucji. Ale były momenty szczególnie poruszające, np. codzienne msze odprawiane rano przez ks. Józefa Tischnera⁵⁸. Wygłaszał wtedy słynne kazania, które później znalazły się w książce „Etyka Solidarności”. Pamiętam też Ewę Hołuszko⁵⁹, wtedy jeszcze sporo lat przed tranzycją, która występowała na zjeździe jako Marek. Po wielu latach spotkaliśmy się razem na spotkaniach Wiary i Tęczy.

Gdzie cię zastał wybuch stanu wojennego?

⁵⁸ Ks. prof. Józef Tischner (1931–2000) – katolicki ksiądz, filozof, profesor Papieskiej Akademii Teologicznej, nazywany kapelanem Solidarności. Kawaler Orderu Orła Białego.

⁵⁹ Rozmowa z nią znajduje się w niniejszej książce.

– 11 grudnia 1981 r. razem z Januszem Poskrobką pojechaliśmy na Politechnikę Wrocławską, gdzie odbywał się zjazd jednej z opozycyjnych organizacji. Pamiętam rozmowę z posłami oficjalnego Stronnictwa Demokratycznego, które wówczas, pozostając w sojuszu z PZPR, sympatyzowało z Solidarnością. Wszyscy się już wtedy zastanawiali, czy gen. Wojciech Jaruzelski wprowadzi stan wojenny, a oni zapewniali, że absolutnie nie. Dwa dni później wielu uczestników spotkania trafiło do obozów internowania.

Was nie internowano?

– Mieliśmy dużo szczęścia. 12 grudnia Janusz był umówiony w Katowicach z Federacją Młodzieży Szkolnej⁶⁰, z którą też współpracowaliśmy. Przy okazji chciał odwiedzić swoją dziewczynę, która mieszkała w tym mieście. Jechaliśmy z Wrocławia na Górny Śląsk nocnym pociągiem z 12 na 13 grudnia, dojechaliśmy o czwartej rano, miasto było wymarłe. Akurat chwycił silny mróz, więc poszliśmy się ogrzać na dworcową pocztę. Młoda dziewczyna, urzędniczka, pozwoliła nam zostać. W pewnym momencie mówi do nas: „Panowie, nie wiem, co się dzieje, wszystkie telefony wyłączyli”. Nie przejąłem się tym ani trochę, ale po jakimś czasie zawołała nas, mówiąc, że Jaruzelski przemawia w radiu.

„Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju”. Przez całą niedzielę to przemówienie powtarzano w telewizji i radiu non stop.

– 13 i 14 grudnia spędziliśmy w Katowicach na stacji u dziewczyny Janusza. Właścicielka najpierw krzyczała: „Pogonimy komuchów!”, ale szybko zmieniła zdanie. Bała się nas trzymać, kazała wracać do Warszawy. Dojechaliśmy do stolicy ekspresem „Chemik” o 22.00, a więc w momencie, gdy się zaczynała godzina milicyjna. Na Dworcu Centralnym nadawano komunikaty, że kto nie ma biletu, musi natychmiast opuścić budynek pod groźbą aresztowania. Poszliśmy do kasy po pieczętkę, która umożliwiała podróżnym powrót do domu. Nagle podeszła do nas grupka żołnierzy, pewnie chłopaków w naszym wieku, i zwinęła Janusza na komisariat. Byłem przekonany, że jesteśmy na liście do internowania, więc zacząłem się intensywnie modlić. Jakimś cudem Janusza wypuścili, podszedł do mnie i mówi: „Jarek, spieprzamy”.

⁶⁰ Federacja Młodzieży Szkolnej – powstała przed stanem wojennym inicjatywa skupiająca środowiska uczniowskie i młodzieżowe.

Jeździła komunikacja miejska?

– Jeździła, ale autobusy były zupełnie puste, jak w horrorze. Do tego na ulicach pełno wojska. Wiedziałem, że jeśli wrócę do domu, to mnie zwiną. Miałem dobrą intuicję, później się dowiedziałem, że w nocy z 12 na 13 grudnia do rodziców, z którymi mieszkalem, przyszło czterech esbeków, żeby mnie internować. Później przez długie miesiące regularnie przychodzili do naszego mieszkania, czasami kilka razy dziennie. Mama miała bardzo silną osobowość, po pewnym czasie kazała im zdejmować buty. Posłusznie zdejmowali, po czym sprawdzali, czy nie ma mnie np. za firanką.

Gdzie się ukrywałeś w stanie wojennym?

– W kilku miejscach. Uratował mnie Janusz, który miał w notesie swoje tajne kontakty. 15 grudnia prosto z Centralnego pojechaliśmy do kamienicy w okolicy Chełmskiej. Wchodzimy w podwórko, patrzymy, a tam pięciu żołnierzy grzeje się przy koksowniku! Przeszliśmy obok nich, udaliśmy, że ich nie widzimy, a oni udali, że nie widzą nas. Nie mam pojęcia, u kogo wtedy nocowaliśmy, o nazwiska nikt wtedy nie wypytywał. Pamiętam, że wziąłem ciepłą kąpiel i zjadłem kolację. Kładąc się do snu, dyskretnie wyjrzałem przez okno, żołnierze dalej się grzali przy koksowniku. Pomyślałem sobie – co za paradoks, strażnicy reżimu marzną na podwórku, a wrogowie ustroju leżą wygodnie w ciepłych łóżkach!

Zatrzymaliście się tam na dłużej?

– Tylko na jedną noc. Później było jeszcze kilka adresów m.in. w centrum. Szesnastego albo siedemnastego grudnia spotkałem w okolicy SGGW Piotra Niemczyka, którego zabrali na komisariat przy ul. Wilczej, ale jakimś cudem wypuścili. Później „nadrobili ten błąd”, Piotr dwukrotnie trafił do aresztu, za kratkami spędził kilka miesięcy. Gdy mnie zobaczył, bardzo się zdziwił: „Na milicji widziałem listę osób do internowania i było tam twoje nazwisko”. Po kilku dniach trafiliśmy z Januszem na Bemowo do mieszkania przy ul. Telewizyjnej. Przez trzy miesiące ukrywaliśmy się tuż obok Wojskowej Akademii Technicznej, okazało się, że jak zwykle najciemniej pod latarnią. Właściwie nie wychodziłem wtedy z domu. Później dwa albo trzy miesiące ukrywałem się jeszcze na Żoliborzu u Zofii Strzałkowskiej, wspaniałej kobiety, dawnej żołnierki Narodowych Sił Zbrojnych. Pani Strzałkowska powiedziała mi kiedyś: „Gdybyś wiedział, kogo tu ukrywałam przed tobą!”. Niestety nigdy mi nie zdradziła, kto to był, takie były zasady konspiracji. W pewnym momencie powiedziała, że nie może mnie już dłużej ukrywać.

Wytłumaczyła dlaczego?

– Zapewne chodziło o względy bezpieczeństwa, ale nie dopytywałem. Wiedziałem, że skoro tak mówi, to znaczy, że powody są poważne. Spakowałem plecak i poszedłem na Dworzec Centralny, żeby coś zjeść w tamtejszym bufecie. Modliłem się, żeby Pan Bóg podpowiedział mi, co mam robić. Niespodziewanie spotkałem tam Jacka Smalcerza, bliskiego przyjaciela z NZM „Kraj”. Powiedział, że na kilka dni mogę się zatrzymać w jego mieszkaniu w Ursusie. Właśnie tam namierzyła mnie bezpieka. Pewnie ktoś z sąsiadów zobaczył, że u Jacka kręci się jakiś nieznajomy i zakablował.

Jak wyglądało zatrzymanie?

– Akurat prałem skarpetki, gdy usłyszałem dzwonek do drzwi. Wezło czterech facetów i wepchnęło mnie do środka. „Pan Strzeszewski? Pojedzie pan z nami!”. A ja, chyba z tego stresu, odpowiedziałem: „Ale ja teraz piórę skarpetki...”.

Co odpowiedzieli?

– Żebym spokojnie wysuszył, poczekają. Wyprowadzili mnie do dużego fiata, byli grzeczni, nie używali przemocy. Zawieźli mnie na komisariat przy ul. Żytniej, gdzie usłyszałem, że jestem zatrzymany do dyspozycji Służby Bezpieczeństwa. Pamiętam, że to był 25 sierpnia 1982 r. Wsadzili mnie na dołek, siedziałem tam ponad 40 godzin. W celi cały czas modliłem się na różańcu, z czego milicjant się śmiał. „Do Allaha tak się modlisz?” – pytał. Nie wiem, dlaczego mu się tak to skojarzyło.

Byłeś w celi sam?

– Początkowo tak, ale po paru godzinach dołączył dwudziestokilkuletni złodziej, a później jeszcze jeden kryminalista. Ten drugi w pewnym momencie zaczął ciąć sobie żyły kawałkiem drutu. Chciał w ten sposób trafić do szpitala, gdzie były lepsze warunki niż w areszcie. Milicja kazała mi sprzątać z podłogi jego krew zmieszaną z błotem. Było to bardzo trudne, pamiętam, że dostałem torsji. Po jakimś czasie wezwali mnie do pokoju na pierwszym piętrze, czekali tam na mnie rodzice. Milicjanci powiedzieli, że jeśli podpiszę zobowiązanie do przestrzegania przepisów stanu wojennego, to mnie wypuszczą. Podpisałem, bo wiedziałem, że nie jest to zobowiązanie do współpracy. Esbek pojechał z tym na Komendę Stołeczną MO, wrócił po pięciu godzinach i powiedział, że jestem wolny.

W sumie ukrywałeś się ponad osiem miesięcy.

– Dziś myślę, że były to dla mnie wielkie rekolekcje.

W zasadzie nie poruszyliśmy jeszcze tematu homoseksualności. W czasach twojej młodości się o tym mówiło?

– Bardzo mało. Mówię czasem, że obowiązywało nas milczenie o milczeniu.

Jak to rozumiesz?

– W PRL-u prześladowano wiele grup społecznych, np. ludzi wierzących. Jednak o tym wykluczeniu można było mówić – w środowisku rodzinnym, w przestrzeni towarzyskiej czy w Kościele. Osoby LGBT+ o swoim wykluczeniu nie mogły w zasadzie powiedzieć nikomu. Temat nie istniał. Solidarność również nie upominała się o prawa osób homoseksualnych. Nie mam pretensji, wiem, że nie można oceniać czasów historycznych dzisiejszą miarą. Jednak niedawno sobie uświadomiłem, że Europejskie Forum Chrześcijańskich Grup LGBT, do którego należy Wiara i Tęcza, powstało w Paryżu w 1982 r. Czyli dokładnie wtedy, gdy ja się ukrywałem. Te kilkaset kilometrów, które dzieliło stolicę Polski i Francji, to była odległość innych epok.

Jak nawiązywałeś tęczowe znajomości?

– Widzisz, nie było internetu ani telefonów komórkowych, a jednak nam się udawało. (śmiech) Pamiętam na przykład taką sytuację: stałem obok wejścia na UW, podszedł do mnie znajomy z NZM „Kraj” i położył mi rękę na ramieniu w taki sposób, że nie miałem wątpliwości, kim jest. Zdarzały się sytuacje jeszcze bardziej niezwykłe. W latach 80. chodziłem na pielgrzymki do Częstochowy, na jednej z nich poznałem górala, który zaprosił mnie potem na podhalańską wieś. Sam nie wiem, jak się rozpoznawaliśmy w tłumie.

Byłeś wtedy zakochany?

– Moją największą miłość poznałem, działając w opozycji. To była wiosna 1981 r. Facet dał mi kosza, pamiętam, że wracałem ze spotkania z nim pijany z rozpacz. Przy Krakowskim Przedmieściu spotkałem brata, który cały szczęśliwy czekał na swoją dziewczynę. Ten emocjonalny kontrast zapadł mi w pamięci na całe życie. Czuję wtedy, że nie mam prawa do miłości ani nawet do żalu po rozstaniu.

Byłeś wtedy gotowy na związek?

– Chyba nie. Uważałem, że gdybym wszedł w relację jedнопłciową, zdradziłbym Jezusa. Przeżyłem w swoim życiu bardzo wiele, ale nigdy

nie doświadczyłem romantycznego związku. Nie mam żalu do Boga czy losu, mam jednak świadomość, że coś ważnego, pięknego, rozwijającego i budującego prawdopodobnie mnie ominęło.

Wróćmy do roku 1982. Gdy przestałeś się ukrywać, miałeś jakiś pomysł na życie?

– Do aktywnej działalności politycznej nie wróciłem, zwłaszcza że ciągle chodziły za mną esbeckie ogony. Domyślałem się też, że miałem na podsłuchu telefon. Postanowiłem, że zacznę się uczyć do egzaminów na uczelni. W 1982 r. zacząłem studiować katolicką naukę społeczną na Akademii Teologii Katolickiej. Nie było łatwo się dostać, na pięć miejsc było 15 chętnych, ale się udało. Studiowałem tam prawie dwa lata, miałem same piątki, ale rozsmakowałem się w filozofii. Chciałem studiować filozofię jako drugi kierunek, niestety na ATK był z tym problem. Postanowiłem pojechać na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Problem był w tym, że komunistyczne władze wyznaczały ścisły limit studentów, którzy mogli się uczyć na KUL, w końcu była to jedyna niezależna uczelnia w całym bloku wschodnim. Powiedziano mi, że muszę zdawać egzaminy za rok.

Zdałeś?

– Tak, ale w roku 1985 przyjmowano tylko 15 osób i dla mnie znów zabrakło miejsca. Przyjęto mnie jako wolnego słuchacza, ale, niestety, przypomniała sobie o mnie Polska Ludowa. Dostałem bilet do wojska, bo status wolnego słuchacza nie chronił przed poborem. Byłem przybity. Mimo rozmów z dziekanem filozofii okazało się, że nie mogę mieć statusu studenta. 28 października musiałem się stawić w jednostce wojskowej. I wtedy zdarzył się cud.

Jaki?

– Wracając z KUL, wszedłem do jakiegoś sklepu na lubelskim Starym Mieście, chyba była to Cepelia. Nie mam pojęcia, dlaczego zacząłem rozmawiać z ekspedientką, i nie wiem, dlaczego powiedziałem jej o swojej sytuacji. „Ja panu pomogę, prorektor jest moim przyjacielem” – zaproponowała. Taka protekcja wydawała mi się jednak nie do końca w porządku, więc jej podziękowałem. Wróciłem do Warszawy, minęły może trzy tygodnie, a we mnie zaczął się budzić instynkt samozachowawczy. Wróciłem do Lublina i prosto z dworca poszedłem do Cepelii. Kobieta, której praktycznie nie znałem, poszła ze mną na KUL, weszła do gabinetu rektora, po pięciu minutach wyszła i rzuciła: „załatwione”.

Rzeczywiście załatwiła?

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobiła, ale dostałem upragniony indeks i legitymację studencką. Powiem szczerze, że do dziś nie umiem wytłumaczyć tej sytuacji inaczej niż jakąś boską interwencją. Zupełnie nieznaną kobietą ze sklepu załatwia anonimowemu człowiekowi sprawę, która praktycznie była nie do załatwienia! Czuję się jak Izraelici, przed którymi nagle rozstąpiły się fale i mogli przejść przez Morze Czerwone.

Byłeś dobrym studentem?

– Tak. Niestety na pierwszym roku studiów bezceremonialnie zaczęła o sobie dawać znać moja choroba.

Wiedziałeś, co to jest schizofrenia?

– Trochę wiedziałem. W Regionie Mazowsze poznałem kolegę, Sławka⁶¹, który w wieku kilkunastu lat zachorował na tę chorobę. Był wybitnie inteligentny, bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Podobnie jak ja był bardzo religijny i tak jak ja był gejem. To był bardzo dobry człowiek, pamiętam, że pomagał osobom mającym problem z narkotykami. Kiedyś, jeszcze w latach 80., wspólnie zawieźliśmy leki jego podopiecznym, pamiętam unoszący się w ich mieszkaniu zapach kompotu gotowanego ze słomy makowej.

Skąd się dowiedziałeś, że twój kolega zмага się ze schizofrenią?

– Od jego ciotki. Opowiadała, jak Sławek w okresie psychozy rozbierał się do naga i jak leżał krzyżem. Matka później odizolowała go od świata, zabroniła kontaktu ze znajomymi. Pewnie w ten sposób chciała go ochronić, choć zapewne zrobiła mu krzywdę. Później słyszałem, jak w tonie sensacji mówiono o chorobie Sławka w siedzibie Solidarności. Ton był taki, że nie można go do końca traktować poważnie i że trzeba na niego uważać. Oczywiście nie miałem pojęcia, że za jakiś czas choroba odezwie się także u mnie.

Jak zaczęła się u ciebie?

– Jeszcze w Lublinie zacząłem odczuwać ogromne lęki. Rzeczywistość tak mnie przytłaczała, że przestałem chodzić na zajęcia. Wzywano mnie do sekretariatu, a ja się bałem tam wejść. Wróciłem do Warszawy, lęki były tak silne, że przez kilka dni chowałem się przed światem w windzie. Po jakimś czasie objawy jednak minęły. Niestety na studia już nie miałem jak wrócić.

⁶¹ Imię zmienione.

Objawy choroby ustąpiły?

– W zasadzie tak, choć ziarna psychotyczne pewnie we mnie tkwiły. W 1990 r. na fali zmian w kraju wyjechałem do Jarosławia, gdzie pod patronatem arcybiskupa Ignacego Tokarczuka dawny działacz KOR Wiesław Kęcik organizował Europejskie Centrum Dialogu. Zgłosiłem się tam jako wolontariusz.

Co tam robiłeś?

– Za wikt i opierunek z grupą wolontariuszy pomagaliśmy w odbudowie starego klasztoru. Miałem pokój w baraku i czułem, że robię coś pożytecznego. W pewnym momencie zacząłem być wybuchowy, nadmiernie pobudzony i impulsywny. Trafiłem na trzy miesiące do szpitala, gdzie postawiono mi diagnozę.

Dzięki Sławkowi wiedziałeś, co to znaczy schizofrenia?

– W znacznej mierze tak. W dawnych wiekach osoby chore na schizofrenię traktowane były w okrutny sposób i coś z tego okrucieństwa zostało społeczeństwu do dziś. Doświadczyłem tego na własnej skórze, ale wolałbym o tym nie mówić. Powiem tylko, że współczesna medycyna i leki potrafią zrobić naprawdę wiele. Niestety wielu chorych w pewnym momencie zaczyna się czuć na tyle dobrze, że odstawia leki. To jest pułapka, w którą ja również wpadłem.

Co wtedy robiłeś?

– Ponieważ miałem wtedy konflikt z rodzicami, dzięki siatce znajomych trafiłem do ośrodka Marka Kotańskiego⁶² w Głoskowie. Pod koniec lat 70. władze pozwoliły mu tam stworzyć pierwszy ośrodek dla narkomanów Markot. Ja z żadnymi uzależnieniami nigdy nie miałem kłopotów, ale dzięki protekcji mogłem tam zamieszkać. Miałem trochę uprzywilejowany status, w końcu nie byłem narkomanem. Marek Kotański nazywał mnie nawet „synem” i się za mną wstawiał, gdy ktoś chciał rzucić na mnie zbyt wiele obowiązków.

Na czym polegało to uprzywilejowanie?

– Kotański traktował podopiecznych dość surowo, uważał, że to działa terapeutycznie. Wszyscy przechodzili kontrolę osobistą, golono im głowę, trzeba było chodzić w specjalnych, szarych strojach. Ja byłem z tego wszystkiego zwolniony. Coraz bardziej zapuszczałem tam korzenie, po

⁶² Marek Kotański (1942–2002) – psycholog, terapeuta, pionier profesjonalnej pomocy osobom uzależnionym od narkotyków w Polsce, pomagał również osobom zakażonym wirusem HIV, byłym więźniom oraz osobom bezdomnym. Twórca Monaru i Markotu.

pewnym czasie zapytano mnie nawet, czy nie widziałbym się w roli terapeuty uzależnień.

Jak wspominasz pobyt w Głoskowie?

– Bardzo dobrze. To było ciekawe miejsce, pracowałem tam w gospodarstwie rolnym, w szklarni, trochę też pomagałem w kuchni. Z Warszawy przyjeżdżali terapeuci, mieliśmy parogodzinne sesje terapii grupowej. Wiele osób grało na gitarze, raz w tygodniu w piątek mieliśmy dyskotekę. Ten raj się skończył, bo znów przypomniła sobie o mnie choroba. Wyjechałem do Warszawy, trochę tułałem się po Polsce, w końcu trafiłem do ośrodka dla osób w kryzysie bezdomności pod Szczecinem. Wyobrażasz sobie, jak bardzo czułem się zdeklasowany? Przez chorobę i związany z nią konflikt z rodziną ja, człowiek wielkomiejski, działacz opozycji i były student filozofii na KUL, nie miałem dachu nad głową i pieniędzy, by przeżyć.

Dziś panujesz nad chorobą?

– To jest nieustająca walka. Jednak dzięki leczeniu udało mi się sprawić, że epizody choroby są coraz rzadsze. Nauczyłem się żyć ze schizofrenią, choć to niełatwa towarzysząca życia.

Chciałbym cię jeszcze zapytać o twoją działalność w ruchu LGBT+.

– W 1994 r. przy Stowarzyszeniu Grup Lambda w Warszawie, najstarszej zarejestrowanej organizacji LGBT w Polsce, powstała ekumeniczna grupa chrześcijańska. Dowiedziałem się o niej dwa lata później, o ile dobrze pamiętam, z gazety „Inaczej”, która była wtedy największym periodykiem dla osób homoseksualnych. Spotkania odbywały się w siedzibie Lambdy przy Śniadeckich, w małym pomieszczeniu, w którym – zdaje się – wcześniej był zakład szewski. Grupę prowadził Kacper Kalin⁶³ i jego partner życiowy Marcin Kutwin. Nosiła różne nazwy, najpierw Exodus⁶⁴, później Berith. Działała w sumie 13 lat.

Jak wspominasz swój udział w tej grupie?

– Było to ważne doświadczenie. Regularnie spotykaliśmy się w Lambdzie, a potem u warszawskich luteran, kilka razy do roku organizowaliśmy pod Warszawą rekolekcje. Byliśmy absolutnymi pionierami, nikt wcześniej w Polsce nie działał na styku wiary i nieheteronormatywności. W 2007 r. nasza działalność się zakończyła.

⁶³ Rozmowa z nim znajduje się w niniejszej książce.

⁶⁴ Zmiana nazwy grupy z Exodus na Berith miała miejsce w lipcu 2001 r.

Dlaczego?

– Czynników było zapewne kilka. W pewnym momencie ogarnęło nas jednak zwątpienie, spowodowane przede wszystkim całkowitą obojętnością hierarchii kościelnej. Pisaliśmy listy, prosiliśmy o jakąś formę opieki duszpasterskiej, tymczasem odbijaliśmy się od ściany. Dziś myślę, że – mówiąc językiem biblijnym – jest czas siewu i czas zbioru. Myśmy wtedy siali, ale nie doczekaliśmy się plonów.

W 2007 r. zakończyła działalność grupa chrześcijan LGBT, a w 2010 r. powstała Wiara i Tęcza.

– To zaledwie trzy lata przerwy. A jednak uważam, że Wiara i Tęcza trafiła w swój czas. Wierzące osoby homoseksualne zaczęły być wspierane przez środowiska katolickie, takie jak „Tygodnik Powszechny”, „Więź”, „Znak”, Kluby Inteligencji Katolickiej czy magazyn „Kontakt”. Grupa Berith, niestety, nie miała takich sojuszników, to jeszcze nie były te czasy.

Jesteś też członkiem założycielem stowarzyszenia Lambda Warszawa.

– W latach 90. Stowarzyszenie Grup Lambda zakończyło swoją działalność, działacze warszawscy postanowili więc zarejestrować własne stowarzyszenie. Ponieważ miałem w tym kręgu kontakty towarzyskie, zostałem jednym z członków założycieli Lambdy Warszawa. Dziś jednak bardziej aktywnie udzielam się w Stowarzyszeniu ATD Czwarty Świat. Jakiś czas temu zostałem nawet członkiem jego zarządu.

Co to za organizacja?

– To międzynarodowy ruch humanitarny walczący z ubóstwem i nędzą. Założył go w latach 50. niezwykle ksiądz, Francuz polskiego pochodzenia, o. Józef Wrzesiński. Tworzył go wraz z rodzinami z obozowiska dla bezdomnych w Noisy-le-Grand. Gdybym miał spiąć wspólną klamrą moją działalność, to byłaby to walka z wykluczeniem. Wiem, co to jest, zarówno jako osoba homoseksualna, jak i zmagająca się z chorobą. Doświadczyłem też kryzysu bezdomności. Wierzę, że to wszystko czemuś służyło. Kandydatka na ołtarze Dorothy Day mówiła, że chrześcijanie muszą działać na rzecz sprawiedliwości, by świat stał się inkubatorem wieczności. Bardzo się z tym zgadzam. Czasem moja działalność ma wymiar osobistego świadectwa.

W jakim sensie?

– Kilka lat temu byłem pod ogromnym wrażeniem projektu artystycznego, którego autorem był Daniel Rycharski⁶⁵. Odważnie stał przed jednym z warszawskich kościołów, trzymając w rękach tablicę z katechizmowym cytatem o konieczności szacunku dla osób homoseksualnych. Nie wpuszczono go do środka, wiele osób wręcz go wyzywało. Podziwiałem jego odwagę, miałem potrzebę zrobić coś podobnego, choćby na mniejszą skalę. Przez dwa miesiące chodziłem na mszę do swojej parafii z tęczową torbą na ramieniu. Tak jakbym chciał głośno powiedzieć: „My też jesteśmy w Kościele”.

Jakie były reakcje?

– Bardzo nieprzyjemne. Zaczęło się od tego, że ksiądz w czasie nabożeństwa kazał mi ją schować. Nie posłuchałem, ale jego słowa najwyraźniej dały przyzwolenie wiernym, żeby działać na własny rachunek. Ktoś mi tę torbę zabrał, choć po mszy podrzucił z powrotem. Potem w podobny sposób aresztowano mi tę torbę jeszcze dwukrotnie. Raz się znalazła w zakrystii, ksiądz próbował mnie strofować, pytając: „Po co przynosisz do kościoła te gejowskie gadzety?”. Nie wiem, kto mu dał prawo mówić do mnie na ty, ale nie zwróciłem mu na to uwagi. Odpowiedziałem krótko, cytatem z Biblii: „Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi”. Najtrudniejszą sytuację przeżyłem jednak podczas procesji Bożego Ciała, kiedy kościelny podszedł do mnie i kazał schować torbę. Głośno odmówiłem, mówiąc, że dla mnie byłaby to zdrada wartości i w pewnym sensie zdrada Chrystusa. Trzymałem tę torbę trochę jak sztandar na procesji.

Bałeś się?

– Tak.

Bardziej niż w stanie wojennym, gdy przesłuchiwało cię SB?

– Trudno mi to powiedzieć, ale teraz bałem się bardziej. Wtedy miałem poczucie, że walczę z reżimem, ale miliony Polaków są po tej samej stronie, co ja. Teraz czułem się zupełnie sam, wiedziałem, że w razie czego nikt mnie nie obroni.

Jarku, na koniec chciałbym cię zapytać, co powiesz, gdy staniesz kiedyś u bram raju i Święty Piotr spyta o twoje życie.

– Powiem mu słowa, które padają podczas każdej mszy świętej: „Nie

⁶⁵ Rozmowa z nim znajduje się w niniejszej książce.

zważaj na grzechy nasze, lecz na wiarę swojego Kościoła”. Ale poczekaj, żeby było jasne – jestem przekonany, że nie powiedziałem jeszcze w tym życiu ostatniego słowa. A raczej, że Bóg nie powiedział jeszcze przeze mnie wszystkiego, czego chce.

To jeszcze jedno pytanie: jak to możliwe, że po tylu trudnych doświadczeniach wciąż zachowujesz pogodę ducha?

– Po prostu wierzę, że to moje, trochę poobijane życie ma głęboki sens. Czasem się czuję jak kolorowa papużka wśród wróbelków, ale wierzę, że to wszystko jest po coś. Nawet moja choroba, którą Pan Bóg wielokrotnie wykorzystywał jako Swoją ścieżkę do mojej duszy. Juliana z Norwich⁶⁶, jedna z największych mistyczek chrześcijańskich, ubolewała, jak bardzo świat utonął w złu. A Bóg jej odpowiedział, żeby się nie martwiła, bo nie będzie już większego nieszczęścia niż grzech Adama. „Wszystko będzie dobrze, i wszystko będzie dobrze, i wszelkie sprawy skończą się dobrze!” – powtarzał. Widzisz, Bóg jest optymistą. A skoro On jest, to przecież ja też muszę być!

⁶⁶ Juliana z Norwich (1342-1416) – angielska pustelnica, jedna z najważniejszych przedstawicielek mistycyzmu chrześcijańskiego, wizjonerka mająca objawienia Bożego Miłosierdzia. Ze względu na to, że odrzucała wiarę w wieczne potępienie, nie została wyniesiona na ołtarze w Kościele rzymskokatolickim, ale cieszy się w nim nieoficjalnym kultem.

WIĘKSZOŚĆ ŻYCIA SPĘDZIŁAM W KONSPIRACJI



Ewa Hołuszko

działaczka opozycji demokratycznej w PRL

Elektryczka, fizyczka, psycholożka i pedagożka. W stanie wojennym używała pseudonimu „Hardy”. Członkini Zarządu Regionu Mazowsze i delegatka Regionu Mazowsze na I Zjazd „Solidarności”. Do kwietnia 1981 r. pełniła funkcję przewodniczącej Komisji Interwencyjnej NSZZ Solidarność. Po wprowadzeniu stanu wojennego założyła własną organizację podziemną, Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny, którą kierowała. Odpowiadała w niej za druk i kolportaż podziemnej prasy (m.in. „Tygodnika Mazowsze” i „Woli”).

W latach 1982–1983 więziona. W wolnej Polsce zaangażowała się w badania nad mniejszościami narodowymi, współpracowała z Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Obecnie działa w Platformie Obywatelskiej. Członkini Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego, Stowarzyszenia im. Tadeusza Mazowieckiego, Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Fundacji „Wiara i Tęcza”, a także Klubu Wysokogórskiego.

Tajniak przystawił pistolet do mojej piersi. Zawieźli mnie na Rakowiecką i próbowali przesłuchiwać. Gdy odmawiałam zeznań, szantażowali, że wrzucą mnie do zbiorowej celi z kryminalistami, straszili, że współwięźniowie mnie tam zgwałcą. Robili ordynarne kontrole osobiste.

Zależało mi, żeby dzieci nie zostały z piętnem ojca-samobójcy. Myślałam, żeby zniknąć, wyjeżdżając do Ameryki Południowej, i doprowadzić się do śmierci. Takie samobójstwo na raty. Ostatecznie chciałam upozorować wypadek, wjeżdżając samochodem do Wisły.

Odkąd przeszłam tranzycję, jestem systematycznie wymazywana z historii. To boli czasem bardziej niż milicyjna pałka.

W solidarnościowym podziemiu miałaś pseudonim „Hardy”. Taka jesteś?

– Od dziecka. Wychowywali mnie na dzielnego chłopca, nikt nie podejrzewał, że jestem dziewczynką. Ojciec zmarł, gdy miałam 26 lat, po jego śmierci zostałam głową rodziny. Brat był młodszy o cztery lata, miałam jeszcze o dwa lata starszą siostrę, ale ja byłam „najstarszym synem”.

Musiałaś być dzielna?

– Tak. Choć do piątej klasy na WF-ie byłam jedną z najsłabszych. A że w okresie dojrzewania miałam ginekomastię, dzieci się ze mnie śmiały, nazywały „babochłopen”. W szóstej klasie zrozumiałam, że muszę być silna. Zaczęłam ćwiczyć, podnosić ciężary, biłam się z chłopakami, czasami do krwi. Ze sprawowania trójka, najwyższej czwórka.

Czułaś dysfориę?

– Dziś wiem, że tak. Na przykład nienawidziłam męskich ubrań. Wyglądałam jak ostatni ochlaptus, nosiłam podarte spodnie, dziurawe tenisówki, rozciągnięte swetry. Wychowawczynie powiedziały kiedyś, że wyglądam jak z pijackiej rodziny, ojciec zabrał mnie wtedy do domu towarowego i wybrał ładną, chłopięcą kurtkę z patkami. Powiedziałam, że w życiu jej nie założę. Wściekł się. Do dziś nie mam ubraniowego gustu.

Rozumiem, że nie interpretowałaś wtedy tego w kategoriach transpłciowości.

– Żartujesz? Wtedy nie było nawet takiego słowa. Nie byłam jednak w stanie stanąć nago przed lustrem, a powiększone piersi, z których śmiały się dzieci, zaczęły być dla mnie powodem do dumy. W szkole średniej zaczęłam też mieć sny, w których byłam kobietą.

Miałaś w nich jakieś imię?

– Bałam się mieć. Nie wiedziałam, kim jestem aż do 1976 r., kiedy pojechałam autostopem na wakacje do Masywu Centralnego we Francji z 200 dolarami w kieszeni. Sadziłam drzewka migdałowe i zarobiłam więcej niż przez rok na uczelni. To był mój pierwszy pobyt na Zachodzie, pochodziłam też po księgarniach, poszłam do sex-shopu i przeglądałam literaturę seksuologiczną, której u nas prawie nie było. Poznałam wtedy słowo „transsexual”. Do Polski wracałam cała szczęśliwa, bo wreszcie wiedziałam, kim jestem. Jednak gdy w domu spojrzalam na żonę i pięciomiesięczne dziecko, powiedziałam sobie: „Idiotko, do końca życia zapomnij, kim jesteś”.

„Idiotko?”

– Właśnie tak, bo od tego czasu zaczęłam wewnątrznie mówić do siebie jak do kobiety. Czasem też na wykładach, które prowadziłam, myliłam się i mówiłam w rodzaju żeńskim, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Przed światem chroniło mnie to, że zakochałam się w kobietach.

Chciałbym jeszcze wrócić do twojego dzieciństwa.

– Jeśli chcesz mnie zrozumieć, musimy się cofnąć jeszcze bardziej, bo w znacznej mierze ukształtowały mnie skomplikowane rodzinne korzenie.

Cofnijmy się.

– Od piątego roku życia mieszkam w Warszawie, ale czuję się białostoczkanką. Pierwsze lata spędziłam na Bojarach, jednej z najstarszych dzielnic miasta. Z dzieciństwa pamiętam brukowane ulice i rynsztoki pamiętające czasy carskie. Rodzice ochrztili mnie w katedrze prawosławnej pod wezwaniem Świętego Mikołaja.

Cała twoja rodzina jest prawosławna?

– Tak. Dziadek ze strony mamy, Porfiry Żukowski, był ukraińskim kozakiem. Miał około 500–700 hektarów ziemi w okolicy Lubczy nad Dnieprem, w guberni czernihowskiej. Jako porucznik armii carskiej trafił do Białegostoku, gdzie stacjonował 64. Kazański Pułk Piechoty. Zginął w czasie pierwszej wojny światowej, podobno bolszewicy przywiązali go do wagonu kolejowego i zgnetli za pomocą zderzaków. Moją mamę, czyli swoją córkę, widział tylko raz, gdy mógł przyjechać z wojska na przepustkę.

A dziadkowie ze strony mamy?

– Pochodzą z Białorusi. Dziadek Kirył Hołuszko był podporucznikiem w armii carskiej, zasłużył się w wojnie rosyjsko-japońskiej, za męstwo dostał nawet Order Świętej Anny. To po nim otrzymałam na chrzcie imiona Marek Cyryl. W 1916 r. znalazł się w Petersburgu, ochraniał miasto. Później musiał uciekać przed rewolucją bolszewicką, którą początkowo popierał. Z żoną i dziećmi jechał na południe, do Republiki Kubańskiej, która wówczas była niby niezależnym państwem kozackim. Niestety w trakcie tej ucieczki zaginęło mu dwóch synów. Na Kubań dotarli tylko dziadek, babcia Olga, mój ojciec Aleksander i jego starszy brat.

Postanowili tam zostać?

– Gdy powstała niepodległa Polska, dziadek Cyryl wraz z babcią

i ojcem postanowili wrócić do Grodna. Starszy brat ojca został w Rosji. Zakochał się w miejscowej Kozaczce, wziął ślub w cerkwi i zamieszkał w chutorze niedaleko Krasnodaru. Nie miał pojęcia, że w 1920 r. przyjdzie tam Armia Czerwona.

Twoi dziadkowie mieli z nim później kontakt?

– Babcia i ojciec uparcie pisali do niego listy, które szły przez Czerwony Krzyż w Szwajcarii. Niestety przejmowało je NKWD. Później posłużyły one jako dowód, że wujek jest Polakiem, w związku z czym zamordowano go w 1937 r. Opowiadam te rodzinne historie, bo na nich się wychowałam. „Przedwiośnie” Żeromskiego czytałam, jakby to było o naszej rodzinie. Ojciec został sierotą w wieku 14 lat, musiał pracować w hucie szkła w Grodnie, w wyniku tych doświadczeń cała rodzina Hołuszków była później nie do zderzenia. Później, gdy lepiej mu się powodziło, założył nad samym Niemnem restaurację w Druskiennikach. Śpiewali u niego Mieczysław Fogg i Hanka Ordonówna, ojciec pamiętał też przyjazdy Józefa Piłsudskiego. Opowiadał, jak marszałek siadał na bulwarach i patrzył na drugą stronę rzeki, wtedy już należąca do Litwy, mówiąc: „Tam jest moja ojczyzna”. Uważam, że Piłsudski był nie tyle polskim patriotą, co patriotą Rzeczypospolitej.

Jak ojciec znalazł się w powojennej Polsce?

– W 1937 r. zbudował w Grodnie dom, ale gdy wybuchła wojna, był w Warszawie. Wychowany był w przekonaniu, że komuniści to śmierć, zresztą w dzieciństwie widział rewolucję na własne oczy. Po wojnie wolał więc zostać w Polsce i zamieszkał w Białymstoku.

W jakim języku mówili twoi dziadkowie i rodzice?

– Po polsku, choć rosyjski znali w zasadzie równie dobrze. Rodzina mieszkająca na białostockiej wsi mówiła białoruskim dialektem. Ta mieszanina językowa była i jest dla Podlasia charakterystyczna.

Czuliście się Polakami?

– Prawosławnymi Polakami. Ale jak się ma tak skomplikowane korzenie, to obrywa się od wszystkich. Nawet nie wiesz, ile ja się w życiu nacierpiałam, że jestem, jak mówią polscy nacjonałści, „Ruska”! To boli, ale już się przyzwyczaiłam. Kiedy słyszę, że Polska jest tolerancyjna dla mniejszości, to ogarnia mnie śmiech. Śmiech przez łzy. Powiem ci historię. Stryjechny brat matki wykształcił się przed wojną na Politechnice Warszawskiej, wrócił do Białegostoku i nie mógł znaleźć pracy. W urzędzie powiedzieli mu: „Znajdzie pan robotę, gdy przejdzie

na katolicyzm". Odmówił. Kiedy 22 września 1939 r. do Białegostoku weszła Armia Czerwona, on nie chciał zdjąć polskiego munduru. Wszyscy mu mówili, że to niebezpieczne, a on powtarzał: „Nie zdejmę go, bo przysięgałem Polsce”. Rosjanie wywieźli go dokądś drewnianym wozem, nikt z rodziny go już nie zobaczył.

Dlaczego twoi rodzice przenieśli się do Warszawy?

– W Białymstoku ojciec był coraz bardziej nękanym przez władze jako prywatna inicjatywa. Musiał zamknąć swoją budkę z galanterią skórzaną i wybudował w Aninie dom. Gdy umarł Stalin i nastąpiła odwilż, postanowił odszukać rodzinę w ZSRR. Wymyślił, że pojedzie tam z dziećmi. Miał zasadę, że w niebezpieczne miejsca zawsze zabierał nas ze sobą, bo uważał, że władza nie odważy się zabrać ojca dzieciom. Matka broniła siostry, mówiła, żeby dziewczynki nie narażała, więc do Związku Radzieckiego pojechałam tylko ja i ojciec.

Ile miałś lat?

– Niecałe pięć. Matka, żegnając nas na Dworcu Wschodnim, zanosila się płaczem, bojąc się, że nie wrócimy. Bo przecież ze Wschodu się nie wraca.

Pamiętasz podróż?

– Bardzo dobrze. W pociągu jechali w zasadzie tylko wojskowi i my. Po drodze odwiedziliśmy Grodno i dom, który ojciec przed wojną sam wybudował. Odwiedził swoją matkę i siostrę, którzy tam zostali. Panowała tam straszna bieda, dużo większa niż w Polsce. Musieliśmy pojechać później do Moskwy, żeby dostać jakieś dodatkowe dokumenty. W zakładach dla inwalidów wojennych udało mu się odnaleźć dwóch braci, którzy zaginęli w czasie rewolucji. Pamiętam odwiedziny u jednego z nich, nie miał ręki. Ojciec już nigdy więcej ich nie zobaczył.

Z Moskwy pojechaliście do rodziny w Kubaniu?

– Tak. Żona zamordowanego przez komunistów stryja wyszła ponownie za mąż, miała dzieci. Wyjechano po nas na dworzec końmi i zorganizowano wielkie przyjęcie na naszą cześć. Trochę już podchmieleni powiedzieli, że trzeba mnie pasować na Kozaka. Nalano mi do kieliszka spirytusu i kazano wypić. Później posadzono na konia. Jeden z Kozaków uwiesił się pod jego brzuchem i trzymał mnie za nóżki. Ojciec z przerażeniem krzyczał: „Zabijają mi syna!”. A oni, podpici, krzyczeli: „To Kozak, koń mu nic nie zrobi!”. Dwa razy przejechaliśmy chutor w jedną i drugą stronę. Myślę, że to pasowanie na Kozaka także w jakimś stopniu ukształtowało mój charakter.

Charakter twardego?

– Twardzielki. Zapamiętaj, że nawet gdy mówię o sobie z czasów sprzed tranzycji, na przykład o działalności w podziemiu, używam rodzaju żeńskiego i imienia Ewa. Inaczej jest mi cholernie trudno, jakbym musiała tłumaczyć coś na inny język.

Będę pamiętała. Kiedy pierwszy raz obudziła się w tobie kozacka dusza?

– W marcu 1968 r. zorganizowałam strajk w swoim liceum. W Śródmieściu protestowali studenci, więc dyrektor zakazał nam po lekcjach opuszczać szkołę. Byliśmy oburzeni. Wraz z kolegą namówiłam klasę, żeby wyjść na korytarz i śpiewać Pierwszą Brygadę, Warszawiankę i... Międzynarodówkę. Za chwilę dołączyły inne klasy. Wszyscy usiedli na podłodze. Chyba ze trzy godziny protestowaliśmy w ten sposób. Szkoła groziła milicją, ale w końcu nas wypuścili. Od razu pojechałam pod KC PZPR, potem na Nowy Świat. Widziałem, jak milicja pałuje studentów przy kościele Świętego Krzyża, pierwszy raz poczułam gaz łzawiący.

Na jaki kierunek studiów poszłaś po maturze?

– Fizyka na Uniwersytecie Warszawskim. Jednak po dwóch latach przeniosłam się na politechnikę, żeby mieć bardziej praktyczny fach w rękę. Zdecydowałam się na miernictwo elektryczne, na studiach poznałam przyszłą żonę Elżbietę. W 1975 r. po ślubie przeniosłyśmy się do Radomia, gdzie dostałyśmy pracę na tworzonej właśnie filii Politechniki Świętokrzyskiej. Edward Gierek postanowił wtedy osłabić duże, inteligentne ośrodki akademickie i tworzył uczelnie techniczne w mniejszych miastach.

Podobno Radom był wtedy nieprawdopodobnie biedny.

– To prawda. Zaledwie 100 kilometrów od Warszawy, a miało się wrażenie, że to inny świat. Typowo robotnicze miasto. Na podwórzach drewniane dobudówki, rozwalające się facjatki, mieszkania bez toalet. Do tego ciągły smród garbarni, zanieczyszczona rzeka. Zimą ludzie o szóstej wieczorem ustawiali się pod sklepami, żeby rano, po otwarciu sklepu, kupić kawałek kiełbasy. Nic dziwnego, że to właśnie w Radomiu wybuchły protesty w czerwcu 1976 r.

Wykładałaś wtedy na politechnice.

– Przez okno uczelni zobaczyłam dym, okazało się, że płonie Dom Partii podpalony przez demonstrujących. Zajęcia były zawieszono, więc poszłam na ulicę i widziałam, jak pałują robotników. Pamiętam też leżące na wózku przemysłowym ciała dwóch zabitych przygniecionych betonowymi płytami, które protestujący próbowali zepchnąć

z przyczepy w kierunku zbliżających się zomowców. Po Czerwcu przywoziłam z Warszawy do Radomia egzemplarze „Robotnika” i antykomunistyczne ulotki, które przed zajęciami rozkładałam w salach wykładowych. Rozchodziły się one później po całej uczelni. W 1978 r. filię politechniki przekształcono w samodzielną Wyższą Szkołę Inżynierską, której rektorem został prof. Marek Hebda.

Zajadły komunista. W październiku 1981 r. z powodu mianowania go na kolejną kadencję bez wymaganych procedur wybuchł strajk okupacyjny na uczelni w Radomiu, protestowało też niemal całe środowisko akademickie w Polsce.

– Po przyjeździe do Radomia Hebda zrobił zebranie z kadrą naukową i zabronił nam chodzić na msze w intencji zmarłego prodziekana z mego wydziału. Powiedział też, że jeśli ktoś z nas będzie nosił jakikolwiek religijny emblemat, natychmiast wyleci z uczelni. Był typowym stalinistą, taki relikw z dawnych czasów. W 1979 r. odmówiłam poprowadzenia studentów na pochód pierwszomajowy, rok później również, mimo że rektor kazał nam sprawdzać na nim listę obecności. To był mój gwóźdź do trumny. Po zakończeniu roku dziekan wręczył mi trzymiesięczne wypowiedzenie bez prawa wejścia na uczelnię.

Co zrobiłaś?

– Wróciłam do Warszawy. Dostałam pracę w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Latem wybuchły strajki, a 31 sierpnia podpisano Porozumienia Gdańskie. Mimo formalnego zakazu już 4 września pojechałam do Radomia i zorganizowałam na politechnice zebranie założycielskie „Solidarności”. Chyba pierwsze w województwie radomskim.

Przecież właśnie kończyło ci się wypowiedzenie.

– Przyznam, że zrobiłam to trochę z zemsty na władzach uczelni.

Początki „Solidarności” zastały cię więc już w Warszawie?

– Tak. Weszłam w skład Komisji Interwencyjnej przy mazowieckiej „Solidarności”, a w grudniu zostałam jej przewodniczącą. Dzięki temu uczestniczyłam w posiedzeniach Zarządu Regionu bez prawa głosu. Równolegle pracowałam w Instytucie Meteorologii.

Ciężko było łączyć pracę zawodową i działalność związkową?

– Obrady Zarządu trwały czasem do późna w nocy, a rano trzeba było iść do pracy. Pamiętam, jak w grudniu 1980 r. wywołano z obrad

do telefonu Janusza Onyszkiewicza⁶⁷. Wrócił błady, ale nic nie powiedział i kontynuował spotkanie. Dopiero mniej więcej o drugiej w nocy, gdy zakończyliśmy, Janusz powiedział, że dzwonił sekretarz stanu USA. Przekazał informację, że wojska radzieckie są na granicy Polski i że może być interwencja. My, cali w nerwach, pytamy, dlaczego nam o tym nie powiedział. A on ze swoim stoickim spokojem: „Ale przecież jest cisza, znaczy nie weszli”.

Wiemy z późniejszych przekazów, że groźba była realna. 9 grudnia 1980 r. Zbigniew Brzeziński, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA, pokazał prezydentowi Jimmy’emu Carterowi raport CIA. Co najmniej 27 dywizji radzieckich osiągnęło gotowość natychmiastowego wkroczenia do Polski. Zdaniem amerykańskiego wywiadu interwencja miała nastąpić najdalej w ciągu 48 godzin. „Rozmawiałem z prezydentem. Jedyne, co możemy zrobić, to pozbawić Sowieców elementu zaskoczenia i uświadomić im, jaką cenę będą musieli zapłacić na arenie międzynarodowej” – relacjonował po latach Brzeziński.

– Pamiętam, że po tym nocnym posiedzeniu Zarządu jeden z jego członków, Tadeusz Kłopotowski, rozwoził nas samochodem do domów. Spojrzałam przez okno auta i zobaczyłam Onyszkiewicza, który, jak gdyby nigdy nic, wracał do siebie swoim rowerem. W noc, w której do Warszawy mogły wjechać czołgi!

– To jego zachowanie to trochę symbol. Bo w pierwszej „Solidarności” mieliśmy poczucie, że uczestniczymy w historii przez duże „H”, a z drugiej strony umieliśmy trzymać na wodzy nerwy i uniknąć pokusy radykalizmu.

Poszłaś później na pierwszą linię frontu, zajmując się tworzeniem struktur związkowych w resortach siłowych.

– To był czas, kiedy wielu działaczy zaczęło brać urlopy bezpłatne i przechodzić na etaty w „Solidarności”. Dziś myślę, że to całkowicie normalne. Wtedy nie chciałam tak robić, uważałam, że powinnam normalnie pracować zawodowo, a działalność prowadzić dodatkowo, bezpłatnie. Jeden z wielu przypadków, gdy w życiu poślizgnęłam się na swoich ideałach. Zofia Romaszewska⁶⁸ powiedziała, że szef Komi-

⁶⁷ Janusz Onyszkiewicz - ur. w r. 1937, działacz opozycji demokratycznej od 1968 r. współpracownik KOR, współzałożyciel i członek prezydium mazowieckiej „Solidarności”, w stanie wojennym internowany. Po 1989 r. dwukrotnie szef MON, w latach 2004-2007 wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

⁶⁸ Zofia Romaszewska - ur. w r. 1940, działaczka opozycji demokratycznej w PRL, współtwórczyni Biura Interwencyjnego KSS „KOR” i podziemnego Radia „Solidarność”.

sji Interwencyjnej nie powinien przychodzić do pracy po godzinach, więc w kwietniu 1981 r. zrezygnowałam. Moje miejsce zajął jej mąż, Zbigniew⁶⁹. Szukając dla siebie nowej misji, zaczęłam zakładać „Solidarność” w MON i MSW.

Czyli poszłaś do jaskini lwa.

– Jak zwykle. Generalnie mundurowi nie mogli się zapisywać do związku, spór dotyczył cywilnych pracowników resortów obrony i spraw wewnętrznych, czyli na przykład zatrudnionych w wojskowej drukarni czy lekarzy ze szpitala MSW. Władze uważały, że „Solidarność” nie ma tam wstępu. My powoływaliśmy się na precedens, bo w pierwszych dniach po Porozumieniach Sierpniowych struktury związkowe powstały m.in. w wojskowych stocznicach, które brały udział w strajkach. Na Mazowszu też mieliśmy taki przypadek, bo „Solidarność” działała w podlegającej resortowi spraw wewnętrznych Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej.

Później już nie można było zakładać „Solidarności” w resortach siłowych?

– Ci, którzy to robili, natychmiast dostawali wymówienie z pracy. W porozumieniu ze Zbigniewem Bujakiem, szefem mazowieckiej „Solidarności”, zaczęłam w ich sprawach interweniować. Wiedziałam, że muszę dotrzeć do Wojciecha Jaruzelskiego. Wymyśliłam, że zrobię to przez wicemarszałek Sejmu Halinę Skibniewską, która była członkiem „Solidarności”, a po wprowadzeniu stanu wojennego nawet interweniowała u władz w sprawie internowanych. Wtedy też mi pomogła, dzięki niej udało się przywrócić ludzi do pracy. Sytuacja jednak była patowa, bo nadal nie pozwalano im rejestrować zakładowych komisji „Solidarności”. Tak więc byli członkami związku, ale nie mogli oficjalnie działać w swoich miejscach pracy.

Pogodziliście się z tym?

– Nie. Zostałam przedstawicielką Regionu Mazowsze na rozmowy

W stanie wojennym aresztowana i skazana na 3 lata więzienia. Zwolniona po roku uwięzienia na mocy amnestii. Dama Orderu Orła Białego.

⁶⁹ Zbigniew Romaszewski (1940-2014) – działacz opozycji demokratycznej w PRL, od 1977 był członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Wraz z żoną kierował Biurem Interwencyjnym KSS „KOR”. W latach 1980–1981 kierował Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”. Wybrany do prezydium zarządu Regionu Mazowsze związku, a następnie do Komisji Krajowej. W 1982 r. aresztowany i sądzony w dwóch kolejnych procesach przeciwko twórcom Radia „Solidarność” i działaczom KSS KOR, następnie więziony od 1982 do 1984. Po 1989 r. senator i wicemarszałek Senatu. Kawaler Orderu Orła Białego.

z delegacją rządową, której przewodniczył ówczesny minister administracji Józef Kępa, a w rzeczywistości kierował nią gen. Władysław Honkisz z MON. Na początku rozmów, w maju 1982 r., władze chciały się dogadać, ale później nastąpił nagły zwrot. Było czuć, że już tylko pozorują rozmowy. W końcu nie udało się nam nic osiągnąć.

Co się wydarzyło?

– To był czas, kiedy Jaruzelski ewidentnie podjął już decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Potrzebował ją tylko jakoś uzasadnić, dążył więc do konfrontacji. Przekonywał społeczeństwo, że „Solidarność” się radykalizuje, podpala kraj. Paradoksalnie zaczęło mu więc zależeć na eskalacji strajków i coraz większej liczbie protestów, a nie na porozumieniu. Niestety po naszej stronie zaczęła dochodzić do głosu nacjonalistyczno-katolicka frakcja „Solidarności”, ideowo zbliżona do dzisiejszego PiS-u czy nawet Suwerennej Polski.

Nieco ironicznie nazywano ich „prawdziwymi Polakami” lub „prawdziwkami”.

– Dla „prawdziwków” werbalnie wrogami byli komuniści. Strasznie głośno przeciwko nim krzyczeli, ale tak naprawdę zwalczali związany z KOR-em bardziej lewicowy nurt związku. De facto pomagali komunistom udowodnić tezę, że „Solidarność” tworzą ekstremiści. Zastanawialiśmy się, czy kieruje nimi tylko głupota i nacjonalizm, czy może też jakieś powiązania agenturalne. „Prawdziwi Polacy” szczególnie mocno dali o sobie znać na I Zjeździe Solidarności, który się odbywał w gdańskiej Hali Olivii.

I w którym uczestniczyłaś jako delegatka Regionu Mazowsze.

– W czerwcu 1981 r. wybrano mnie do Zarządu Regionu, zostałam też delegatką na I Zjazd NSZZ Solidarność. Podczas zjazdu weszłam do Komisji Uchwał i Wniosków. Startowałam też w wyborach do Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, ale z góry byłam skazana na przegraną, bo widziano, jak bardzo popieram takie uchwały jak: „Do mniejszości narodowych”, „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” czy podziękowania dla KOR-u. Pamiętam, że przed głosowaniem ktoś mnie spytał, czy nie jestem Żydówką.

Jak, ze swoim prawosławiem, kresowym pochodzeniem i transpłciowością, odbierałaś ten prawicowy nurt w „Solidarności”?

– Od dziecka słyszałam, że „jestem ruska”, dlatego rodzice mnie uczyli, żebym w szkole raczej nie mówiła, że jestem prawosławna. Posyłali

mnie nawet na katolicką katechezę, w efekcie chodziłam na podwójne lekcje religii. Ani w „Solidarności”, ani w stanie wojennym również nie opowiadałam o swoim wyznaniu, jeśli ktoś nie pytał. O transpłciowości, rzecz jasna, tym bardziej nikomu nie mówiłam. Ale te nacjonalistyczne tendencje w związku mocno mnie uwierały. Na I Zjeździe „Solidarności” zaproponowałam dopisanie do uchwały programowej takiego zdania: „NSZZ «Solidarność» zespala w sobie wiele nurtów społecznych, łączy ludzi o różnych światopoglądach i różnych przekonaniach politycznych i religijnych, niezależnie od narodowości”. Kilkanaście razy to odrzucano, ale się uparłam i w końcu moją poprawkę przyjęto. Pomogło to, że delegatom było zimno w tyłki.

Sala była nieogrzewana?

– Nie w tym rzecz. Nasze obrady się już kończyły, a w Hali Olivii rano miał się odbywać mecz hokejowy. Zaczęto już przygotowywać lodowisko i dosłownie zamarzały nam nogi. W końcu ta moja poprawka, chociaż okrojona, przeszła. Jestem z niej bardzo dumna do dziś.

Czym się zajmowałaś po zjeździe?

– W listopadzie zdecydowałam się wreszcie przejść na etat związkowy. Jednym z moich zadań były próby gaszenia strajków, które wybuchały wszędzie i stawały się przyczyną nagonki na „Solidarność”. Pamiętam strajk głodowy włókniarek w Żyrardowie w październiku i listopadzie 1981 r. W miasteczku nie było można kupić nic do jedzenia, kobiety pokazywały niezrealizowane od kilku miesięcy kartki na mięso. Powiedziały, że dopóki w mieście nie pojawi się żywność, nie wrócą do pracy. W odpowiedzi władze jeszcze bardziej ograniczały dostawy, brakowało nawet chleba. Pojechałam do tych kobiet, żeby je namówić na zakończenie strajku, bo wiedzieliśmy, że władza dąży do konfrontacji i tylko czeka na dalszą eskalację. Nie dały się przekonać. To były proste robotnice, które nie miały czym nakarmić dzieci. Dosłownie. Zaprowadziły mnie na halę fabryczną, maszyny przypominały te z filmu „Ziemia obiecana”. Uruchomiły jedną z nich, hałas był taki, że można było ogłuchnąć. Wracałam do Warszawy z poczuciem beznadziei, braku jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji.

Tuż przed stanem wojennym odegrałaś dużą rolę w czasie słynnego strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, którego pacyfikacja była ze strony władzy demonstracją siły, ale też – jak się wydaje – próbą generalną przed stanem wojennym.

– Zaczęło się od tego, że uczelni, która miała charakter cywilny,

chciano nadać status wojskowy. To dla studentów oznaczało dużo większy reżim, groźbę skoszarowania, a dla władzy – możliwość zmobilizowania podchorążych w czasie planowanego stanu wojennego i wykorzystania ich przeciw robotnikom. Ponieważ w mazowieckiej „Solidarności” odpowiadałam za resorty siłowe, studenci zgłosili się do mnie i przywieźli do szkoły późnym wieczorem 24 listopada. Studenci zgromadzili się na auli, chcieli strajkować. Cholernie się o nich bałam, wiedziałam, że strajk w resorcie siłowym to nie zabawa, bałam się nawet, że mogą zginąć. Przekonywałam, żeby zrezygnowali, obiecywałam, że w ich imieniu zastrajkują zakłady pracy.

Rozumiem, że o rezygnacji ze strajku nie chcieli nawet słuchać.

– Było tak, jak w książce „Szczegóły znaczące” napisała o mnie Hanna Krall.

„Mówił – jesteście wojskową uczelnią, może być gorąco, może polać się krew. Nie strajkujcie. Poprosiliście, żeby opuścić aulę. Wyszedł. Czekał na korytarzu. Modlił się. Prosił Boga, żeby nie było strajku. Dosyć rozlewu krwi w naszej historii, przekonywał, ale i Bóg, i studenci byli innego zdania. Po północy otworzyły się drzwi. Było głosowanie, będzie strajk”⁷⁰.

– Naprawdę się modliłam, żeby nie było strajku. W głosowaniu studentów tylko dwie osoby się wstrzymały, cała reszta była „za”. Od razu im powiedziałam, że w tej sytuacji zrobię wszystko, żeby Zarząd Regionu ich poparł.

Zarząd miał wątpliwości?

– Owszem. Zbyszek Romaszewski przekonywał, że strajk może być ubecką prowokacją. Tłumaczyłam, że to nieprawda. Na szczęście z prezydium Zarządu Regionu za wsparciem studentów byli Seweryn Jaworski i Zbigniew Bujak. Akurat tego dnia w Warszawie był Lech Wałęsa, postanowiliśmy więc z nim omówić sprawę. Rozmawialiśmy we czwórkę: Bujak, ja, Wałęsa i Bogdan Lis⁷¹. Powiedziałam, że idę do strajkujących i zostanę z nimi do końca. Zapytałam Wałęsę, czy – jeśli coś nam zrobią – „Solidarność” nas nie opuści i cały kraj stanie. „Daję słowo, że was nie opuścimy” – powiedział Lechu.

Wróciłaś na strajk?

⁷⁰ H. Krall, *Szczegóły znaczące*, Kraków 2022, s. 198.

⁷¹ Bogdan Lis – ur. w r. 1952, działacz opozycji demokratycznej w PRL. od 1978 r. współpracował z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża. Uczestnik strajków gdańskich w 1980 r., wiceprzewodniczący zarządu Regionu Gdańskiego „Solidarności”, członek Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej. Został aresztowany w czerwcu 1984 r., zwolniony po pół roku na mocy amnestii. Ponownie aresztowano go w lutym 1985 r., następnie skazany na 2 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Zwolniony we wrześniu 1986 r. również na podstawie amnestii. Po 1989 r. senator i poseł.

– Tak. Okazało się jednak, że szkołę otoczyły patrole milicji i pilnują, żeby do niej nikt nie wszedł. Dałam studentom znak, żeby otworzyli bramę, rozpedziłam się i z impetem wbiegłam między milicjantów. Funkcjonariusze trzymali mnie za jedną rękę, a strajkujący za drugą, przez jakiś czas przeciągali mnie jak linę. Zwyciężyli studenci, dzięki czemu znalazłam się na terenie szkoły. Koło południa zjawił się ks. Jurk Popiełuszko. Zaszedł od tyłu szkoły, milicjanci udali, że go nie widzą, a studenci wciągnęli go przez płot. Wtedy go poznałam.

Jaki był?

– Przez to, w jakich okolicznościach go poznałam, widzę w nim do dziś przede wszystkim sprawnego polityka. Ale takiego, którego celem była walka o lepszą Polskę i realne zniszczenie zła. Był uduchowiony, a jednocześnie bardzo pragmatyczny. Już w stanie wojennym, po trzech miesiącach ukrywania się, spotkałam się z nim w jego kawalerce przy Chłodnej. „Wypijemy koniaczku?” – powiedział na przywitaniu. Był pierwszą osobą, która od wprowadzenia stanu wojennego zapytała mnie, czy mam pieniądze na życie.

Przyjaźniliście się?

– Tak. Chyba łączyło nas wschodnie pochodzenie, nawet nazwiska mieliśmy przecież podobne. Po jego śmierci redakcje katolickie prosiły mnie o wspomnienia, a ja mówiłam także o koniaczku albo o tym, że czasem przeklinał. Nic z tego nie wydrukowano, bo Jurkowi pisano już hagiografię. W ostatnich miesiącach przed jego zabójstwem coraz szczerzej otaczali go artyści, którzy uczestniczyli w mszach za ojczyznę. Znajomym z czasów strajków trudno się było już do niego dopchać. On sam się dziwił tej swojej nagłej popularności. Pamiętam jego ostatnie imieniny w maju 1984 r. Powiedział: „To dziwne, że polscy patrioci tak mnie uważają⁷². Przecież ja do szkoły średniej nie mówiłem dobrze po polsku”. Starsi mieszkańcy jego rodzinnych Okopów ciągle jeszcze mówią gwarą białoruską.

Podczas strajku w WOSP odwiedzał was regularnie?

– Tak, odprawiał msze, spowiadał. To robiło wrażenie, bo uczelnia była jednak mundurowa i nie było w niej wcześniej miejsca na sprawy religijne. W ogóle działy się wtedy niezwykle rzeczy. W pewnym momencie do patrolowania strajku przywieźli podchorążych oficerskiej szkoły milicyjnej ze Szczytna. Byli to rówieśnicy strajkujących, więc

⁷² W gwarze podlaskiej – szanują.

szybko zaczęli się z nimi bratać. Nasi dawali im pączki, które ciągle przynosili ludzie, a oni odwdzięczali się papierosami. Władza musiała to zauważyć, bo wkrótce chłopaki ze Szczytna odjechały, a na ich miejsce pojawiło się ZOMO.

Spodziewaliście się desantu antyterrorystów?

– Wiedzieliśmy, że coś się szykuje. Uczelni odcięto łączność ze światem, ale na szczęście dostałam od Wiktora Ćwiklika, szefa „Solidarności” w Instytucie Meteorologii, walkie-talkie. Ostatniej nocy informowano nas, że coraz większe siły milicji zmierzają do Warszawy. Wiesz, co wtedy zrobiłam? Poszłam pod prysznic! Pomyślałam, że nie chcę być w pierdlu brudna. Człowiek w stresie zachowuje się dziwnie.

2 grudnia 1981 r. o 10 rano przeprowadzono na uczelnię desant jednostki specjalnej z bronią maszynową. Antyterrorystów spuszczano na linach z helikopterów.

– Pamiętam, że na hełmach mieli wymalowane trupie czaszki. Jakby chcieli pokazać, że nie są normalnymi funkcjonariuszami i że mogą wszystko. Była to, nawiasem mówiąc, jednostka antyterrorystyczna z lotniska Okęcie, którą kierował późniejszy poseł SLD Jerzy Dziewulski. Najpierw zabrali studentów, później 20 robotników, którzy przyszli na strajk, a na końcu mnie i Seweryna Jaworskiego, który także reprezentował Zarząd Regionu. Próbowano mnie bezskutecznie przesłuchiwać, trochę straszono, aż w końcu wieczorem, gdy „Solidarność” zagroziła strajkiem, odwieziono do domu. Nie było wątpliwości, że był to pokaz siły i ćwiczenia przed stanem wojennym.

W 2011 r. IPN wyprodukował film „Próba generalna” o strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa. Nie ma w nim ani słowa o tobie, a Seweryn Jaworski opowiada o wszystkim tak, jakby był jedynym obecnym na miejscu przedstawicielem Zarządu Solidarności.

– Naprawdę nie wiesz, o co chodzi? Odkąd przeszłam tranzycję, jestem systematycznie wymazywana z historii. W 2006 r. w Wyższej Szkole Pożarnictwa odbywały się uroczystości 25-lecia strajku, w którym przecież aktywnie uczestniczyłam. Nie dostałam zaproszenia, ale mimo to poszłam na obchody. Miałam trudności z wejściem na salę, ale w końcu się udało. Długo nie chciano mi udzielić głosu, ale w końcu, po interwencji z sali, dano mi mikrofon. Powiedziałam, kim jestem, wyjaśniłam, że znali mnie jako mężczyznę, ale jestem tą samą osobą. Dostałam burzę braw od byłych studentów, którzy ze mną strajkowali, ale organizatorzy sekowali mnie z tych obchodów, jak mogli. W trakcie

oddzielnej uroczystości odznaczano Seweryna Jaworskiego i na to wydarzenie już mnie nie wpuszczono. Jeden z kolegów, w 1981 r. członek Komitetu Strajkowego, powiedział mi wprost: „Marka znałem, ale ciebie nie!”. To trwa do dziś. To wykreślanie mojego nazwiska z historii boli czasem bardziej niż milicyjna pałka. Choć czasem ludzie zaskakują także pozytywnie. W 2006 r., w rocznicę stanu wojennego, prawniczy prezydent Lech Kaczyński wręczył mi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, gratulując, pocałował nawet w rękę.

Wracając do 1981 r. – w jaki sposób uniknęłaś internowania 13 grudnia?

– Czekali na mnie przy rodzinnym domu, gdzie byłam zameldowana, tymczasem od jakiegoś czasu mieszkalam wtedy z żoną na Chomiczówce. Dzięki pomyłce bezpieki zyskałam trochę czasu. Wiedziałam, że muszę się ukrywać, pożegnałam się z synami, jeden miał sześć lat, drugi sześć miesięcy. Najpierw pojechałam do Huty Warszawa, gdzie trwał jeszcze strajk. Karol Szadurski, przewodniczący Komitetu Strajkowego, powiedział mi, żebym z nimi nie zostawała, bo nie wiadomo, czy jakiś członek Zarządu Regionu jest jeszcze na wolności, a przecież ktoś będzie musiał podejmować decyzje. Później próbowałam się dostać do zakładów w Ursusie, ale były już szczelnie otoczone. Na drugi dzień pojechałam jeszcze na politechnikę, do Instytutu Meteorologii, a także do FSO. Tam też mi powiedziano, żebym nie dołączała do strajku, bo i tak go zaraz rozbiją, a ja, jako członkini władz związku, muszę pozostać na wolności.

Posłuchałaś?

– Tak. Postanowiłam jednak zorganizować pierwsze spotkanie konspiracyjne, na które 16 grudnia przyszło siedmiu, może ośmiu działaczy, głównie z dużych warszawskich zakładów. Zaczęliśmy budować solidarnościowe podziemie w Warszawie. Chciałam się zorientować, co się dzieje w innych miastach, z przygodami udało mi się dotrzeć do Częstochowy, Kielc i Radomia. Wnioski nie były wesołe, okazało się, że właściwie, oprócz strajków w kilku kopalniach na Śląsku i w hutach, protesty wygasają. Ludzie na ogół psychicznie złamani, nie ma woli, żeby otwarcie kontynuować walkę. Na moim kolejnym spotkaniu konspiracyjnym było już kilkanaście osób. Od razu utworzyły się dwie frakcje. Radykalna, z Adamem Borowskim na czele, powtarzała, że „czerwonych trzeba bić”. Ja i moja grupa przekonywaliśmy, że to w tej sytuacji bez sensu. Że trzeba spokojnie budować podziemie, taką „Armię Krajową”, tyle że bez broni. Tworzyć konspiracyjne komórki, drukarnie, siatkę kolportażu i czekać na odpowiedni moment. Borowski twierdził, że w ten sposób zdradzam robotników, w tym górników, których właśnie zabito w kopalni Wujek.

Jaki był efekt spotkania?

– Taki, że Borowski zaczął tworzyć Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności”, a ja Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny.

W Warszawie były więc dwie równoległe struktury podziemnej „Solidarności”?

– Różnych grup było nawet więcej, ale nasze dwie były największe. Ja uznawałam przywództwo Zbigniewa Bujaka, szefa mazowieckiej „Solidarności”, który na skutek internowania Wałęsy został przewodniczącym Tymczasowej Komisji Krajowej, a więc przywódcą całego podziemia. Bujak skutecznie się ukrywał aż do 1986 r.

Jak układały się twoje relacje z Borowskim?

– Wiosną 1982 r. zaproponował mi, żebyśmy razem zorganizowali protesty na 1 i 3 maja. Ja uważałam, że półoficjalne wystąpienie obu organizacji jest zbyt ryzykowne. Uznałam, że członkowie naszego komitetu mogą uczestniczyć w manifestacjach, ale – ze względów bezpieczeństwa – bez szyldu „MKK”. Prawdę mówiąc, miałam też cynk, że we władzach MRK „S” jest agent, co też powodowało mój dystans do tej propozycji. Tymczasem grupa Borowskiego była przekonana, że koniec komuny jest blisko i 1 i 3 maja wszyscy wystąpili z transparentami z nazwą swojej organizacji. Efekt był taki, że zaczęli ich stopniowo wyłapywać. Latem 1982 r., po kolejnych aresztowaniach w MRK „S”, nawiązali ze mną kontakt Romaszewscy, którzy tworzyli podziemne Radio Solidarność. Niestety wkrótce ich też zamknęli.

Zostałaś sama?

– Tak. Wiesz, jakie to straszne uczucie? Ludzie mówili: „Teraz szefujesz głównej organizacji mazowieckiego podziemia, rządysz Warszawą”. A ja nie miałam żadnej satysfakcji. Wiedziałam, że w tej sytuacji następną aresztowaną muszę być ja. Z ulgą powitałam powstanie Grup Oporu „Solidarni” Teodora Klincewicza i nawiązałam z nim współpracę. Oczywiście obiektywnie moja pozycja wzrosła. Kiedy w Falenicy SB nakryło tajną drukarnię, w której drukowano „Tygodnik Mazowsze”, dostałam od Zbyszka Bujaka zadanie wydrukowania 20 tys. egzemplarzy gazety w ciągu dwóch dni. Chodziło o to, żeby bezpieka nie myślała, że nakryła najważniejszą podziemną drukarnię.

Udało się?

– Owszem, choć to był niemal cud.

W wielu źródłach historycznych można przeczytać, że twoja struktura miała swoje „grupy specjalne”. Co to takiego?

– Wykonywały zadania specjalne, jak zatrzymywanie jadących kolumn milicji czy ochranianie demonstrantów podczas ataku ZOMO. Gdy milicja atakowała ludzi, członkowie grup kierowali na siebie uwagę, prowokując funkcjonariuszy, a później dawali dyla. Uczestniczyli też w głośnym odbiciu Jana Naroźniaka⁷³. Będę szczerą – to często nie byli grzeczni chłopcy. Pochodzili głównie z Kamionka i okolic Żytnej na Woli, już wcześniej lubili się pobić z milicjantami. Teraz mieli okazję, żeby robić to w słusznej sprawie. Grupy specjalne organizowali Piotr Rzewuski i Krzysztof Łoziński, późniejszy szef KOD. Na przełomie stycznia i lutego 1982 r. połączyliśmy siły z podziemną grupą Wola skupioną wokół trzech przyjaciół z polonistyki: Michała Boniego, Andrzeja Urbańskiego i Macieja Zalewskiego. To oni byli pomysłodawcami nazwy „MKK”. Drukowali gazetę „Wola”, dla której ja z kolei dałam kolportaż. Mieli też za sobą duże zakłady z Woli. Po połączeniu to już była naprawdę duża siła. Kiedyś policzyliśmy, że mieliśmy w organizacji czynnych około 700 osób.

Jak słucham tego, co mówisz, to mam wrażenie, że w podziemiu radziłaś sobie dużo lepiej niż w „normalnym” życiu.

– Zdecydowanie. Ze względu na transpłciowość całe życie żyłam w konspiracji, więc to dla mnie był stan naturalny. W czasie działalności podziemnej na jakiś czas zapomniałam o swojej dysforii. Bycie w ciągłym zagrożeniu zadusiło ból związany z tym, że żyję jako ktoś inny, niż jestem. Pewnie dlatego rzucałam się na barykady, na które inni nie chcieli. Ale okazało się, że to nie jest trwałe lekarstwo. W stanie wojennym, ukrywając się na Saskiej Kępie, weszłam do tamtejszej księgarni i natrafiłam na nową książkę prof. Kazimierza Imielińskiego „Zarys seksuologii i seksiatrii”. Było tam hasło „transseksualizm”. Pierwszy raz zobaczyłam opis w języku polskim tego, kim jestem. Zobacz, mam tę książkę do dziś.

„Rozbieżność między poczuciem psychicznym płci a budową ciała morfologiczno-biologiczną oraz płcią socjalną (metrykalną), które odczytywane są jako obce i należące do płci przeciwnej. Transseksualista czuje

⁷³ Jan Naroźniak – ur. w r. 1950, działacz opozycji demokratycznej w PRL, członek „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się. Zatrzymany na Żoliborzu w maju 1982 r. i postrzelony przy próbie ucieczki. Trafił do szpitala przy ulicy Banacha, ale został uwolniony przez grupę działaczy podziemia. Odbicie Naroźniaka było jedną z najbardziej spektakularnych akcji „Solidarności” w stanie wojennym.

się mężczyzną «uwięzionym» w ciele kobiety i odwrotnie⁷⁴. Dalej jeszcze kilka stron na ten temat, w tym przykłady kliniczne. Język przestarzały, ale treść całkiem w porządku.

– Ta książka była dla mnie wstrząsem. Na jakiś czas znowu wszystko wróciło. To był jedyny moment w podziemiu, kiedy miałam chwile zwątpienia. I znak, że to, kim jestem, prędzej czy później do mnie wróci.

Widywałaś się wtedy z rodziną?

– W zasadzie nie. Raz udało mi się przedrzeć do domu na jedną noc. Latem 1982 r. Jurek Popiełuszko wysłał moją żonę i dwójkę synów do Zofii Bigosowej na Głodówkę koło Bukowiny Tatrzańskiej. Sam opłacał im ten pobyt, trzymając to przede mną w tajemnicy, spędzili tam kilka miesięcy. Pamiętam, że razem z nimi była też córka Jana Lityńskiego⁷⁵. Tęskniłam za rodziną, więc pojechałam do nich na niecały jeden dzień. Namierzyła mnie wtedy milicja, zrobili na mnie obławę, uciekałam, chowając się wśród owiec, a później biegnąc przez las. Nawet do mnie strzelili, gdy przechodziłam przez płot.

Kiedy wpadłaś?

– Pod koniec listopada 1982 r. Wracałam ze spotkania z łącznikiem Bujaka – Jerzym Kłosińskim i nagle na ulicy pojawiły się cztery samochody. Tajniak przystawił pistolet do mojej piersi, kazał położyć ręce na samochód, przeszukał, znalazł fałszywe dokumenty spreparowane na nazwisko Jan Szulim. Zawieźli mnie na Rakowiecką i próbowali przesłuchiwać. Odmawiałam zeznań, długo nie chciałam podać nawet swego imienia i nazwiska, przez co oni nie mogli rozpocząć przesłuchania. Szantażowali, że wrzucą mnie do „stodoły”, czyli zbiorowej celi z kryminalistami, straszili, że współwięźniowie na pewno mnie tam zgwałcą. Robili ordynarne kontrole osobiste, wyzywali, żeby sprowokować. Na Rakowieckiej siedziałam w zimnej celi z wybitymi oknami, ale też stosowano wobec mnie różne triki psychologiczne. Pewien esbek częstował mnie na przykład herbatą, rozmawiał o operze. Po mojej odmowie zeznań rzucał krzesłem o podłogę i groził pobiciem przez stojących przy drzwiach ubeków. Po ostatnim przesłuchaniu, odprowadzając mnie już do celi, gdy znalazł się w miejscu, w którym nikt

⁷⁴ K. Imieliński, *Zarys seksuologii i seksiatrii*, Warszawa 1982, s. 254.

⁷⁵ Jan Lityński (1946-2021) – działacz opozycji demokratycznej w PRL, uczestnik wydarzeń marcowych w 1968 r. członek KSS „KOR”. Doradca „Solidarności”. W stanie wojennym internowany, następnie aresztowany. Po 1989 r. poseł i doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego. Jego córka Barbara (1973-2023) była jedną z najbardziej rozpoznawalnych w Polsce artystek z zespołem Downa, pisała poezję i grała w teatrze.

go nie mógł zobaczyć, wyciągnął jednak rękę i powiedział: „Gratuluję postawy!”. Dał sygnał, że tak naprawdę nam kibicuje. Weszłam do celi i powiedziałam do Henryka Wujca⁷⁶, z którym siedziałam: „Komuna się kończy!”

O co cię oskarżono?

– O dezercję z zakładu zmilitaryzowanego, jakim w stanie wojennym stał się IMGW. Groziła za to czapa. Oprócz tego o udział i przywództwo w organizacji mającej na celu obalenie ustroju, a także posługiwanie się fałszywym dokumentem. Później zwolniono mnie z zarzutu dezercji. Moimi obrońcami byli Andrzej Grabiński i Jan Olszewski. W sumie spędziłam w więzieniu nieco powyżej pół roku. Wyszłam w 1983 r., dostając wyrok w zawiasach. Odmowa zeznań najwyraźniej się opłaciła.

Czym się zajmowałaś po wyjściu?

– To były takie czasy, że ludzie, którzy kiedyś działali w „Solidarności”, ciągle sobie jakoś pomagali. Między innymi w znalezieniu pracy, czasem bardzo dziwnej. Po wyjściu z więzienia w 1983 r. dzięki aktorce Krystynie Wolańskiej przez jakieś pięć miesięcy byłam menedżerką zespołu artystycznego o nazwie „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej”. Prawie prywatna inicjatywa, choć rejestrowana przy wojewódzkich oddziałach państwowej Estrady. Szczerze mówiąc, to były chałtury, jeździliśmy po prowincjonalnych domach kultury, od Łańcuta do Rzeszowa, a bilety były rozprowadzane w miejscowych zakładach pracy. Występowali u mnie m.in. Włodzimierz Korcz, Alicja Majewska, Jarema Stępowski, a konferansjerką była Edyta Wojtczak. Największe tłumy przyciągała jednak aktorka Elżbieta Starostecka, bo właśnie wszedł na ekrany film „Trędowata”, w którym zagrała główną rolę. Na nią waliły prawdziwe tłumy. Wyobraź sobie, że wozilałam nawet teksty do akceptacji cenzury, bo wymagała tego ustawa o kontroli publikacji i widowisk.

Jak trzeba, to trzeba. Artyści wiedzieli, że jesteś działaczką podziemnej „Solidarności”?

– Oczywiście. Wiesz, nie gadało się o tym wprost, ale miałam wrażenie, że oni wszyscy są po tej samej stronie, co ja.

⁷⁶ Henryk Wujec (1940-2020) – działacz opozycji demokratycznej w PRL, członek KSS „KOR”, współzałożyciel mazowieckiej „Solidarności”, członek zarządu i prezydium regionu oraz Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym internowany, a następnie aresztowany. W więzieniu spędził 11 miesięcy. Po 1989 r. poseł, wiceminister rolnictwa, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego. Pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego.

Nie wróciłaś do władz MKK?

– Nie. Po pierwsze, strukturami rządziła już lekarka Ewa Choromańska, zresztą świetna osoba. Po drugie, po więzieniu byłam spalona, wiedziałam, że będę pod stałą obserwacją. Jednak dalej czynnie działałam w podziemiu.

W 1984 r. zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę.

– Gdy go porwali, remontowałam akurat na Muranowie mieszkanie jego kierowcy Waldemara Chrostowskiego. Cztery tygodnie przed śmiercią księdza podpałiło je SB, pamiętam, że akurat zakładałam elektrykę, gdy przyszedł ktoś z archidiecezji i pytał o żonę Chrostowskiego. Poszła akurat na czyjś ślub, byłam sama, zaczęłam więc wypytywać, o co chodzi. Wysłannik kurii powiedział mi o porwaniu. Niemal natychmiast z inicjatywy Seweryna Jaworskiego zaczęłam szefować straży wokół kościoła pod wezwaniem Świętego Stanisława Kostki, gdzie pracował ks. Jerzy. Całą dobę tłumy ludzi modliły się w nim o ocalenie księdza, więc baliśmy się prowokacji służb. Gdy się dowiedziałam, że znaleziono jego ciało, spontanicznie, wraz z kolegą, weszłam na wieżę kościoła i zaczęliśmy bić w dzwony. Później przywieźli Jurka w trumnie z białostockiego zakładu medycyny sądowej, ciało miało być przełożone do innej trumny, trzeba więc było wyprosić ludzi z kościoła. Nawet nie wiesz, ile usłyszałam wtedy wyzwisk! „Ubek” było chyba najłagodniejsze, nie wiedziałam, że pobożne kobiety znają takie słowa. Widziałam zmasakrowane ciało Jurka przekładane do miedzianej trumny, którą robotnicy z Huty Warszawa starannie zalutowali, żeby powietrze nie dostawało się do środka.

Kiedy wróciłaś na uczelnię?

– W 1986 r. Tym razem pozwolono zatrudnić mnie tylko na stanowisku technicznym na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Było ciężko. Pamiętam, jak przed 1 maja 1987 r. aresztowano wielu przywódców „Solidarności”, na Mazowszu z czołówki podziemia zostaliśmy tylko ja i Maciej Jankowski⁷⁷. Poprowadziliśmy manifestację i strasznie nas pobito. Przy okazji my też parę razy ostro zdzieliliśmy milicjantów transparentem, przyznam, że było to przyjemne. Później już było mniej przyjemnie, bo rzucili mnie do nyski, miałam kolegium za pobicie funkcjonariuszy, które skazało mnie na 42 tysiące złotych

⁷⁷ Maciej Jankowski (1946-2019) – od 1980 r. działacz „Solidarności”, jeden z liderów związku na Mazowszu. Internowany od grudnia 1981 r. do marca 1982. W latach 1990-1998 wiceprzewodniczący mazowieckiej „Solidarności”.

grzywny. Gdy mnie wypuszczono, miałam posiniaczone ręce, w związku z czym dość niezgrabnie płukałam na uczelni naczynia laboratoryjne i wolno przygotowywałam odczynniki chemiczne. Pamiętam, że szef mnie wtedy skrzyczał, że źle pracuję, a ja powiedziałam, że właśnie pobiła mnie milicja. Strasznie przeproszał, a na uczelni zorganizowano zrzutkę na moją grzywnę. Takie były czasy. Tamto zatrzymanie to był mój ostatni spektakularny solidarnościowy wyczyn.

Bo?

– Wracając z aresztu, nie miałam już żony. Wyjechała do Wiednia, zostawiając mnie i dzieci. Z tego powodu dostałam zresztą później rozwód kościelny, a sąd zawiesił jej prawa rodzicielskie. Nie miałam wyjścia, musiałam się wtedy zająć bardziej synami niż Polską.

Miałaś pieniądze?

– Żyłam biednie, bo zarobki nie były wysokie, a musiałam utrzymać dzieci. Na szczęście Uniwersytet Warszawski współpracował wtedy z Deutsches Elektronen-Synchrotron, znanym laboratorium fizyki i ośrodkiem badawczym w Hamburgu. Wysyłano naszych pracowników na stypendia, podczas których można było niezłe zarobić. Starałam się tam wyjechać od 1987 r., ale oddelegowano mnie dopiero w 1989 r. W Polsce akurat zaczynały się przemiany. W czasie Okrągłego Stołu szykowałam się do wyjazdu, spotkał mnie wtedy na ulicy Zbyszek Bujak i mówi: „Dokąd ty wyjeżdżasz, jesteś teraz potrzebna w Polsce!”. Odpowiedziałam, że muszę zarobić na dzieci. W wyborach do Sejmu kontraktowego 4 czerwca głosowałam w konsulacie w Kolonii. W Hamburgu poznałam piękną dziewczynę, w której zakochałam się na zabój. To była jedyna miłość mojego życia, uczucia nawet dotąd przetrwały. Po dwóch tygodniach byliśmy już parą. Ściągnęłam dzieci i razem je wychowywałyśmy.

Jak miała na imię?

– Joanna. Była córką Ślązaczki i artysty występującego kiedyś w słynnym Cygańskim Zespole Pieśni i Tańca „Roma”. Wykształcona osoba, skończyła Uniwersytet Hamburski. Dzięki niej weszłam w świat bogatych Romów z etnicznej grupy Lowarów, którzy w dawnych czasach słynęli z handlu końmi, a teraz dywanami i samochodami. Jej rodzina mnie zaakceptowała, doczekaliśmy się syna, planowaliśmy nawet ślub. Romski świat jest fascynujący, ale trudno się w nim odnaleźć. Rodzina Joanny przyjechała kiedyś do Niemiec kupić samochód, bo w Szwecji, gdzie mieszkali, płaci się, jak wiadomo, gigantyczne podatki. To była

jakaś skomplikowana operacja finansowa, dużo kombinacji. W pewnym momencie za swoje dwuletnie niemieckie oszczędności musiałam wykupywać z lombardu zastawioną tam złotą biżuterię wartą kilkadziesiąt tysięcy marek, pojechałam po nią swoim wartburgiem, budząc sensację. To były czasy, kiedy dla miłości byłam gotowa zrobić wszystko. Na wszelki wypadek, jakbyś miał wątpliwości, dodam, że rodzina Joanny oddała mi wszystko co do grosza.

Nie żałowałaś, że nie uczestniczysz w historycznych przemianach w Polsce?

– Oczywiście, że żałowałam. W czasie rządów Tadeusza Mazowieckiego przyjechałam na kilka dni do Warszawy i przypadkowo spotkałam Anatola Lawinę, którego znałam z podziemia. Tolek był ważnym dyrektorem NIK-u i strasznie mnie ochrzanił, że siedzę teraz w Hamburgu. Zadzwoił do MSW i powiedział, że za dwie godziny mam się stawić u nowego ministra Krzysztofa Kozłowskiego. Właśnie zastąpił na tym stanowisku gen. Kiszczaka, zaczynał tworzyć policję i służby specjalne demokratycznego państwa.

Pojechałaś?

– Tak, choć się strasznie wstydziłam, bo miałam na sobie wytarty, porozciągany sweter. Dziwnie było wchodzić na Rakowiecką do budynku, w którym kilka lat wcześniej byłam po aresztowaniu. Kozłowskiemu powiedziałam: „Panie ministrze, na tym korytarzu byłam kiedyś w kajdankach”.

Po co Kozłowski cię zaprosił?

– Miał propozycję. „Obejmie pan fotel wiceministra i Departament Zaopatrzenia”, powiedział. „Mamy stary sprzęt po milicji i zdezelowane nyski, tak w nowej Polsce nie może być”. Pomyślałam: cholera, to byłoby niezwykle uczucie siedzieć w miejscu, gdzie mnie ciągnano jako więźnia, i zamawiać nowe pałki i kajdanki!

Dlaczego się nie zgodziłaś?

– Pojechałam do Hamburga skonsultować sprawę z Joanną, ale powiedziała, że o powrocie do Polski nie ma mowy. To był jeden powód. Drugi dotyczył mojej transpłciowości.

To znaczy?

– Bardzo już wtedy cierpiałam, dysforia była naprawdę silna. Bałam się o siebie, nie byłam pewna, czy się nie załamie. Pojawiły się też

pierwsze myśli o tranżycji, pomyślałam, że jeśli się na nią zdecyduje jako wiceminister, będzie straszny skandal. To były czasy, kiedy wszyscy czuliśmy się odpowiedzialni za Polskę i naprawdę wiele mogliśmy dla niej poświęcić. W 2006 r. spotkałam Kozłowskiego podczas uroczystości 30-lecia KOR-u. Przywitał mnie słowami: „Pani Ewo, do dziś nie rozumiem, czemu pani się wtedy nie zdecydowała”.

Co odpowiedziałas?

– Spytałam, czy nie widzi różnicy między osobą, która przyszła do niego wtedy, a tą, która stoi dziś. „Nie widzę!” – odpowiedział. Pozytywnie mnie zaskoczył. Wiedziałam, że jest katolikiem i bałam się, że ma uprzedzenia. Zapewnił mnie, że nie.

Żałujesz, że nie zostałas wtedy wiceministrem?

– Żałuję, ale chyba nie zostałam stworzona do kariery. Siostra Joanny, stu-procentowa Romka, kiedyś mi wróżyła i złapała się za głowę. Powiedziała, że takiego układu kart w życiu nie widziała. „Twoje życie będzie niezmiernie skomplikowane, na zmianę będziesz zaliczała góry i doły. Tylko jedno się nie zmieni: nigdy nie będziesz miała pieniędzy”. Szczerze mówiąc, wszystko się sprawdziło w stu procentach.

Wkrótce i tak wróciłaś do Polski.

– Tak. Bałam się, że Joanna się dowie, kim jestem, i mnie odrzuci. To był paradoks, bo miłość była moją jedyną ucieczką od prawdy o sobie, a jednocześnie powodowała ogromne wyrzuty sumienia, że oszukuję najbliższą osobę, i lęk, że może ona odkryć to, kim jestem. Jednocześnie łaknęłam miłości. Weszłam nawet w nowy związek, a po jego zakończeniu w 1997 r. systematycznie leciałam psychicznie w dół. Jesienią 1998 r. nie byłam już w stanie wytrzymać i zaplanowałam samobójstwo.

Opowiedz o tych chwilach?

– Zależało mi, żeby dzieci nie zostały z piętnem ojca-samobójcy. Myślałam, żeby zniknąć, wyjeżdżając do Ameryki Południowej, i doprowadzić się do śmierci. Takie samobójstwo na raty. Ostatecznie chciałam upozorować wypadek, wjeżdżając samochodem do Wisły. W końcu postanowiłam to zrobić 11 listopada 1998 r. Było akurat święto narodowe, wolny dzień, więc zawiozłam dzieci do matki, a sama zamknęłam się w domu. Rozpędziałam się i z całych sił waliłam głową w ścianę, żeby odwrócić uwagę od psychicznego bólu. Mocno się potłukłam. I nagle poczułam, że ktoś mnie wziął za ramię i powalił na kolana przed ikoną. Powiedziałam: „Boże, przyrzekam, że będę żyć, ale pozwól mi wszystko zmienić”.

O tym momencie twojego życia również pisze Hanna Krall. „Chciał umrzeć. Ukłękł przed ikoną Matki Włodzimierskiej. Żeby się zwierzyć. Żeby prosić o przebaczenie. Coś się z nim stało. Nie potrafi tego racjonalnie wytłumaczyć. Chociaż ma taki ścisły umysł – fizyka i inżyniera. Tyle rzeczy rozumiał i umiał zmierzyć. Szyny kolejowe w ruchu, wilgotność gruntu neutronami, a nawet podwójne układy ciał niebieskich. Co stało się przed ikoną włodzimierską – nie rozumiał. Poza jednym: kazano mu żyć⁷⁸”.

– Wiesz, że w pierwszej wersji Krall napisała, że była to ikona częstochowska? Powiedziałam jej, że ma być tak, jak było w rzeczywistości, czyli włodzimierska.

Co było później?

– Poszłam cała pokaleczona do firmy. Dobrze w niej wtedy zarabiałam, jedyny raz w życiu. Ale wiedziałam, że nie wytrzymam. Po pracy zadzwoniłam do lekarza, dr. Stanisława Dulki. Wyrecytowałam: „Jestem osobą transseksualną, wiem to od lat. Wczoraj próbowałam dopełnić samobójstwo”. Przed Bożym Narodzeniem już miałam wydaną przez komisję lekarską diagnozę.

Gdzie przeszłaś operację?

– W Gdańsku. To był 2000 r., w Warszawie wtedy nie robiono chirurgicznej tranzycji. Poprosiłam, żeby operację, którą wtedy robiono dwuetapowo, zrobiono mi za jednym razem. Lekarz początkowo nie chciał się zgodzić, ale się uparłam. Trwała aż 13 godzin. W rodzinie wszyscy mnie wyklęli, jedyną osobą, która mnie odwiedziła w szpitalu, był mój syn. „To, co zrobiłeś, jest wielkie”, powiedziała mi, gdy przyszedł na oddział.

Duchowość pomogła ci w tranzycji?

– Uratowała mi życie. Zresztą już wcześniej ratowała. Przez lata Bóg był moim jedynym powiernikiem, tylko przed Nim mogłam być sobą, tylko Jego nie oszukiwałam. Nawet spowiednikowi nie mogłam powiedzieć, że jestem kobietą.

Teraz mówisz?

– Pamiętam pierwszą spowiedź po tranzycji w Ławrze Supraskiej, o której przynależność do Cerkwi walczyłam u samego Wałęsy. Kiedy powiedziałam o sobie, zakonnik aż odskoczył z przerażenia. Musiałam przerwać sakrament. Poszłam do metropolity Sawy, który wyznaczył

⁷⁸ H. Krall, op. cit., s. 200.

mi dwóch mądrych spowiedników, nazywanych w prawosławiu duchownikami. Im ufam. Dwa lata po tranzyjacji miałam potrzebę mocno przeżyć Wielki Post, który trwa w prawosławiu sześć tygodni plus Wielki Tydzień. Nigdy o tym nie mówiłam, ale nic przez ten czas nie jadłam. Piłam tylko wodę.

Przecież to niemożliwe.

– Nie wierzysz mi?

Wierzę.

– Po tym wszystkim, co przeszłam, nie boję się śmierci. Gdyby przyszła po mnie, poszłabym za nią bez wahania.

W prawosławiu nie ma czyśćca, prawda?

– Nie ma. Ale ja uważam, że piekła też nie będzie. Skoro Pan Bóg tak bardzo kocha człowieka i szuka w nim tylko dobra, wierzę, że zbawieni mogą być wszyscy. Jestem pewna, że na tamtym świecie spotkam też swoje psy i koty. W tym swojego Kajtka, który umierał na moich rękach. Jego oczy krzyczały: „Ewa, uratuj mnie!”, a ja wiedziałam, że nie dam rady. Tym razem nie dam.

Chciałem cię jeszcze zapytać, co byś powiedziała Świętemu Piotrowi, który wpuszcza do Nieba...

– Daj spokój, to jakieś katolickie gadanie! Nie wierzę, że Święty Piotr wpuszcza do raju!

To co powiesz Bogu, jak Go spotkasz?

– Może spytam: „Dlaczego mnie tyle razy kopales?”. Ale od razu dodam, że jestem mu wdzięczna. Swojej biografii nie zamieniłabym na żadną inną. Żałuję grzechów, ale nie życia.

BIBLIA NIE POTĘPIA OSÓB LGBT+



Prof. dr hab. Jakub Sławik

bibliista

Doktor habilitowany, profesor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, teolog i bibliista ewangelicki, prodziekan Wydziału Teologicznego ChAT. Studiował na ChAT (1985–1991) oraz na Wydziale Teologii Ewangelickiej w Rheinische Friedrich-Wilhelms-Universität Bonn (1992–1993).

Od 2015 r. redaktor naczelny „Rocznika Teologicznego”. W 2010 r. wraz z żoną, dr Iwoną Sławik (również biblistką), opublikował opracowanie „Homoseksualizm problemem Kościoła?”. Jest to najobszerniejsze, dostępne w języku polskim, utrzymane w duchu emancypacyjnym studium biblijne dotyczące homoseksualności.

Stwierdzenie, że Bóg stworzył człowieka „mężczyzną i kobietą”, możemy interpretować jako meryzm ogarniający wszystkich ludzi, także mieszczących się między tymi dwiema kategoriami.

Słowa Jezusa dowodzą, że otacza on szacunkiem wszystkich, którzy z różnych powodów – fizycznych, psychicznych czy społecznych – nie mieszczą się w ideale heteroseksualnego małżeństwa mającego dzieci. Zatem także mężczyźni i kobiety LGBT+.

Przykazanie miłości odnosi się do każdego: biednego i bogatego, czarnego, uchodźcy, geja, lesbijki, osoby transpłciowej, niebinarnej i wszystkich osób LGBT+. Jezus najbardziej dbał o tych, którzy w społeczeństwie są pogardzani i wykluczani.

W 2010 r. wraz z żoną, dr Iwoną Sławik, wydał pan pierwsze i – jak dotąd – jedyne dostępne w języku polskim naukowe opracowanie⁷⁹ pokazujące, że Biblii nie powinno się interpretować w sposób nieprzyjazny osobom LGBT+. Skąd ta publikacja?

– W Kościele Ewangelicko-Augsburskim, do którego należę, trwały wtedy przygotowania do wyboru nowego biskupa Kościoła. Przy okazji wywołano dyskusję o błogosławieniu par jedнопłciowych, które od dawna jest już praktyką w Kościołach luterańskich na Zachodzie. W gremiach decyzyjnych w polskim Kościele nastawienie było raczej negatywne i obawialiśmy się próby sformułowania jego oficjalnego głosu wymierzonego w związki par jedнопłciowych. Postanowiliśmy spróbować temu przeciwdziałać.

Przyglądając się Biblii?

– W protestantyzmie punkt ciężkości położony jest na Biblii, więc uznaliśmy, że trzeba się zająć porządną analizą Pisma Świętego. Zależało nam, by pokazać, jakie są możliwości interpretacyjne, dać podstawę do debaty, a przede wszystkim utrudnić zamknięcie dyskusji prostym sformułowaniem: „Biblia tego zakazuje i kropka”.

Kościół rzymskokatolicki właśnie tak mówi.

– Bo to najprostsza odpowiedź. Tyle że, gdy się dokładnie przyjrzeć sprawie, to wszystko nie jest już tak oczywiste.

W waszym Kościele publikacja przyniosła spodziewany efekt?

– Poniekąd tak. Temat został zarzucony, umilkły też negatywne głosy. Ale kwestii nie rozstrzygnięto też pozytywnie, na razie sprawa zeszła z porządku dziennego.

Skąd u pana i pana żony poczucie, że musicie zabrać w tej kwestii głos?

– Z przekonania, że za pomocą Biblii nie można niszczyć drugiego człowieka. Uznaliśmy, że to zaprzeczenie misji Kościoła, więc postanowiliśmy się temu przeciwstawić. Oczywiście wiedzieliśmy, że w zachodniej biblistyce problem jest dyskutowany od dziesięcioleci i w zasadzie – przynajmniej jeśli chodzi o Kościół ewangelicki – nie wzbudza już większych kontrowersji.

To znaczy?

⁷⁹ I. Sławik, J. Sławik, *Homoseksualizm problemem Kościoła?*, „Rocznik Teologiczny ChAT” 2010, R. LII, z. 1-2, s. 9-70.

– Nikt, pomijając kręgi ewangelikalne⁸⁰, już raczej nie interpretuje Biblii przeciwko osobom LGBT+.

Kiedy po raz pierwszy spotkał się pan z emancypacyjną dla osób nieheteronormatywnych interpretacją Biblii?

– Jeszcze jako student w latach 80. byłem na międzynarodowej konferencji teologicznej w Finlandii. Zdziwiłem się wtedy, że wśród specjalistów na kwestię stosunku Biblii do homoseksualności patrzy się już zupełnie inaczej. U nas na ten temat nie mówiło się nic.

I w zasadzie niewiele mówi się do dziś.

– Przyczyna jest oczywista – większość polskich biblistów to rzymscy katolicy. A Watykan wypowiada się na temat homoseksualności jednoznacznie negatywnie.

Katechizm Kościoła Katolickiego mówi: „Tradycja, opierając się na Piśmie Świętym, przedstawiającym homoseksualizm jako poważne zepsucie, zawsze głosiła, że akty homoseksualizmu z samej swojej wewnętrznej natury są nieuporządkowane”⁸¹. Koniec dyskusji.

– Przy takim stanowisku Magisterium trudno, będąc rzymskokatolickim biblistą, głosić coś przeciwnego. Można się jedynie domyślać, że nie wszyscy myślą w taki sposób. Na Zachodzie jest nieco lepiej, dyskusja na ten temat trwa także w Kościele rzymskokatolickim, zwłaszcza w Niemczech.

Zadam więc pytanie, jakie mógłby zadać polski rzymski katolik, który słucha się w tej kwestii katechizmu. Czy Biblię można interpretować inaczej niż przeciwko osobom LGBT+?

– Samo pytanie budzi moje wątpliwości. Mam wrażenie, że w określeniu „interpretować Biblię przeciwko komuś” tkwi zasadniczy błąd. Niestety księgi religijne często służą jako młot na Innego. Święte teksty są bezbronne wobec takiego wykorzystania.

Przekonanie, że Biblia negatywnie wypowiada się o homoseksualności, jest wśród wierzących dość powszechne.

– To prawda. Centralne znaczenie mają tu dwa zakazy z Księgi Kapłańskiej: „Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą.

⁸⁰ Ewangelikalizm – nurt w protestantyzmie, przeważnie konserwatywny, charakteryzujący się często m.in. dosłownym odczytywaniem Biblii.

⁸¹ Katechizm Kościoła Katolickiego, 2357.

To jest obrzydliwość!”⁸² oraz „Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami tę śmierć na siebie ściągą”⁸³. Ale bliższe przyjrzenie się tym fragmentom oraz ich kontekstowi prowadzi do wniosku, że dotyczą one przemocy seksualnej i zmuszania innego mężczyzny do roli pasywnego partnera w trakcie stosunku. W tamtych czasach społeczna rola mężczyzny była szczególna, nieporównywalnie wyższa niż kobiety. Dlatego mężczyzna miał surowy zakaz sprowadzania innego mężczyzny do genderowej roli kobiety. Nie chodziło więc o potępienie homoseksualności, lecz ochronę społecznej roli mężczyzny. Zwróćmy zresztą uwagę, że Stary Testament w ogóle nie interesuje się związkami lesbijskimi. To potwierdza, że autorów biblijnych nie interesował w tym przypadku seks, lecz rola społeczna poszczególnych płci.

W Biblii mamy też słynną opowieść o Sodomie⁸⁴, od której pochodzą określenia „sodomici” oraz „grzech sodomski”.

– Jest też mniej znane opowiadanie z Księgi Sędziów dotyczące zbrodni mieszkańców Gibeon⁸⁵. W jednym i drugim przypadku nie mamy do czynienia ze zwykłym stosunkiem homoseksualnym, lecz gwałtem. Chodzi o praktykę, w ramach której wroga, nad którym chciano uzyskać przewagę, sprowadzano seksualnie do roli genderowej kobiety. Stary Testament występuje więc przeciwko takim zachowaniom, a nie osobom homoseksualnym jako takim. Zwróćmy uwagę na jedną rzecz – Księga Rodzaju mówi, że gwałtu na przybyszach mieli dokonać wszyscy mężczyźni z Sodomy „od młodzieńca aż do starca”. Trudno przyjąć, że wszyscy oni byli homoseksualni. Nie może więc tu chodzić o potępienie orientacji seksualnej. Zresztą dziś już chyba żaden poważny biblista nie twierdzi, że w opowieści o Sodomie chodzi o homoseksualność.

Wielu przeciwników osób LGBT+ powołuje się też na opis stworzenia świata, gdzie czytamy: „Stworzył Bóg człowieka, na swój obraz, na obraz Boży go stworzył, stworzył mężczyznę i kobietę”⁸⁶. Ten binarny podział płci wykorzystywany był wielokrotnie do potępienia homoseksualności, a ostatnio coraz częściej służy napiętnowaniu transpłciowości i niebinarności.

⁸² Kpł 18,22.

⁸³ Kpł 20,13.

⁸⁴ Rdz 19.

⁸⁵ Sdz 19, 11–30.

⁸⁶ Rdz 1,27.

– To wielkie nieporozumienie. Po pierwsze, ten fragment Księgi Rodzaju nie jest wykładem filozoficznym, lecz opowiadaniem. Ze stwierdzenia, że Bóg stworzył „mężczyznę i kobietę”, nie można wyciągnąć wniosku, że nie stworzył nikogo, kto by się nie wpisywał w stu procentach w ten podział. Kiedyś podczas wykładu zilustrowałem to przykładem z książki „Bieguni” Olgi Tokarczuk. W jednym z rozdziałów przytoczona jest historia XVII-wiecznego holenderskiego chirurga Filipa Verheyena. Po amputacji nogi cierpi on bóle fantomowe. Czy z tego opowiadania możemy wysnuć wniosek, że wszyscy, którzy mają amputowaną kończynę, doświadczają takich bólów? A jeśli ktoś ich nie ma, to znaczy, że ma wszystkie kończyny? Absurd! Takich wniosków nikt nie wyciąga. Sformułowanie „mężczyzna i kobieta” odwołuje się tu jedynie do tego, że na najbardziej ogólnym poziomie życie na ziemi jest naznaczone dwoistością płci, począwszy od świata zwierząt. Zupełnie nie można tego interpretować jako jakiegokolwiek zakaz! Dodam jeszcze, że w Biblii często stosowana jest figura retoryczna zwana meryzmem i bardzo możliwe, że mamy tu z nią do czynienia.

Co to takiego?

– Meryzm polega na tym, że wymienia się dwa najbardziej typowe elementy jakiegoś zbioru, by w ten sposób ująć całość. Kiedy słyszymy, że Bóg stworzył „niebo i ziemię”, rozumiemy, że stworzył cały świat. „Dusza i ciało” oznacza całego człowieka. Gdy mowa jest o „młodzieńcach i starcach”, wiemy, że chodzi także o osoby w średnim wieku. Stwierdzenie, że Bóg stworzył człowieka „mężczyznę i kobietą”, możemy zatem interpretować jako meryzm ogarniający wszystkich ludzi, także mieszczących się między tymi dwiema kategoriami.

Czy istnieje jakiś fragment Pisma Świętego, w którym można by się doszukiwać pozytywnego odniesienia do homoseksualności?

– Owszem. Chodzi o historię przyjaźni Dawida i Jonatana⁸⁷, która często jest interpretowana jako afirmacja miłości męsko-męskiej. Jonatan był pierworodnym synem Saula, pierwszego króla izraelskiego. Po śmierci władcy miał objąć tron. Dawid to natomiast człowiek z ludu, pasterz. Trafia na dwór w pewnym sensie przypadkiem, jako dzielny wojownik i osoba świetnie grająca na harfie. Od razu przypada do gustu Jonatanowi, który „pokochał go jak samego siebie”⁸⁸. Oczywiście można tę całą historię traktować jak przekaz, że król Dawid, który był uzurpatorem,

⁸⁷ 1 Sm 18-20, 2Sm 1,25-26.

⁸⁸ 1 Sm 18,1.

miał poparcie ludu, Boga i rodziny Saula. Uważam jednak, że opisana tu relacja między mężczyznami zdecydowanie wykraczała poza „polityczną” przyjaźń. Świadczy o tym elegia, jaką odśpiewuje Dawid po śmierci Jonatana: „Żal mi ciebie, mój bracie, Jonatanie. Tak bardzo byłeś mi drogi! Więcej cenilem twą miłość niżeli miłość kobiet”⁸⁹.

A czy Jezus mówił coś o homoseksualności?

– Nie. W ogóle bardzo mało mówił o seksualności. Jednak jedną z jego wypowiedzi można interpretować jako włączającą osoby LGBT+.

Którą?

– W Ewangelii Mateusza Jezus zostaje zapytany przez faryzeuszów o rozwody i staje na stanowisku, że małżeństwo jest nierozdzielne. Jego uczniowie są zszokowani, bo ponowne małżeństwa były w judaizmie powszechnie znane. Mówią więc do Jezusa, że w takim razie lepiej się w ogóle nie żenić. On zaś odpowiada: „Nie wszyscy to pojmują, lecz tylko ci, którym to jest dane. Bo są niezdolni do małżeństwa, których z łona matki takimi się urodzili; i są niezdolni do małżeństwa, których ludzie takimi uczynili; a są i tacy bezżenni, którzy dla królestwa niebieskiego sami zostali bezżenni. Kto może pojąć, niech pojmuje!”⁹⁰.

– Przytoczone tu tłumaczenie pochodzi z Biblii Tysiąclecia, w oryginalnie użyte jest określenie „eunuchowie”, a w Biblii Warszawskiej „trzebieńcy”. Wiemy jednak, o kogo chodzi. Małżeństwo i płodzenie dzieci było w judaizmie obowiązkiem. Tymczasem Jezus mówi o osobach, które z różnych powodów tej normy nie wypełniają.

O kogo konkretnie mu chodzi?

– Pierwsza kategoria to mężczyźni, którzy urodzili się niezdolni do małżeństwa, np. z wadą narządów płciowych. Druga grupa to osoby wykastrowane. W świecie starożytnym taka praktyka była niekiedy stosowana, ale judaizm jej stanowczo zakazywał, bo niezdolność do płodzenia dzieci uchodziła wśród Żydów za nieszczęście, a nawet hańbę. Trzecia kategoria to osoby, które zostają eunuchami „dla królestwa niebieskiego”. Słowa te najczęściej interpretowano w sposób metaforyczny, jako dobrowolną rezygnację z małżeństwa.

– Ale np. Orygenes⁹¹ potraktował je dosłownie i rzeczywiście się wy-

⁸⁹ 2 Sm 1,26.

⁹⁰ Mt. 19, 11-12.

⁹¹ Orygenes – żyjący na przełomie II i III w. jeden z najbardziej płodnych komentatorów Pisma Świętego w epoce patrystycznej, często uważany za jednego z Ojców Kościoła.

kastrował. Wiemy z przekazów, że później miał tego żałować.

Jak to wszystko można odnieść do osób LGBT+?

– Spójrzmy na kategorię osób niezdolnych do małżeństwa od urodzenia. Nie powinniśmy ograniczać jej jedynie do tych, którzy fizycznie nie mogą mieć dzieci. W grę mogą też wchodzić czynniki psychoseksualne, czyli np. nieheteronormatywna orientacja. Słowa Jezusa dowodzą, że otacza on szacunkiem wszystkich, którzy z różnych powodów – fizycznych, psychicznych czy społecznych – nie mieszczą się w ideale heteroseksualnego małżeństwa mającego dzieci. Zatem także mężczyźni i kobiety LGBT+. Mówi też o ich godności i równości w Królestwie Bożym.

To wszystko bardzo mnie przekonuje, ale przecież istnieją też interpretacje zupełnie przeciwne. W jaki sposób można zyskać pewność, że Biblia nie potępia osób LGBT+?

– Nawet gdybym doszedł do wniosku, że w Starym czy Nowym Testamencie są zakazy dotyczące homoseksualności, to i tak musiałbym uznać, że podstawowym kryterium interpretacji Biblii jest miłość Boga i miłość drugiego człowieka. Apostoł Paweł mówi: „Nikomu nie bądźcie nic dłużni poza wzajemną miłością. Kto bowiem miłuje drugiego, wypełnił Prawo”⁹². „Miłość nie wyrządza zła bliźniemu. Tak więc wypełnieniem prawa jest miłość”⁹³. A w innym miejscu podkreśla: „Całe Prawo wypełnia się w tym jednym nakazie: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”⁹⁴. Dlatego powtórzę: kluczem do Biblii zawsze jest miłość. Każda interpretacja, nawet logicznie i historycznie uzasadniona, która prowadzi do przekreślenia przykazania miłości, nie może być przez nas przyjęta. Mówienie, że Biblia jest przeciwko osobom LGBT+, jest zatem zaprzeczeniem istocie chrześcijaństwa. Trzeba też zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt. W Starym Testamencie zakazów i nakazów jest bardzo wiele. Do większości z nich dziś się nie stosujemy. Kto pamięta o zakazie spożywania owoców morza albo obsiewania pola dwoma rodzajami ziarna? Albo słowach: „Nie będziesz nosił ubrania utkanego z dwóch rodzajów nici?”⁹⁵.

Dlaczego więc wybieramy fragmenty dotyczące homoseksualności i – w przeciwieństwie do innych – interpretujemy je dosłownie?

⁹² Rz 13,8.

⁹³ Rz. 13,10.

⁹⁴ Ga 5,14.

⁹⁵ Kpł 19,19.

– Kwestie seksualne zawsze budzą szczególne emocje. Jeśli jakiś fragment Biblii nam te emocje przywołuje albo wręcz nakłada się na nasze uprzedzenia, to przywiązujemy do niego nadzwyczajną wagę. Dziwi mnie jednak, z jak wielką zażartością i agresją niektórzy używają cytatów z Pisma Świętego przeciwko osobom LGBT+. W takich sytuacjach odzywa się we mnie dzwonek alarmowy.

– Nasuwa się myśl, że jeśli ktoś prowadzi tak mocną krucjatę przeciwko osobom nieheteronormatywnym, to być może ma z tym zagadnieniem jakiś osobisty problem. Ale to oczywiście wyłącznie niepotwierdzone przypuszczenie.

Mówi pan, że nie można interpretować Biblii przeciwko żadnemu człowiekowi. Pod tym zapewne każdy się podpisze. Jednak osoby, które czytają Pismo Święte w sposób fundamentalistyczny, utrzymują, że mają na względzie najwyższe dobro osób LGBT+, jakim jest zbawienie.

– Rozdzielanie miłości Boga od miłości bliźniego to fundamentalne nieporozumienie. Przekonanie, że powinienem zgnać i unieszczęśliwić drugiego człowieka, żeby zwiększyć jego szansę na Niebo, jest bardzo niechrześcijańskie. Jeśli Bóg nas kocha, to znaczy, że nie chce naszej krzywdy ani cierpienia. Zresztą zbawienie w biblijnym znaczeniu nie ogranicza się wyłącznie do rzeczywistości po śmierci. Zaczyna się już tutaj, na ziemi, i polega na życiu w miłości do Boga, innych ludzi i siebie samego, prowadząc do naszego harmonijnego rozwoju. Już w tym życiu zasiewamy ziarno, które ma dać pełen owoc w przyszłym.

– Nie wolno nam naśladować inkwizycji, która w imię zbawienia w przyszłym życiu paliła ludzi na stosie.

Myślę, że powinny o tym pamiętać nie tylko osoby LGBT+, ale też np. duszpasterze.

– Oczywiście. Czytając Biblię, zawsze musimy zadawać sobie pytanie, co ja z tej lektury biorę? Jakie wnioski wyciągam? Jak je będę wprowadzał w życie? Jeśli jestem księdzem, który z ambony ma głosić Pismo Święte, to muszę się zastanowić, czy moje słowa służą budowaniu drugiego człowieka i wspólnoty. Czy dana interpretacja służy drugiemu człowiekowi, czy wręcz przeciwnie.

– Przykazanie miłości odnosi się do każdego: biednego i bogatego, czarnego, uchodźcy, geja, lesbijki, osoby transpłciowej, niebinarnej i wszystkich osób LGBT+. Jezus najbardziej dbał o tych, którzy w społeczeństwie są pogardzani i wykluczani. Mówił: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych,

tegoście i Mnie nie uczynili”⁹⁶. Jeśli więc zapominamy o nakazie miłości bliźniego, to de facto przestajemy być wyznawcami Jezusa z Nazaretu i nie powinniśmy się już nazywać chrześcijanami.

⁹⁶ Mt 25,45.

Ludzie muszą usłyszeć Wasze historie



S. Jeannine Gramick

założycielka jednego z pierwszych na świecie duszpasterstw LGBT+

Amerykańska zakonnica rzymskokatolicka ze Zgromadzenia Sióstr Loretto. Urodziła się w 1942 r. w Filadelfii w rodzinie o polskich korzeniach. Doktorka matematyki, absolwentka Uniwersytetu Pensylwanii. W 1977 r. wraz z ks. Robertem Nugentem założyła New Ways Ministry, jedno z pierwszych na świecie katolickich duszpasterstw LGBT+. Autorka lub współautorka książek afirmujących osoby LGBT+ w Kościele oraz propagujących zmianę nauczania Kościoła w tej dziedzinie. W 1999 r., po kilkuletnim śledztwie, Watykan zabronił jej zajmowania się duszpasterstwem osób LGBT+, czemu siostra się nie podporządkowała.

W 2019 r. podczas pobytu w Polsce s. Gramick otrzymała przyznaną jej przez Fundację Wiara i Tęcza nagrodę Znak Pokoju. W 2021 r. papież Franciszek napisał do niej list, w którym dziękował jej za 50 lat posługi na rzecz społeczności LGBT+.

Dominik zapytał mnie: „Co Kościół katolicki robi dla moich homoseksualnych braci i siostr?”. To pytanie ze mną zostało i nie chciało mnie opuścić. Tak zrodziło się moje zaangażowanie na rzecz osób LGBT+.

Czułam się jak ofiara przemocy. Zdałam sobie sprawę, że odebranie komuś prawa głosu to pozbawienie go podstawowego prawa człowieka. Uznałam, że moje sumienie nie pozwala mi spełnić prośby o uciszenie samej siebie.

Stosunku Kościoła do osób LGBT+ nie zmienią teologiczne debaty ani nawet najmądrzejsze ideologiczne argumenty. Prawdziwą moc ma spotkanie z drugim człowiekiem i jego historią.

Jakie to uczucie po latach wymierzonego w siostrę watykańskiego śledztwa oraz nałożonych kar otrzymać odręczny list od papieża?

– Wspaniale! W grudniu 2021 r. papież Franciszek pogratulował mi 50 lat działalności na rzecz osób LGBT+. Napisał: „Bóg ma swój styl komunikowania się z nami, który można streścić w trzech słowach: bliskość, współczucie, czułość. Myślę, że Twoje pół wieku posługi były właśnie latami bliskości, współczucia i czułości. Do wszystkich podchodziłaś jak siostra i matka”. Poczułam się, jakbym dostała list od przyjaciela.

Był zaskoczeniem?

– W pewnym sensie stanowił odpowiedź na nasze wcześniejsze działania. Ponad siedem miesięcy wcześniej Frank DeBernardo, dyrektor wykonawczy New Ways Ministry, w piśmie do Franciszka szczegółowo opisał naszą działalność duszpasterską na rzecz osób LGBT+, a także sprawę potępienia jej przez Watykan w 1999 r.

Papież odpowiedział?

– W ciągu kilku tygodni! Zapewnił, że żywi do nas wiele dobrych uczuć i w pięknych słowach odniósł się do naszej działalności. W następnych miesiącach Frank i ja nadal z nim korespondowaliśmy, wymieniając cztery czy pięć listów. W grudniu 2021 r. poinformowałam papieża, że katolicki magazyn „America” przygotowuje artykuł o moich 50 latach pracy w duszpasterstwie osób LGBT+ i chciał wspomnieć o naszej korespondencji.

Bo to, że papież do siostry napisał, było sensacją?

– W przeszłości papież pisał już do innych osób zaangażowanych w duszpasterstwo LGBT+, ale moja sytuacja była o tyle wyjątkowa, że wcześniej za swą działalność zostałam przez Watykan ukarana. Napisałam więc Franciszkowi, że jeśli miałoby to go postawić w niezręcznej sytuacji, nie będę upubliczniać naszej korespondencji. Zapewniłam, że będę się w tej sprawie modlić i że czekam na wskazówki. Cztery dni później papież przysłał mi list gratulacyjny. Uznałam to za przyzwolenie, by opinia publiczna dowiedziała się, że New Ways Ministry prowadzi z Franciszkiem regularną korespondencję.

Jak już siostra wspominała, w 1999 r. Watykan zakazał jej działalności na rzecz osób LGBT+. Czy list papieża można traktować jako rehabilitację?

– Na pewno oznacza, że najwyższa władza kościelna ma dziś inne zdanie o mojej działalności niż osoby rządzące Kościołem kilkadziesiąt lat temu. Pokazuje, że zarówno papież, jak i urzędnicy watykańscy są

za włączaniem osób LGBT+. Franciszek chce Kościoła synodalnego, w którym wszyscy mają prawo głosu i nawzajem się słuchają.

Listy nie były pierwszym przyjaznym gestem, jaki otrzymała siostra od Franciszka.

– To prawda. W 2015 r. napisałam do niego, że współorganizuję pielgrzymkę osób LGBT+ do Rzymu. Zapytałam, czy moglibyśmy się spotkać. W odpowiedzi sekretarz Domu Papieskiego wysłał nam bilety na środową audiencję generalną. Kiedy dotarliśmy na plac Świętego Piotra, Gwardia Szwajcarska zaprowadziła nas na VIP-owskie miejsca w pierwszych rzędach, tuż obok papieża. Odebrałam to jako symboliczny znak, że Franciszek przygarnia wszystkie osoby LGBT+, nie tylko te, które uczestniczą w pielgrzymce.

Wielu zarzuca Franciszkowi, że robi wiele gestów wobec osób LGBT+, ale nie zmienia kościelnego nauczania. Czy sądzi siostra, że w trakcie jego pontyfikatu zostaną wprowadzone w tej dziedzinie głębokie zmiany, na przykład w kwestii małżeństw jedнопłciowych?

– Nauczanie na temat seksualności, w tym równości małżeńskiej, kiedyś się zmieni, bo w Kościele nie może być miejsca na dyskryminację ze względu na płeć czy orientację. Zmiany te przyjdą zapewne z dołu, a nie z góry. Zapewne wywołają gniew wielu wiernych, inni z kolei zarzucają, że są one spóźnione.

A wracając do pontyfikatu Franciszka?

– Jest on przywódcą Kościoła liczącego 1,3 mld członków i musi towarzyszyć w drodze wszystkim wiernym. Wielokrotnie podkreśla, że zgodnie z duchem synodalności Lud Boży powinien kroczyć razem. Dopóki jednak jeszcze razem nie idziemy, ci, którzy widzą konieczność zmian, muszą postępować zgodnie ze swoim sumieniem. A więc często, głośno i wyraźnie wyrażać swoje poglądy. Potrzebny jest zgodny chór katolików z całego świata odrzucających bezduszne i niehumanitarne traktowanie osób LGBT+, które rani, odbiera im godność i podstawowe prawa. W tej sprawie nie możemy milczeć!

Zanim dostała siostra gratulacyjny list od papieża, doznała w Kościele wiele nieprzyjemności. Porozmawiamy o tym. Chciałbym jednak zacząć od samego początku, czyli od siostry korzeni. Pamiętam moment, gdy pierwszy raz zobaczyłem siostrę w Rzymie na spotkaniu założycielskim The Global Network of Rainbow Catholics⁹⁷ w październiku 2015 r. Gdy się

⁹⁷ The Global Network of Rainbow Catholics – organizacja parasolowa skupiająca

przedstawiłem, uśmiechnęła się siostra, mówiąc: „Ja też jestem Polką!”. Szczerze mówiąc, myślałem, że to kurtuazja albo żart.

– Wcale nie! Wszyscy moi dziadkowie, zarówno ze strony matki, jak i ojca, urodzili się w Polsce. Zresztą kilka lat później pomogłem mi ustalić miejscowości, w których mieszkali moi przodkowie, bo miałam o nich tylko szczątkowe informacje. Dzięki tobie wiem, że mój dziadek ze strony ojca, Andrzej Gramiak, pochodził z położonej w Galicji Wschodniej małej wsi Teofipólka, a babcia, Teofila Stokłosa, z sąsiedniego miasteczka Kozowa.

Obie miejscowości stały się po wojnie częścią Ukrainy.

– Polakami byli też dziadkowie ze strony matki, ale o ich pochodzeniu niewiele wiem. Wszyscy przyjechali do USA na początku XX w. Moja mama Jean Zapisek i tata John Gramiak urodzili się już w Stanach.

Pamięta siostra z domu jakieś ślady polskości?

– Jedliśmy barszcz, pierogi i „chruściki”. Dziadka Andrzeja nie pamiętam, bo zmarł, gdy mój ojciec miał pięć lat. Żeby utrzymać piątkę dzieci, babcia pracowała jako sprzątaczką. Była bardzo odważna i wytrwała. Kiedy powiedziałam jej, że idę do klasztoru, bardzo się ucieszyła, bo była pobożną katoliczką. Szanowała księży i siostry zakonne.

Była siostra religijna?

– Bardzo. Od pierwszej klasy aż do szkoły średniej codziennie uczestniczyłam w mszy świętej. Już w wieku siedmiu lat chciałam zostać zakonnica. Ale w szkole średniej prowadziłam też aktywne życie towarzyskie. Moi rodzice nie byli zachwyceni tym, że chcę wstąpić do klasztoru. Fundowali mi nawet prezenty, takie jak samochód czy sześciotygodniowa wycieczka do Europy, by mnie jakoś przekupić i odwieść od pójścia do zakonu. Mimo to po ukończeniu szkoły średniej wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Szkolnych de Notre Dame. „Jeśli to cię uczyni szczęśliwą, to szanujemy twoją decyzję” – powiedzieli rodzice. Muszę przyznać, że przez całe moje życie zakonne byłam szczęśliwa. Nawet w czasie konfliktu z Watykanem wiedziałam, że jest to miejsce, w którym Bóg pragnie mnie mieć.

W klasztorze od początku miała siostra buntowniczą naturę?

– Ani trochę. Byłam nauczycielką matematyki w katolickiej szkole i nie

grupy katolików LGBT+ z całego świata. Jej członkiem-założycielem jest Fundacja Wiara i Tęcza.

miałam zamiaru zajmować się kontrowersyjnymi sprawami. Jednak moi przełożeni wysłali mnie na Uniwersytet Pensylwanii, żebym zrobiła tam doktorat. Szczerze mówiąc, nie miałam wtedy pojęcia o osobach LGBT+. Znałam jednak rektora kościoła episkopalnego na uczelnianym kampusie. Kościół ten sponsorował akurat potańcówkę dla osób homoseksualnych i rektor poprosił, żebym sprzedawała na niej przekąski.

Jak się siostra czuła, uczestnicząc w tym wydarzeniu?

– To było bardzo pouczające doświadczenie. Na początku myślałam, że tego typu potańcówki dla gejów i lesbijek to jak organizowanie cocktail party dla alkoholików. W tamtym czasie podzielałam powszechne stereotypy na temat osób LGBT+. Myślałam, że są to osoby zaburzone psychicznie i nieszczęśliwe. Dopiero gdy ich poznałam i z nimi porozmawiałam, moja opinia całkowicie się zmieniła.

A gdzie siostra po raz pierwszy osobiście poznała osoby LGBT+?

– Na domowej liturgii.

Co to takiego?

– W pierwszych latach po II Soborze Watykańskim wiele wspólnot, wzorem pierwszych chrześcijan, celebrowało Eucharystię w prywatnych domach. Po jednym z takich wydarzeń poznałam Dominika Basza, młodego geja, który od najmłodszych lat wiedział, że – jak to wtedy mówiono – „jest inny”. Jednocześnie czuł się bardzo związany z Bogiem i Kościołem. Opowiedział mi, że próbował stać się heteroseksualny, ale okazało się, że to niemożliwe. Z powodu swej orientacji czuł się odrzucony przez rodzinę, Kościół i społeczeństwo. Dominik zapytał mnie: „Co Kościół katolicki robi dla moich homoseksualnych braci i siostr?”. To pytanie ze mną zostało i nie chciało mnie opuścić. Tak zrodziło się moje zaangażowanie na rzecz osób LGBT+.

Jak wyglądały początki?

– Ustaliliśmy z Dominikiem, że w jego mieszkaniu zaplanujemy Eucharystię dla jego homoseksualnych znajomych katolików. Później kontynuowaliśmy te cotygodniowe msze, a liczba ich uczestników szybko rosła. Wkrótce jedna z gazet w Filadelfii napisała o „zakonnicy, która się spotyka z gejami”. Historia nabrała rozgłosu. Do redakcji zaczęły napływać listy, prawie wszystkie pozytywne, mówiące, że Kościół powinien się zaangażować w pomoc gejom i lesbijkom. Uświadomiłam sobie, jak ważna jest wiedza i publiczna dyskusja na temat homoseksualności. I że trzeba obalać stereotypy na temat osób LGBT+.

A co o siostry działalności myślał zakon? Nie protestował?

– Wręcz przeciwnie. Moje przełożone były inteligentnymi kobietami z wizją. Zdawały sobie sprawę z tego, że Kościół zaniedbał tę grupę osób. Kiedy opuściłam uniwersytet, uczyłam matematyki w kolegium naszego zgromadzenia, a także pracowałam na rzecz lesbijek i gejów. Kiedy inna siostra z mojego zgromadzenia również uzyskała doktorat, zastąpiła mnie na wydziale matematyki, a moi przełożeni przydzielili mnie do pełnoetatowego duszpasterstwa LGBT+.

Z polskiej perspektywy to niewiarygodne, że zgromadzenie dało siostrze swoje błogosławieństwo w tej sprawie.

– To były lata 70. i ciągle jeszcze czuć było entuzjazm Soboru Watykańskiego II. Atmosfera „wiosny Kościoła” sprzyjała dziełom sprawiedliwości społecznej. Zgromadzenia sióstr zakonnych w USA bardzo troszczyły się o ludzi zepchniętych na margines, w tym o lesbijki i gejów.

W 1977 r. wraz z ks. Robertem Nugentem założyła siostra New Ways Ministry, jedno z pierwszych w świecie duszpasterstw osób LGBT+, które istnieje do dziś. A rok później Karol Wojtyła został wybrany na papieża.

– Gdy wybrano Jana Pawła II, czułam się bardzo dumna! W końcu jestem w 100 proc. Polką. Był inteligentnym, charyzmatycznym człowiekiem, który pozytywnie wpłynął na postrzeganie Polaków, także tych mieszkających w USA. Czułam, że ludzie bardziej doceniają moje polskie dziedzictwo. Niestety szybko się rozczarowałam. Już jedno z pierwszych posunięć nowego papieża pokazało jego podejście do wewnętrznego funkcjonowania Kościoła. Z powodu liberalnych poglądów wybitny teolog ks. Hans Küng został pozbawiony prawa nauczania. Jan Paweł II nie chciał się z nim nawet spotkać. Wkrótce zresztą się okazało, że to zaledwie pierwsza z całej serii represyjnych decyzji tego typu, które oddalały Kościół od idei II Soboru Watykańskiego.

Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia siostra pontyfikat Jana Pawła II?

– Na pewno poprawił on pozycję katolicyzmu w świecie. Do osób spoza Kościoła papież mówił o potrzebie dialogu z ludźmi inaczej myślącymi. To było bardzo dobre. Niestety wewnątrz Kościoła nie tolerował już różnorodności poglądów. Pod tym względem wrócił do początku XX w., kiedy Watykan walczył z modernizmem. Także jego teologia ciała wyrządziła wiele krzywdy kobietom i osobom LGBT+.

Za Jana Pawła II generalnie umocniła się wrogość Kościoła wobec osób LGBT+.

– Niestety tak. W 1986 r. kard. Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, opublikował głośny List do biskupów Kościoła katolickiego na temat duszpasterstwa osób homoseksualnych „Homosexualitatis problema”. W dokumencie tym orientację seksualną nazywano „tendencją”, została też ona uznana za „wewnętrznie nieuporządkowaną”. Wyrządził on ogromne szkody duszpasterstwu LGBT+ i zdusił oficjalną debatę Kościoła na temat homoseksualności. Po jego publikacji ogromna liczba katolików LGBT+ po prostu opuściła Kościół.

Dokument de facto zakazywał prowadzenia pozytywnego duszpasterstwa osób LGBT+. Czy w USA wprowadzono go w życie?

– Wiele parafii zlikwidowało takie duszpasterstwa, inne grupy musiały opuścić budynki kościelne. Jednak New Ways Ministry działało nadal. Kilka diecezji ustanowiło też diecezjalne duszpasterstwa lesbijek i gejów.

W 1992 r. wraz z ks. Robertem Nugentem opublikowała siostra książkę „Building Bridges: Gay and Lesbian Reality and the Catholic Church”, w której krytykowała nauczanie Kościoła na temat grzeszności aktów homoseksualnych. I Watykan zareagował.

– Szczerze mówiąc, reagował na naszą działalność długo przed 1992 r. Począwszy od 1979 r. Kongregacja ds. Zakonów i Instytutów Świeckich trzykrotnie zwracała się do naszych przełożonych o zbadanie naszej pracy i wprowadzenie wobec nas sankcji. We wszystkich tych przypadkach przełożeni odpowiadali, że pełniona przez nas posługa pozostaje wierna misji Kościoła. Jednak w 1985 r. Kongregacja Nauki Wiary formalnie wszczęła przeciwko nam dochodzenie. Moje przełożone prosiły kard. Ratzingera, żeby się ze mną spotkał, jednak nie było to zgodne z watykańskimi procedurami. Napięcie eskalowało. W 1998 r. przełożona prowincjalna martwiła się nawet, że zostanie ekskomunikowana. „Tylko cud może siostrę uratować” – powiedziała. I zasugerowała, abyśmy wspólnie odbyły pielgrzymkę do znajdującego się w Monachium grobu naszej założycielki, błogosławionej Teresy od Jezusa. W intencji wspomnianego cudu polecałyśmy do Monachium. Podczas lotu z przesiadką w Rzymie zobaczyłyśmy w samolocie kardynała Ratzingera!

No tak, przed objęciem sterów Kongregacji Nauki Wiary był on przecież arcybiskupem Monachium.

– Nie byłam pewna, czy to on. Ubrany był na czarno, ale miał kolo-ratkę, więc wiedziałam, że jest duchownym. Wyglądał na zmęczono-go. Pomyślałam, że to pewnie jakiś ksiądz podobny do kardynała.

W samolocie siedział przy oknie i się modlił. Ponieważ miejsce obok niego było puste, przysiadłam się.

Coś siostra powiedziała?

– Przedstawiłam się: „Jestem siostrą szkolną Notre Dame, jadę do naszego domu macierzystego w Monachium”. Odpowiedział, że jego ciotka też jest w tym zgromadzeniu. Zapytałam, jak się nazywa. „Ratzinger” – odpowiedział. Wtedy już wiedziałam, że rozmawiam z prefektem Kongregacji Nauki Wiary. Kiedy się przedstawiłam, odpowiedział żartobliwie: „Znam siostrę od 20 lat”!

Oznacza to, że pierwsze skargi na siostrę musiały napływać do jego kongregacji już w latach 80.

– Jak już mówiłam, skargi zaczęły się pod koniec lat 70., ale początkowo były rozpatrywane przez Kongregację ds. Zakonów i Instytutów Świeckich. W 1985 r. sprawa została przeniesiona do Kongregacji Nauki Wiary. To właśnie dlatego kardynał zażartował, że mnie zna od 20 lat – tak naprawdę znał po prostu moje akta. Rozmawiałam z nim przez około 20 minut. Opowiedziałam mu o moich spotkaniach z osobami homoseksualnymi i zapytałam: „Czy kiedykolwiek spotkał ksiądz kardynał geja lub lesbijkę?”.

Co odpowiedział?

– Że owszem. „Kiedy byliśmy z papieżem Janem Pawłem II w Berlinie, była tam demonstracja homoseksualistów”. Wtedy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nigdy nie spotkał osobiście i nie rozmawiał z osobą homoseksualną. To znaczy nigdy nie rozmawiał ze świadomością, z kim rozmawia. Znałam bowiem lesbijkę, której wujek był dobrym przyjacielem kard. Ratzingera. Kilka razy jadła ona nawet kolację z kardynałem, ale nigdy nie ujawniła się przed nimi jako osoba homoseksualna. Wierzę, że gdyby to zrobiła, kard. Ratzinger mógłby mieć inne zdanie o osobach LGBT+.

Co dziś siostra myśli o tym niespodziewanym spotkaniu w samolocie?

– Jestem przekonana, że w trakcie tej rozmowy zarówno przyszlęmu papieżowi, jak i mnie chodziło o dobro Kościoła. Uświadomiłam sobie wtedy, że nie mogę nikogo demonizować, że żaden człowiek nie jest ani całkowicie dobry, ani całkowicie zły. Każdy jest połączeniem światła i ciemności. W dodatku to, co ja oceniam jako ciemność, ktoś inny może uznać za światło.

A jak pogodzić fakt, że tacy ludzie jak Benedykt XVI czy Jan Paweł II z jednej strony czynili niewątpliwie wiele dobra, a z drugiej tak bardzo nie dostrzegali krzywdy, jaką ich nauczanie wyrządza innym? Nie tylko osobom LGBT+, ale też na przykład kobietom czy małżeństwom osób po rozwodzie.

– Myślę, że wielu przywódców Kościoła staje się więźniami średnio-wiecznej struktury klerykalnej i nie umie się z niej wyrwać.

Wróćmy jeszcze do rozmowy z Josephem Ratzingerem.

– Jak już mówiłam, przebiegała w serdecznej atmosferze. Pochwaliłam się, że w nowicjacie czytałam jego pracę teologiczną. Uśmiechnął się: „Ach, to była moja pierwsza książka”. Wydał mi się bardzo ciepły, szczerzy i łagodny, kilka razy powtórzył po cichu słowo „Opatrzność!”. Odkryłam w nim ludzką twarz Kościoła instytucjonalnego. Na koniec powiedział: „Módl się za mnie, a ja będę się modlił za ciebie”.

Czy w samolocie kardynał odniósł się w jakiś sposób do postępowania w sprawie siostry?

– W pewnym momencie do rozmowy włączyła się moja przełożona, która zapytała, czy grozi mi ekskomunika. Kardynał Ratzinger zapewnił, że nie. Powiedział, że kwestie dotyczące homoseksualności nie wiążą się z taką groźbą. Rok później Watykan zadekretował, że nie powinienam się angażować w duszpasterstwo LGBT+, ale to jednak nie to samo co ekskomunika.

Może zacytujemy: „Wobec faktu, że czyny homoseksualne są wewnętrznie złe, a skłonności homoseksualne obiektywnie nieuporządkowane, kierując się dobrem wiary katolickiej, Kongregacja Nauki Wiary stwierdza, że publikacje s. Jeannine Gramick i o. Roberta Nugenta są z punktu widzenia doktrynalnego niedopuszczalne. Ojciec Nugent i s. Gramick powodują zamęt wśród katolików i szkodzą wspólnocie Kościoła. Z tych powodów siostrze Gramick i ks. Nugentowi zakazuje się jakiegokolwiek pracy duszpasterskiej z osobami homoseksualnymi.

Papież Jan Paweł II zatwierdził niniejszą notę i polecił ją opublikować. Podpisano: kard. Joseph Ratzinger, pr fekt Kongregacji Nauki Wiary, 31 maja 1999 r.”.

Co się wydarzyło po opublikowaniu tego dokumentu?

– Przeżywałam wtedy bardzo trudny okres. Mój zakon miał nadzieję,

że zakończę pracę duszpasterską z osobami LGBT+. W tym celu zapewniano mi możliwość udziału w wielu rekolekcjach w przekonaniu, że w ich trakcie przemyszę sprawę.

Wahała się siostra?

– To był czas wielu zmagañ i rozeznawania, często właśnie na rekolekcjach. Jeździłam też po Stanach i różnym środowiskom katolickim szczerze opowiadałam o swojej sytuacji. Tysiące osób napisały wtedy w mojej obronie listy do Kongregacji Nauki Wiary. W efekcie w 2000 r. mój zakon, przestraszony konsekwencjami dla całego zgromadzenia, zabronił mi publicznego wypowiedziania się na temat mojej sprawy.

Oznacza to, że zabroniono siostrze nie tylko mówić o homoseksualności, ale nawet o swojej sytuacji!

– Tak. Przyznaję, że w tamtym czasie czułam się jak ofiara przemocy. Zdałam sobie sprawę, że odebranie komuś prawa głosu to pozbawienie go podstawowego prawa człowieka. Kiedy odzyskujemy głos, odzyskujemy również godność. Pomyślałam wtedy o maltretowanych kobietach i o zamkniętych w sobie osobach LGBT+, które często boją się mówić własnym głosem. Uznałam, że moje sumienie nie pozwala mi spełnić prośby o uciszenie samej siebie. Odpowiedziałam, że nie chcę współpracować we własnym ucisku poprzez zgodę na ograniczanie w stosunku do siebie podstawowego prawa człowieka. Jak już wspomniałam, dla mnie była to właśnie kwestia sumienia.

W 2016 r. na łamach „National Catholic Reporter” opublikowała siostra esej o przemocy milczenia⁹⁸. Zrobił na mnie duże wrażenie.

– Rzeczywiście, milczenie może być przemocą. W latach 80. aktywiści działający na rzecz chorych na AIDS wnosili hasło „Milczenie równa się śmierć”. Kwestionowało ono postawę ówczesnego prezydenta Ronalda Reagana, który pod wpływem nacisków religijnej prawicy nie wypowiadał się na temat choroby, ale też stanowiło odważną deklarację: dość milczenia o prześladowaniach osób LGBT+. Dla wielu z nich to

⁹⁸ Artykuł „We need a victory of speech over the violence of silence” ukazał się na łamach amerykańskiego magazynu katolickiego „National Catholic Report” 11 lipca 2016 r. Był częścią serii tekstów poświęconych strzelaninie w nocnym klubie Pulse dla osób LGBT+ w Orlando na Florydzie. W wyniku zamachu zginęło 50 osób (w tym sprawca), a 53 osoby zostały ranne. Była to największa masowa strzelanina we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych. Nagłówki gazet na całym świecie wskazywały wyraźnie, że zbrodnia miała miejsce w klubie gejowskim. Jednak oświadczenia wydane przez biuro prasowe Watykanu, Episkopat USA, a także biskupa Orlando całkowicie przemilczały ten fakt.

kwestia życia i śmierci, bo przemoc milczenia zabija. Niestety w Kościele obowiązuje wiele zakazów mówienia o różnych sprawach. Tymczasem aura tajemnicy budzi strach. Umożliwia tym, którzy mają władzę, sprawowanie kontroli nad umysłami i czynami innych ludzi.

W 2001 r. zmieniła siostra zgromadzenie zakonne.

– Groziło mi wtedy wydalenie ze Zgromadzenia Sióstr Szkolnych de Notre Dame, któremu poświęciłam 40 lat życia. Na szczęście pojawiła się możliwość przejścia do Zgromadzenia Sióstr Loretto. Wspólnota ta przyjęła z miłością zarówno mnie, jak i moją posługę LGBT+. Stała się moim nowym domem. We wczesnej młodości poczułam powołanie do życia zakonnego, a później także powołanie do bycia pomostem między Kościołem a społecznością LGBT+. Głęboko wierzę, że muszę pozostać wierna tym dwóm bożym wezwaniom.

Jak na nakaz milczenia zareagował ks. Robert Nugent, drugi współzałożyciel „New Ways Ministry”?

– Wybrał posłuszeństwo. Do swojej śmierci w 2014 r. nie wypowiadał się już publicznie na temat homoseksualności.

Miała siostra o to do niego żal?

– Och, nie! Ojciec Bob po prostu wybrał inną drogę niż ja. Szanowałam jego decyzję, a on szanował moją. Byliśmy przyjaciółmi podczas pracy w New Ways Ministry i pozostaliśmy nimi po tym, gdy zrezygnował z publicznej służby dla osób LGBT+.

Czy, jeśli sumienie nam tak podpowiada, mamy prawo mówić głośno, że nie zgadzamy się z nauczaniem Kościoła katolickiego w sprawie osób LGBT+?

– Nie tylko możemy, ale wręcz powinniśmy to robić. Dziś coraz więcej teologów wzywa do zmiany nauczania Kościoła w tej sprawie, wśród nich są biskupi, a nawet kardynałowie. Wielu księży błogosławi pary tej samej płci. Ale naszym obowiązkiem jest mówienie kościelnym przywódcom, jak się czujemy, co myślimy i jakie są nasze prawdziwe doświadczenia. Oni muszą to usłyszeć! Właśnie na tym polega podstawa drogi synodalnej, którą proponuje papież Franciszek.

Czy wierzy siostra, że Kościół zmieni kiedyś swoje zdanie w tej sprawie?

– Jestem przekonana, że tak się stanie, choć, oczywiście, nie wiem, kiedy to nastąpi. Podczas synodu na temat rodziny w 2015 r. wielu biskupów chciało takiego podejścia do homoseksualności, które uwzględniałoby

współczesną naukę. Od tego czasu wielu kardynałów i biskupów wzywało Kościół do ponownej oceny nauczania w zakresie etyki seksualnej.

Kościół jednak uparcie mówi, że orientacja homoseksualna nie jest grzechem, ale czyny już tak.

– Takie stanowisko nie ma sensu. To tak, jakby mówić ptakom, że mogą być ptakami, ale nie powinny latać.

A jak sobie poradzić z cytatami biblijnymi, które, według wielu, potępiają homoseksualność?

– W Piśmie Świętym jest mowa o wielu rzeczach, które dwa czy dwa i pół tysiąca lat temu rozumiano zupełnie inaczej niż dziś. W starotestamentalnej Księdze Kapłańskiej czytamy: „Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą”⁹⁹ oraz „Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami tę śmierć na siebie ściągą. ”¹⁰⁰. Ale w tej samej księdze jest też zakaz jedzenia wieprzowiny i owoców morza. A także pełnienia funkcji kapłańskich przez garbatych. Tyle że tymi przepisami zupełnie się nie przejmujemy, tymczasem fragment o „współżyjących mężczyznach” traktujemy bardzo dosłownie. Dzieje się tak nie z powodów teologicznych, ale dlatego że te cytaty potwierdzają uprzedzenia, które w sobie nosimy.

Problem w tym, że te głoszone przez Kościół uprzedzenia są przyczyną wielu tragedii.

– Niestety tak jest. Jest mi bardzo smutno, że tak wiele wierzących osób LGBT+ nie znajduje dla siebie miejsca w Kościele.

Siostra uważa, że ktoś, kto czuje się prześladowany przez Kościół, powinien mimo wszystko w nim zostać?

– Pozwól, że najpierw opowiem ci o sobie. Urodziłam się i wychowałam jako katoliczka. Katolicyzm to coś, co jest we mnie, wręcz jest częścią mnie. Kościół katolicki jest dla mnie jak rodzina. Jeśli widzę, że w mojej rodzinie dzieje się coś złego, nie pakuję swoich rzeczy i nie odwracam się od niej. Staram się uzdrowić sytuację. Taka jest moja postawa. Katolikom LGBT+ powtarzam: „Kościół jest waszym domem tak samo jak moim. Mam nadzieję, że możecie znaleźć choćby kilka osób, które będą was wspierać i kochać. Ale jeśli jesteście przez Kościół

⁹⁹ Kpł 18, 22.

¹⁰⁰ Kpł 20, 13.

bardzo pokiereszowani, macie prawo czuć ból swoich niezabliźnionych ran. Najważniejsza jest wasza relacja z Bogiem. Jeśli Kościół oddziela was od Boga, to znaczy, że nie jest to miejsce dla was”.

Niektórzy szukają tego miejsca w innych wyznaniach chrześcijańskich.

– Jestem siostrą zakonną, więc moja rada jest taka, żeby najpierw próbować znaleźć przyjazną przestrzeń w Kościele katolickim. Ale jeśli to się okaże niemożliwe, warto jej poszukać w innych Kościołach. Najważniejsze, żeby wspólnota religijna wspierała nas w budowie pełnej miłości relacji z Bogiem.

Siostra jest w Kościele rzymskokatolickim na dobre i na złe?

– Tak. Czuję, że muszę wytrwać, nawet jeśli wymaga to ode mnie poświęceń. To, że na naszej drodze życiowej pojawia się cierpienie, a czasem nawet śmierć, nie powinno nas specjalnie dziwić, bo przecież znamy historię Jezusa. Wiemy, co Go spotkało, ale też wierzymy, że na naszej drodze nastąpi czas zmartwychwstania. Z pewnością potrwa to nieco dłużej niż trzy dni, ale prędzej czy później nas też czeka zmartwychwstanie.

Tylko po co poświęcać życie Kościołowi, który prześladuje?

– Dla mnie Kościół to wspólnota, która mnie wspiera. To wsparcie znajduję w New Ways Ministry, a także w moim zgromadzeniu zakonnym. Owszem, jest część Kościoła, która mnie odrzuca, ale czerpię siłę z tej części, która mnie przyjmuje i obejmuje miłością. Poza tym wierzę w sens pracy na rzecz zmian, które prędzej czy później muszą nastąpić. Dlatego każdemu, kto ma kłopot z Kościołem, radzę, by znalazł w nim miejsce, w którym jego wiara będzie mogła wzrastać i kwitnąć. Jestem pewna, że dla wielu osób w Polsce właśnie taką przestrzenią jest Wiara i Tęcza. Kościół to wspólnota, ludzie. Hierarchia stanowi w niej niewielki procent.

Problem w tym, że ten nikły procent trzyma w nim niemal stu procentową władzę.

– Dlatego ludzie świeccy, w tym siostry zakonne¹⁰¹, coraz częściej podnoszą głos i domagają się większego wpływu także na procesy decyzyjne. Bez zmiany systemu władzy Kościół się nie zmieni. Dlatego popieram jego odnowę i angażuję się w działalność społeczną. W moim zgromadzeniu większość siostr ma podobny stosunek do tych spraw.

¹⁰¹ Wbrew potocznemu przekonaniu, zgodnie z kan. 207 § 1 Kodeksu kanonicznego, siostry zakonne nie należą do duchowieństwa, lecz są osobami świeckimi.

Polskie zakonnice raczej się nie wychylają.

– Tymczasem większość siostr zakonnych w USA otwarcie opowiada się za dobrowolnym celibatem księży, kapłaństwem kobiet, równymi prawami dla osób LGBT+ i równością małżeńską. Uważamy, że wykluczanie innych ludzi z Kościoła to pozbywanie go Bożych darów. Czasami, jako zakonnice, zabieramy głos w nietypowy sposób. W 1994 r. w Watykanie odbywał się Synod Biskupów poświęcony życiu konsekrowanemu, czyli także zakonom. Problem w tym, że siostr zakonnych nie zaproszono na obrady. Z grupą amerykańskich zakonnice skupionych w organizacji National Coalition of American Nuns stanęłyśmy więc na placu Świętego Piotra, trzymając transparent z napisem „Nic o nas bez nas”. Gwardia Watykańska odebrała nam baner i wzięła na posterunek. Funkcjonariusze zabrali nam paszporty, spisali protokół i zapytali, skąd jesteśmy. Gdy usłyszeli, że jesteśmy zakonicami, nie mogli uwierzyć! Najważniejsze w tym wszystkim, że się odezwałyśmy. Dałyśmy sygnał biskupom, że jeśli chcą rozmawiać o życiu zakonnym, muszą mieć przy stole siostry. Tak samo jak powinni rozmawiać z osobami LGBT+, gdy debatują o ich sprawach.

Czy, biorąc pod uwagę postawę Kościoła, minione 50 lat pracy w duszpaństwie osób LGBT+ to dla siostry sukces, czy porażka?

– Po pontyfikatach Jana Pawła II i Benedykta XVI większość amerykańskich biskupów jest znacznie bardziej konserwatywna niż w latach 70. ubiegłego wieku. Zupełnie inna jest natomiast sytuacja amerykańskich teologów, gdyż większość z nich odstaje od nauczania Kościoła w kwestiach LGBT+. Najbardziej cieszy jednak postawa wiernych świeckich. Dziś 69 proc. amerykańskich katolików popiera małżeństwa osób tej samej płci. Ponad 75 proc. chce wprowadzenia przepisów zakazujących dyskryminacji w zatrudnieniu osób LGBT+. Przy połowie amerykańskich uniwersytetów katolickich funkcjonują oficjalne organizacje LGBT+, a niektóre grupy parafialne uczestniczą w paradach równości. Przez lata swojej działalności zrozumiałam, że prawdziwym Kościołem są wierni z kościelnych ławek. Pod tym względem mam powody do radości i czuję, że moja posługa okazała się sukcesem.

W jaki sposób taką zmianę wprowadzić w Polsce?

– Kiedy patrzę na dzisiejszą Polskę, widzę wiele podobieństw do tego, co działo się w USA w latach 70. i 80. I wiesz, co ci powiem? Że stosunku Kościoła do osób LGBT+ nie zmienią teologiczne debaty ani nawet najmądrzejsze ideologiczne argumenty. Prawdziwą moc zmiany ma spotkanie z drugim człowiekiem i jego historią. W 1992 r. na

zorganizowanej przez nas konferencji przemawiał bp Thomas Gumbleton z Detroit. Powiedział, że przygotował dwa przemówienia: jedno jako biskup i drugie jako człowiek. Przyznał, że do końca nie wiedział, które wygłosi, ale w ostatniej chwili zdecydował się na to drugie.

Co w nim było?

– Jego rodzinna historia. Kilka lat wcześniej jego brat, Dan, napisał w liście do rodziny, że jest gejem. Biskup był pełen sprzecznych emocji i na to wyznanie nie zareagował. Jednak rok później, krótko przed Bożym Narodzeniem, jego matka zapytała go, czy Dan pójdzie do piekła. „To był moment, kiedy coś we mnie pękło” – opowiadał biskup. „Powiedziałem: Mamo, wszyscy bardzo kochamy Dana, a wiesz, że Bóg kocha go jeszcze bardziej. Dan nie pójdzie do piekła!”. Dodam, że Thomas Gumbleton stał się później jednym z naszych największych sojuszników. Jego historia pokazuje, jak ważny jest coming out. Postrzeganie homoseksualności przez amerykańskich katolików stało się dojrzałe przede wszystkim dlatego, że ich bliscy wychodzili z szafy. Jestem przekonana, że w Polsce będzie tak samo.

W tej chwili polskie społeczeństwo coraz bardziej akceptuje osoby LGBT+, tymczasem biskupi przeszli do kontrofensywy, atakując osoby homoseksualne. Dziwnym trafem dzieje się to w czasie, gdy wychodzą na jaw skandale seksualne związane z wykorzystywaniem seksualnym dzieci przez duchownych.

– W USA było tak samo. Skandale seksualne wyszły u nas na jaw w połowie lat 80., wtedy kozłem ofiarnym stali się homoseksualni księża. Z tego, co widzę, w Polsce większość biskupów zrobiła kozła ofiarnego z całej społeczności LGBT+. Obwinianie innych za rzeczy, których sami dokonujemy lub których nie rozumiemy, jest w pewnym sensie częścią ludzkiej natury. Zrozumienie, że nadużycia seksualne to kwestia klerykalizmu i nadużycia władzy, a nie homoseksualności, zajęło Amerykanom kilkadziesiąt lat. Mam nadzieję, że w Polsce ten proces będzie szybszy. Zwłaszcza że papież Franciszek wypowiada się przeciwko kulturze klerykalnej i postuluje model przywództwa służebnego, a nie opartego na władzy.

Często mówi siostra o potrzebie coming outów, jednak sama nie mówi o swojej orientacji seksualnej.

– Rzeczywiście, przez lata nie mówiłam o swoim życiu osobistym, aby nie odwracać uwagi od mojej pracy duszpasterskiej. Uważałam, że orientacja seksualna nie powinna mieć znaczenia w ocenie mojej

działalności. Bałam się, że jeśli na przykład powiem „Jestem lesbijką”, zarzucą mi, że działam we własnym interesie. Gdybym z kolei powiedziała „Jestem heteroseksualna”, ludzie uznaliby, że nie wiem, o czym mówię. Teraz jednak mam wątpliwości, czy jest to właściwa droga, zwłaszcza gdy doradzam innym, by wyszli z szafy. Od bardzo wczesnego wieku wiedziałam, że jestem heteroseksualna. Mój romantyczny i seksualny pociąg był skierowany w stronę płci przeciwnej. Lubię jednak myśleć, że żyję w „wymarzonej przyszłości”, gdzie orientacja nie ma znaczenia. Kogo obchodzi, czy dana osoba jest homo-, czy heteroseksualna? Najważniejsze, że jest kochającą istotą ludzką i że chce tego, co najlepsze dla innych. To wszystko, co powinno się liczyć.

Na razie jednak powinniśmy o sobie głośno opowiadać. Kiedy siostra odwiedziła Polskę w 2016 r., przekonywała działaczy Wiary i Tęczy do wydania zbioru tekstów zawierających świadectwa wierzących osób LGBT+ i ich sojuszników. Książka, w której ukaże się ten wywiad, jest więc w jakimś stopniu przez siostrę zainspirowany.

– Bardzo się z tego cieszę. Jak już mówiłam, w idealnym świecie orientacja nie powinna mieć znaczenia większego niż kolor oczu, włosów, skóry albo to, czy jesteśmy prawo-, czy leworęczni. Chciałabym, żeby nasza różnorodność była traktowana jako przejaw bogactwa Bożego stworzenia i tyle. Niestety nie żyjemy w idealnym świecie. Dlatego tu i teraz ważne jest, że postanowiliście szczerze opowiedzieć swoje historie. Ludzie muszą je usłyszeć.

Mało kto może się pochwalić 50-letnią działalnością na rzecz osób LGBT+. Gdy Święty Piotr u bram raju spyta siostrę, z czego jest najbardziej dumna, to co mu siostra odpowie?

– Powiem mu, że jestem dumna, bo moje życie miało wpływ na innych. Mam nadzieję, że ta ziemia będzie trochę lepszym miejscem także dlatego, że na niej żyłam.

Działalność siostry na rzecz osób LGBT+ zaczęła się od historii Dominika poznanego na domowej mszy w 1971 r. Czy nadal ma z nim siostra kontakt?

– Dominik zmarł na AIDS w 1991 r., ale wciąż słyszę to jego krytyczne pytanie, które mi zadał: „Co Kościół robi dla moich homoseksualnych braci i siostr?”. Mam wrażenie, że w jakiś sposób czuwa nade mną z nieba. Sam rozumiesz, że choćby z tego powodu nie mogę przestać robić tego, co robię. Muszę nadal swoim życiem odpowiadać na pytanie Dominika. Myślę zresztą, że w pewnym sensie nas wszystkich pyta Bóg: „Co ty robisz dla moich braci i siostr LGBT+?”.

O FUNDACJI WIARA I TĘCZA

Jesteśmy najstarszą istniejącą i największą organizacją w Polsce działającą na rzecz emancypacji chrześcijan LGBT+. Opowiadamy się za pełną akceptacją osób nieheteronormatywnych w Kościołach i społeczeństwie, wspieramy związki osób tej samej płci oraz osób transpłciowych. Występujemy też przeciwko wszelkiej dyskryminacji rodzin tworzonych przez osoby LGBT+.

Mimo że obecnie Kościół rzymskokatolicki i znaczna część innych tradycyjnych Kościołów chrześcijańskich wzywa osoby LGBT do „leczenia” lub do życia w samotności, często popierając grupy prowadzące terapię reformatywną, стоимy na stanowisku, że w przyszłości Kościoły zmienią zdanie na ten temat. Swoją misję widzimy w przyspieszaniu tego procesu poprzez dialog z osobami świeckimi oraz duchownymi.

Jako grupa nieformalna, powstałiśmy w 2010 r., osiem lat później podjęliśmy decyzję o powołaniu Fundacji Wiara i Tęcza. Działania organizacji mają charakter ponadwyznaniowy i ekumeniczny – skierowane są do ludzi z różnych wspólnot chrześcijańskich, a także poszukujących i niewierzących. W grupie są wierni Kościołów rzymskokatolickiego, starokatolickich, prawosławnych i protestanckich, a także osoby nieutożsamiające się z żadną wspólnotą wyznaniową. Współpracujemy też z duchownymi różnych wyznań.

Więcej informacji: www.wiaraiteczapl
www.facebook.com/wiaraiteczapl

Jeśli podoba Ci się to, co robimy, wesprzyj finansowo Fundację Wiara i Tęcza lub zaangażuj się w nasze prace!

Konto w złotych: 33 1140 2004 0000 3502 7918 3372

Fundacja Wiara i Tęcza, ul. Lecha Kaczyńskiego 17/4,
00-632 Warszawa

Tytuł przelewu: Darowizna na cele Fundacji

Euro payments: IBAN: PL26 1140 2004 0000 3312 0956 5013

BIC: BREXPLPWMBK Name: Fundacja Wiara i Tęcza
Address: Lecha Kaczynskiego 17/4, 00-632 Warszawa,
Description: Darowizna na cele Fundacji.

Marcin Dzierżanowski

TO JEST TAKŻE NASZ CHRYSTUS

Rozmowy z chrześcijanami LGBT+

Warszawa 2023

Jeśli podoba Ci się to, co robimy, wesprzyj finansowo Fundację Wiara i Tęcza lub zaangażuj się w nasze prace!

Konto w złotych: 33 1140 2004 0000 3502 7918 3372

Fundacja Wiara i Tęcza, ul. Lecha Kaczyńskiego 17/4,
00-632 Warszawa

Tytuł przelewu: Darowizna na cele Fundacji

Euro payments: IBAN: PL26 1140 2004 0000 3312 0956 5013

BIC: BREXPLPWMBK Name: Fundacja Wiara i Tęcza
Address: Lecha Kaczynskiego 17/4, 00-632 Warszawa,
Description: Darowizna na cele Fundacji.

Marcin Dzierżanowski



Dziennikarz, publicysta, działacz antydyskryminacyjny, terapeuta w trakcie szkolenia. Współzałożyciel i pierwszy prezes Fundacji Wiara i Tęcza, skupiającej wierzące osoby LGBT+, współzałożyciel The Global Network of Rainbow Catholics. Był m.in. redaktorem naczelnym tygodnika „Wprost” i sekretarzem redakcji „National Geographic Traveler”. Twórca i pierwszy szef portalu informacyjnego tvp.info. Nominowany do Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego oraz Grand Press, laureat nagrody dziennikarskiej „Pióro odpowiedzialności”. Autor broszury antydyskryminacyjnej „Wiara w kolorach tęczy” (dla wierzących osób LGBT+), współautor poradnika „Jak mówić i pisać o osobach LGBT+”. Obecnie redaktor prowadzący magazynu biznesowego „My Company Polska”, a także szef kapituły i pomysłodawca przyznawanych przez to pismo Polskich Nagród Różnorodności.

W idealnym świecie orientacja seksualna czy tożsamość płciowa nie powinny mieć znaczenia większego niż kolor oczu, włosów, skóry albo to, czy jesteśmy prawy-, czy leworęczni. Niestety nie żyjemy w idealnym świecie. Dlatego tu i teraz ważne jest, że postanowiliście szczerze opowiedzieć swoje historie. Ludzie muszą je usłyszeć!

S. Jeannine Gramick, założycielka New Ways Ministry, jednego z najstarszych duszpaństw osób LGBT+ na świecie

Przykazanie miłości odnosi się do każdego: biednego i bogatego, czarnego, uchodźcy, geja, lesbijki, osoby transpłciowej, niebinarnej i wszystkich osób LGBT+. Jeśli zapominamy o nakazie miłości bliźniego, to de facto przestajemy być wyznawcami Jezusa z Nazaretu i nie powinniśmy się już nazywać chrześcijanami.

Prof. Jakub Sławik, biblista z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej